



ANNA ZACHARZEWSKA

*Witaj w domu,
kochanie!*

Wiedziała, że jest jego zakładniczką
i on również miał tego świadomość...

Pascal

ANNA ZACHARZEWSKA

*Witaj w domu,
kochanie!*

Pascal

Drogi Czytelniku,

zanim zasiądziesz do czytania tej książki, zastanów się dobrze, czy jesteś gotowy na prawdę. Opisana w niej historia jest bowiem oparta na autentycznych zdarzeniach, które u wrażliwego odbiorcy mogą wywołać strach przed sardynkami w puszkach, perłowymi balonami oraz śladami opon na śniegu.

Imiona i nazwiska części bohaterów, jak również ich cechy charakterystyczne zostały zmienione, a dialogi i niektóre wydarzenia udramatyzowane. Bynajmniej nie dlatego, by uczynić lekturę tej powieści przyjemniejszą dla Ciebie, lecz z troski o bezpieczeństwo i spokój ludzi mi bliskich. Zarówno tych, którzy zmagali się z opisanym tutaj koszmarem, jak i tych, którzy przeszli przez niego nieświadomi toczących się wokół wydarzeń.

Autorka

W śmiertelnym niebezpieczeństwie strach nie dopuszcza do głosu litości.

Juliusz Cezar, *Caii Iulii Caesaris Commentarii de bello gallico et civili*, tom 1, tłum. Wiktor Sobolewski

Zjechała samochodem z drogi i ustawiła go przodem do bramy. Pilot zamrugał zielonym światłem i ciężka, metalowa konstrukcja ruszyła powoli, odsłaniając stopniowo kilkusetmetrową, pokrytą granitową kostką drogę, po której obu stronach stały nowoczesne, eleganckie latarnie, wyznaczające granicę pomiędzy podjazdem a pokrytym starodrzewem ogrodem. Wielkie platany, robinie i dęby mieszały się z czerwonymi wiśniami, złotymi cisami i wybarwiającymi się na wszystkie kolory krzewami berberysu. Całość zdawała się nonszalancka w swoim pozornym zdziczeniu i jesiennej feerii barw, ale żadna z posadzonych tu roślin nie była przypadkowa. Stanowiły starannie dobraną konstelację kolorów, kształtów i faktur, nad którą zespół ogrodników pracował przez ostatnie dwa lata. Od chwili, gdy ekipa budowlana zakończyła pracę nad fundamentami domu, a teren został ogrodzony dwumetrowym drewnianym parkanem, hurtownie ogrodnicze zwoziły tutaj największe z posiadanych w ofercie drzew, a mężczyźni o silnych ramionach i szerokich barach sadzili rośliny pod czujnym okiem najlepszego architekta zieleni. Wspierani przez osiem małych koparek i setki szerokich parcianych taśm, którymi usiłowali wypoziomować dwudziestoletnie drzewa, napinali z wysiłkiem mięśnie pod ciężarem potężnych pni i kaleczyli dłonie o ostre igły robinii i ciernie berberysów, klnąc na czym świat stoi właściciela posesji, który nieustannie wymagał, by pracowali szybciej, lepiej i sprawniej. Który urządzał karczemne awantury o każdy nie dość prosty pień czy wystającą ponad ziemię bryłę korzeniową oraz żądał poprawek, gdy nasadzenia choć odrobinę odbiegały od planu. Kiedy cały hektar został już pokryty drzewami, zaczęło się sadzenie tuj. Kilkaset pięciometrowych żywotników wyrosło w ciągu dwóch dni wokół całej parceli, odgradzając ją szczer- nie od wścibskich oczu ewentualnych zbłąkanych przechodniów.

Prawda była taka, że nikt wtedy nigdy nie chodził, a ruch samochodowy należał do mocno umiar- kowanych, Woźniak był jednak przewidujący. Plan zagospodarowania przestrzennego przewidywał przeznaczenie całej okolicy na zabudowę jednorodzinną, a tuż za ogrodzeniem, wzdłuż południo- wej granicy działki, miała przebiegać droga dojazdowa do mających powstać w przyszłości rezyden- cji. Marek nie lubił intruzów, a jego swobodny styl życia oznaczał, że na tarasie własnego domu chciał móc się przechadzać nago. Dyskrekcja, swoboda i luksus były przecież najważniejsze. Zakładał, że nie tylko dla niego.

Rozejrzała się wkoło i uśmiechnęła w uznaniu dla jego perfekcjonizmu i życiowej mądrości. Miał styl, gest i nie żałował pieniędzy. Nawet jeśli zakładał, że inwestycja zwróci się w końcu z na- wiązką, jego podejście było bez precedensu. Wszystkie domy, które wcześniej oglądała, były albo ty- powymi produktami oszczędnych deweloperów, albo wynaturzonymi dziećmi metody gospodar- czej. W jednych i drugich królowały: tania armatura, tandetne wykończenia i mikroskopijne, przy- pominające rozmiarem chustki do nosa ogródki, w których kupiona w szkółce leśnej drobnica

świerków z trudem przebijała się z przerośniętych, zachwaszczonych trawników. Dom oferowany przez Marka był na tym tle czymś absolutnie wyjątkowym. Zaprojektowanym od początku do końca bez cienia kompromisu i pokusy, by zaoszczędzić. Najlepsi architekci stworzyli projekt, dostosowując układ domu do usytuowania działki, tak aby słońce grało odpowiednio w gigantycznych przeszkleniach ścian, wpadało przez okna dachowe, oświetlając pod odpowiednim kątem antresolę, i rzucało stosowne cienie na kamienne białe posadzki. Co niezwykle w czasach powszechnego uwielbienia dla stylistyki polskiego dworku, bryła domu była oszczędna, nowoczesna i wyraźnie nawiązywała do stylu Bauhausu oraz dziedzictwa Miesa van der Rohe. Nawet jeśli Woźniak nie zdawał sobie z tego sprawy, nawet jeżeli brakowało mu odpowiedniego wykształcenia, by rozpoznawać te stylistyczne analogie, a jego wybór był instynktowną próbą stworzenia czegoś odmiennego od oferty tanich inwestorów, jego odwaga i bezkompromisowość w doprowadzeniu tego projektu do końca były imponujące. Ogród oszałamiał, zwłaszcza na tle rozciągającej się po horyzont, wciąż porośniętej kapustą pustki. Wyrastał na pustkowiu jak tajemnicza, niezwykła oaza i miał dokładnie ten walor, o jaki Markowi chodziło, gdy projektował to miejsce – odgradzał od świata oraz dawał luksusowe poczucie elitarności i bezpieczeństwa.

Odwaga Marka wykraczała poza ekstrawagancję posadzonych na środku pola starych drzew i niezwykły projekt domu. Była widoczna w niezyciowo gigantycznej powierzchni terenu, w kosztownym granicie podjazdu, w designerskich latarniach i niepraktycznych, wpuszczonych w grunt reflektorach, które w tej chwili oświetlały jej drogę. Nawet jeśli zanurzone w piaszczystej ziemi miały się za kilka lat przepalić, a pod ich szklanymi, odpornymi na ciężar jej samochodu szybami miała się w końcu zgromadzić para, to w tej chwili prezentowały się znakomicie.

Uśmiechnęła się do roztaczającej się przed nią perspektywy i przejechała przez bramę, która tuż za jej tylnym zderzakiem zaczęła się natychmiast przesuwac w przeciwną stronę. Zatrzymała samochód, poczekała do momentu, aż żelazne okucia szczęknęły, i ruszyła powoli w stronę domu. Biała brama garażowa rozpoznała już jej obecność i unosiła się teraz powoli i bezgłośnie. Chętnie rozejrzałyby się jeszcze trochę i podelektowała tą chwilą, ale przypomniła sobie przestrożę Woźniaka: miała tylko trzydzieści sekund, by dojechać do domu, wysiąść z auta i wejść do środka. Jeśli w tym czasie nie zdoła wystukać kodu na białej klawiaturze alarmu, syreny zawyją i w ciągu czterech minut w domu pojawi się ochrona. Przyspieszyła i zbyt nerwowo wyhamowała na gładkiej posadzce garażu. Wyłączyła silnik, wyrwała kluczyk ze stacyjki i przez moment szarpała nerwowo pas. Musi zapamiętać, by rozpinac go w momencie, gdy podjeżdża przed bramę. Piętnaście, szesnaście, siedemnaście... Otworzyła drzwi mercedesa i wyskoczyła z niego pospiesznie. Dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery... Dwunastocentymetrowe szpilki i krępująca ruchy, sięgająca za kolana spódnica nie ułatwiały zadania. Dwadzieścia osiem – szarpnęła klamką drzwi łączących garaż z częścią mieszkalną i wpadła do środka. Dwadzieścia dziewięć. Jak na ironię klapka przykrywająca klawiaturę była starannie opuszczona. Podniosła ją, wstrzymując oddech w obawie przed rozdzierającym dźwiękiem syreny, i uzbrojonym w bordowy lakier paznokciem wystukała nerwowo kod. Cztery siódemki. Marek twierdził, że to na szczęście.

Uporczywe pikanie ustało w ostatniej nanosekundzie. Odetchnęła z ulgą i przesunęła dłonią po długim szeregu przycisków. Halogeny zapalały się po kolei: nad drzwiami, na podwieszonym pod antresolą suficie w holu, wokół znajdującej się piętro wyżej, doświetlającej hol luksfery. Chwilę później rozbłysły ukryte w załamaniach sufitu węże świetlne i delikatne ledowe żarówki, których stłumione światło wyznaczało drogę w kierunku prywatnej części domu. Piąty przycisk rozświetlił kryjący się w głębi salon i podświetlił oddzielający część wypoczynkową od jadalnej, przeszklony dwustronnie komin. Światło było miękkie i ciepłe, dalekie od energooszczędnych świetlówek, których szczerze nienawidziła. Uśmiechnęła się z ulgą, patrząc, jak się odbija w szklanych taflach okien i białej, wypolerowanej do połysku polacy podłóg. Była u siebie. To był jej dom. Piękny, wymarzony, idealny. Pasujący do niej jak perfekcyjnie dobrana rękawiczka. Miejsce, na które czekała latami. Stanowiące spełnienie marzeń i wartę każdej, krwawo wypracowanej złotówki, którą na nie wydała.

Prawdę mówiąc, dom – poza tym że piękny – był również makabrycznie drogi. Tak drogi, że gdyby odważyła się o tym pomyśleć, doszłaby niechybnie do wniosku, że jej na niego nie stać. Wózniak nie żałował sił, środków ani wysiłku, by uczynić to miejsce wyjątkowym, a ona to doceniała. Zachwycał ją każdy centymetr kwadratowy tego miejsca. Każdy kawałek kosztownej nad miarę podłogi. A Marek? Marek był kimś więcej niż biznesmenem. Zbudował ten dom na sprzedaż, ale nie było w tej transakcji zwykłego dla inwestora podejścia. Wiedział, że stworzył miejsce, które odstaje od reszty rynkowej oferty, oraz że służyć mu rozdawane hojną ręką kredyty i szalona bańka nieruchomościowa. Narzucał cenę i warunki umowy, ale w przeciwieństwie do innych sprzedających dyktował coś jeszcze. Walka o ten dom była niczym casting do reality show. Przesłuchiwał zainteresowanych nie tylko pod kątem ich portfela i desperacji. Obserwował kolejnych odwiedzających i oceniał adekwatność do tego miejsca. Chciał, aby dom trafił do kogoś takiego jak on. Do osoby, która bardziej niż liczbą sypialni czy metrażem powierzchni będzie zainteresowana wizją miejsca idealnego. Która doceni wyrobienie estetyczne i wysiłek, jaki włożył w ten projekt, która nie będzie w jego pięknej, minimalistycznej kuchni smażyć kotletów mielonych i nie założy w ogrodzie grządki z rzodkiewką. Osoby, która nie zakryje betonowej posadzki w łazience tanim poliestrowym dywanikiem, nie zawiesi zasłon w salonie i nie wygłosi mądrości o wątpliwym walorze praktycznym pięćdziesięciometrowej sypialni. Która doceni brzmienie rozprawianego po domu dźwięku w high definition, dobierze do tego miejsca odpowiednie meble i abstrakcyjne obrazy. Nie będzie oszczędzać na podlewaniu hektara ogrodu i nie przytarga obitej pluszem kanapy. Szukał kupca doskonałego, którego ciało będzie się dobrze prezentować odbite w lustrach i szybach. Który doceni wielkometrażowe garderoby i wypełni je pasującymi do tego miejsca ciuchami. Ona szukała wymarzonego azylu, on – nienagannego nabywcy.

Kiedy pierwszy raz trafiła do tego domu, nie marzyła nawet, że może go mieć. Po prostu była ciekawa. Zdjęcia w ofercie obiecywały wiele, ale cena ją przerażała. Nie robiła sobie żadnych nadziei, że w najbliższej dekadzie stać ją będzie na coś choć trochę zbliżonego do tego miejsca, ale ten dom, a w zasadzie posiadłość, wymagał wizyty i obejrzenia.

Zostawiła wtedy samochód na drodze i zadzwoniła, stojąc karnie przy furtce. Widok przystojnej, młodej twarzy Marka na ekranie wideodomofonu zaskoczył ją, podobnie jak jego miękki, seksowny głos i komplement rzucony na widok jej przerobionej na piksele, zdziwionej twarzy. Gdy energicznym krokiem dotarła w końcu do drzwi stojącego kilkaset metrów dalej domu, on czekał już w drzwiach. Piękny jak młody bóg, ubrany od stóp do głów w najnowszą kolekcję Dsquareda i otoczony stadem krępych, zdenerwowanych jej obecnością amstaffów, które pod wpływem jego głosu opadły posłusznie na ziemię, szczerząc jedynie wilgotne, drapieżne zęby. Zaprosił ją miękkim gestem do środka i lustrował z uśmiechem jej sylwetkę, ciuchy i akcesoria. Tak jakby to ona była na sprzedaż, a nie dom, który miał jej pokazać.

Z tego pierwszego spotkania zapamiętała oszałamiające wrażenie, jakie zrobiło na niej to miejsce, oraz dwuznaczność spotkania z jego właścicielem. Woźniak, poza tym, że był przystojny, dowcipny i elokwentny, że miał na sobie równowartość jej pensji i działał na psy bojowe jak flet na kobre, okazał się też zagadkowy i przerysowany. W jej świecie takich mężczyzn się nie spotykało. Jeśli któryś dysponował jego pieniędzmi, to nigdy nie wyglądał jak on. A jeżeli dorównywał mu za dbaniem i barokowym przepychem odzieży, to ponad wszelką wątpliwość nie był hetero. Przyglądała mu się więc z równym zainteresowaniem, co posesji, po której ją oprowadzał. Gdy dłonią opatrzoną w masywne obrączki Bulgari pokazywał jej na planach zarys fundamentów, jej myśli – zamiast koncentrować się na technicznym wywodzie dotyczącym użytej w procesie budowy technologii, o której zresztą nie miała bladego pojęcia – biegły w stronę zagadki, jaką stanowił właściciel. Patrzyła na nienaganną bryłę domu, przechodziła przez estakadę pokoi i podziwiała widok z gigantycznych okien, lecz w głowie kołatało jej się zupełnie niezwiązane z tym miejscem pytanie: czy ten mężczyzna był faktem, czy może wyświetlanym potencjalnym nabywcem hologramem?

Raziła ją nieco jego nachalna, ociekająca bogactwem poza dandysa, ale musiała przyznać, że oprócz mieszanych uczuć Woźniak budził w niej również rodzaj pełnego bojaźni podziwu. Identycznego, jaki kielkował jej w żołądku na widok sunących przy jego nodze, umięśnionych i gotowych ją zagryźć suk. Nie znała się na psach i nie potrafiłaby odgadnąć ich płci ani rasy, lecz on – dostrzegłszy niepewność w jej wzroku – wytłumaczył ze swadą zalety takiego stadka. Rozglądała się wkoło, patrzyła na jego wart kilka tysięcy pasek do spodni, na złoty zegarek z wiecznym kalendarzem oraz błyskającą wysoką próbą biżuterię i rozumiała, dlaczego wołał suki niż ludzi. Kochał luksus, delectował się nim i szukał osoby, która podzieliłaby jego zachwyty nad domem, ogrodem i nim samym. Lecz to nie wyczerpywało diagnozy. Poza sytym zadowoleniem tkwiły w nim skrywane starannie nieufność i nieustająca czujność. Tak jakby przekonał się wcześniej, że tylko psy nie będą zazdrościć mu jego bogactwa. I tylko suki będą mu zawsze oddane.

Spędzili razem dwie godziny. On mówił, ona słuchała. Nie był mężczyzną dla niej. Jego ostentacyjna okazałość, idealnie wystrzyżona linia włosów, głęboko nawilżona i równomiernie opalona cera – wszystko to czyniło go w jej oczach nieco kuriozalnym i może nawet godnym współczucia. Przechywała, że za tą starannie wyreżyserowaną i pięknie opakowaną fasadą kryje się coś mrocznego. Jakiś niedający się zakryć pieniędzmi kompleks. Może brak wykształcenia – choć jego elokwencja

na to nie wskazywała – a może bardzo ubogie dzieciństwo. Może rodzice, którzy wciąż gdzieś doili o świcie krowy, a może kobieta, która porzuciła go dla kogoś zamożniejszego. Jakakolwiek byłaby przyczyna, jedno było pewne: Woźniak coś sobie rekompensował i wyraźnie czegoś się bał.

Uśmiechała się do niego grzecznie i całkiem szczerze zachwycała pokazywanym jej domem. Oglądanie go było jak niedzielny *window-shopping* na Via Monte Napoleone. Jak zanurzenie się w luksusie bez ryzyka nadszarpnięcia domowego budżetu. Patrzyła na budynek niczym historyk sztuki – poszukując architektonicznych kontekstów, smakując udane adaptacje pomysłów najlepszych światowych architektów i rozwieszając w wyobraźni swoje ulubione obrazy na idealnych ścianach tej pięknej przestrzeni. Ani przez chwilę w jej oczach nie pojawiła się kalkulacja kupca czy próba znalezienia dziury w całym. Dom był imponujący i zdecydowanie za drogi. Nie było jej na niego stać, więc mogła oglądać go bez obciążenia żalem czy choćby cieniem zawiści. Pozwalając delektować się wręcz fizyczną przyjemnością przebywania w miejscu adekwatnym do jej gustu, nieskalanym dotąd codzienną obecnością innego człowieka i zaaranżowanym w sposób, który choć miejscami mało praktyczny, zaspakajał jej potrzeby wewnętrzne. Czuła się tutaj jak na spotkaniu z Peggy Guggenheim: podekscytowana i równocześnie wolna od oczekiwań czy żądzy dzierżenia jej dóbr na własność. Nie zazdrościła Markowi, tak jak nie zazdrościłaby Peggy. Miała świadomość, że ich świat i dobrobyt pozostają poza jej zasięgiem, ale myśl ta nie była przykra. Przeciwnie. Cieszyła się, że byli w stanie zamienić pieniądze na coś sensownego i zarazem pięknego. Ona sama nie musiała tego posiadać. Wystarczyło, że mogła popatrzeć.

Przez dwie godziny Marek, poza pokazywaniem jej domu, obserwował ją i oceniał. Pierwszym rzutem oka wycenił jej ciuchy, biżuterię, buty oraz zegarek. Zlustrował logo na trzymanym przez nią w dłoni kluczyku do auta i przeciągnął wzrokiem po jej skórze, włosach i paznokciach. Wiedział, że one potrafią powiedzieć o kobiecie więcej niż noszone przez nią ubrania. Podobała mu się. Podejrzewał, że ma nie więcej niż trzydzieści lat, a jej majątek stanowił dla niego pewnik. Była zamożna, ale bynajmniej nie odziedziczyła fortuny po dziadkach. Jej własny, wypracowany ciężko dobrobyt wciąż nieco ją onieśmiał. Zauważał jej rozbawione spojrzenia i wiedział, że uważa jego ostentację za niestosowną i odrobinę jarmarczną. Tak jakby wciąż wstydziała się zewnętrznych oznak bogactwa albo nie była z nimi dość zżyta. Zgadywał, że wyrosła w domu dalekim od wystawności. Pewnie inteligenckim, pełnym książek i poważnych tematów, ale z pewnością niezbyt zamożnym.

Starał się rozmawiać z nią jak profesjonalny agent nieruchomości – prezentując wszystkie zalety wystawionego na sprzedaż domu – ale podobnie jak ona, nie do końca mógł się skoncentrować na tajnikach technologii budowlanej. Wyczuwał, że technikalnia interesują ją znacznie mniej niż innych potencjalnych nabywców. Że całe jej skupienie nie jest merkantylną analizą wartości domu, ale czymś znacznie głębszym: doznawaniem przyjemności estetycznej płynącej z całości efektu. Kuśilo go, by przerwać wywód i pozwolić jej na milczące przeżywanie tego miejsca, ale uznał, że byłoby to nieprofesjonalne. Podobnie jak zadanie jej szeregu osobistych pytań, które teraz krążyły natrętnie po jego głowie, nie pozwalając na przypomnienie sobie nazwy włoskiego producenta mar-

mur. Bardzo chciał wiedzieć o niej coś więcej. Kim była i skąd się tu wzięła? Jak zarabiała na życie, co ją interesowało, jaki był kolor jej mercedesa i odcień bielizny? Czy z kimś sypiała i jak wyglądała nago? Dlaczego szukała nowego mieszkania i co skłoniło ją, by zjawić się tutaj? To nie był dom dla samotnych dziewczyn. Zbyt duży i na kompletnym odludziu. Kobiety bały się takich miejsc. Zwłaszcza te, które nie miały psów, dzieci i mężów.

Zgadywał, że jest rozwiedziona. Kobieta o jej urodzie nie miała większych szans na długie pozostawanie samotną, więc kiedyś – pewnie całkiem niedawno – musiał istnieć jakiś Kowalski lub Nowak. Raczej oficjalnie poślubiony niż nieformalny. Nie miał pojęcia, skąd bierze się w nim to przekonanie, ale był tego pewien. Gdyby była z kimś w związku, obok niej kręciłby się teraz jakiś prze-mądrzały koleżka, dopytujący o rodzaj użytej gładzi gipsowej i dowodzący wyższości bloczków Ytonga nad cegłą. A jednak była tu sama...

Poczuł, że musi się w końcu zamknąć. Dać jej przestrzeń i szansę na spokojne obejrzenie domu i samotną przechadzkę po ogrodzie. Uśmiechnął się zachęcająco i szerokim gestem zaprosił ją do zwiedzania. Czas na pytania przyjdzie później, gdy nieco ją już oswoi. Zawołał psy i wyprowadził je do garażu. Nie chciał, żeby się bała. W nieracjonalny, szaleńczy, kompletnie nieuzasadniony biznesowo sposób chciał jej sprzedać ten dom. Chciał, żeby go miała, nawet jeśli zarobiłby na tym mniej, niż zakładał. Ale żeby tak się stało, musiała uwierzyć, że to jest miejsce dla niej. I poczuć, że nie może żyć nigdzie indziej. Wycofał się do kuchni i zaczął wyjmować z szafki smukłe, wysokie kie-liszki. Schłodzona w lodówce butelka szampana czekała, co prawda, na akt notarialny, ale teraz nie miało to już znaczenia. Znalazł ją w końcu. Idealnie pasującą do tego domu i do jego snuty przez ostatnie dwa lata wizji. Ta chwila wymagała toastu...

Zrzuciła szpilki i upuściła kluczyk do auta na posadzkę w holu. Podłoga pod stopami była przyjemnie ciepła. Marek pomyślał o wszystkim. Uśmiechnęła się znowu i pełnym ekscytacji krokiem ruszyła w głąb domu. W kuchni, na siedzisku hokera spał zwinięty w kłębek Stefan. Pogładziła go łagodnie po długim rudym futrze, a on uniósł głowę i zamruczał z zadowoleniem. Postawiła torebkę na blacie, wyjęła z niej paczkę papierosów i zapaliła slima. Cienka strużka siwego dymu popłynęła w stronę sufitu, wybarwiając się w locie delikatnymi odcieniami tęczowych odbłyśków. W domu panowała niczym niezmacona cisza. Przez szczelnie zamknięte okna nie przedostawał się nawet szum poruszanych wiatrem liści. Sięgnęła po pilota i nacisnęła guzik. Przestrzeń wypełnił szorstki wokal Caroline Henderson i głębokie dźwięki towarzyszącej jej sekcji rytmicznej. Dolby Surround i ustawienie odtwarzacza w trybie koncertu tworzyło ułudę klubu. Tomasz byłby z niej dumny. Słuchała jego muzyki. Może nie w sensie dosłownym, ale przecież był to jazz. Przymknęła oczy i zaciągając się papierosem, smakowała przez chwilę pomrukujący w domu kontrabas. Zamiast o Tomku i jego palcach na strunach basu, znowu jednak myślała o Marku. Jak zawsze z podziwem dla jego perfekcji, na którą natykała się w każdym zakamarku tego miejsca. Gdyby nie on i nienaganne rozprowadzenie dźwięku po domu, muzyka brzmiałaby w tej przestrzeni płasko i niewyraźnie. Odbijałaby się od ścian, tworząc nieznośną kakofonię zamiast idealnie brzmiącego zestawu akordów. Uśmiechnęła się. Zawdzięczała temu mężczyźnie gros doznawanych ostatnio

przyjemności. Może nie wszystkie, ale z pewnością większość. On był twórcą tego miejsca i siłą, która wypełniała teraz dom dźwiękiem. On sprawił, że drogę do garażu oświetlały po zmroku jasne snopy światła, że ogród podlewał się bez jej udziału, a podłoga była ciepła. On zadbał o to, by była tu bezpieczna. Chroniona przed intruzami rozmieszczonymi na wszystkich oknach i drzwiach kontaktronami, zabezpieczającymi sypialnię czujnikami ruchu i ukrytymi w zakamarkach podwieszanego sufitu czujkami stłuczeniowymi. Nie uważała, że czynienie z wnętrza domu twierdzy było konieczne, ale doceniała jego zapobiegliwość i troskę. Podobnie jak fakt, że gdy po raz pierwszy po przeprowadzce otworzyła lodówkę, jej oczom ukazał się szpaler schłodzonych butelek szampana i koszyk truskawek. Nie musiał ich dla niej zostawiać, a jednak to zrobił. Jego kurtuazja wykraczała daleko poza przyjętą na rynku normę. Nie miała pojęcia, czemu zawdzięcza to niezwykle traktowanie. Bo chyba nie każdy z jego kontrahentów mógł liczyć na taką uprzejmość? Wątpiła w to szczerze. Woźniak od pierwszej chwili traktował ją wyjątkowo. Nawet wówczas, gdy po raz pierwszy oglądała dom. Wtedy też otworzył dla niej Moëta. Broniła się, tłumacząc, że przecież prowadzi, ale on nie przyjmował odmowy. Zresztą butelka była otwarta i drobne bąbelki unosiły się powoli w kieliszkach, pękając bezgłośnie na słomkowej tafli szampana. Sączyła go lekko onieśmielona, wiedząc, że jest nikim więcej niż zwykłą oszustką, która wprowadziła go w błąd, pojawiając się tutaj i udając, że stać ją na kupno. Tak jakby była w stanie wydać polecenie przelewu i rozkaz wniesienia swoich rzeczy do tej perfekcyjnej przestrzeni.

Pili powoli, w całkowitym milczeniu, przyglądając się sobie i nie mając odwagi powiedzieć tego, co ostatecznie musiało paść. W końcu Marek otworzył usta, zawahał się lekko i rzucił z napięciem w głosie:

– Chcę, żebyś miała ten dom.

Spojrzała na niego ze zdumieniem i zaczerwieniła się po linię włosów jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku.

– Jest piękny, ale... niestety mnie nie stać...

Jego źrenice rozszerzyły się lekko, a ona zmartwiała, myśląc, że zaraz wszystko się skończy. On przestanie być nadskakująco miły i z irytacją niezadowolonego sprzedawcy odprowadzi ją w stronę drzwi. W zasadzie na jego miejscu rozważyłaby również spuszczenie amstaffów ze smyczy. Przez krótką chwilę trwała w bezruchu, czekając na nieuchronny jej zdaniem rozwój wydarzeń, lecz nic się nie działo. Woźniak patrzył tylko na nią intensywnie, skupiony, ale bynajmniej nie wściekły. Może zdumiony jej impertynencją i niegotowy na taką bezczelność, a może wstrząśnięty podłą kondycją pełnego krętaczy świata. Cisza i oczekiwanie na werdykt były ponad jej siły. Gotowa była przeprosić, uciec i gdyby to tylko było możliwe, zapaść się z hukiem pod ziemię. Byleby tylko dłużej na nią nie patrzył. Spuściła wzrok i wbiła go w paski swoich sandałów. Z każdą chwilą coraz bardziej pewna, że gniew Woźniaka – gdy w końcu wybuchnie – będzie potworny i nieokiełznany. Czekwała na krzyk i pretensje, lecz nagle, całkowicie wbrew jej przewidywaniom, Marek zaśmiał się na głos. Śmiał się długo, perliście, z wielkim, niepohamowanym rozbawieniem. Aż do momentu, gdy zaczęło brakować mu tchu, a w kącikach oczu pojawiły się łzy. A ona, patrząc na niego, walczy-

ła z konsternacją oraz wielką potrzebą zawtórowania mu w jego głupawce. Jego śmiech wypełniał całą kuchnię, niósł się po domu w kolejnych salwach i w końcu ją zaraził. Zaśmiała się. Na początku niepewnie, a po chwili – doceniając absurdalność przeżywanej właśnie sytuacji – pełną piersią i bez skrępowania.

Kiedy znowu spowaźniał, spojrzął na nią z wyraźnym skupieniem i zadał tylko jedno pytanie:

– Podoba ci się?

Skinęła głową, bo żaden z przychodzących jej na myśl komplementów nie oddawał urody tego domu.

– A zatem... – uniósł kieliszek w niemym toaście – będziesz go miała.

Spojrzała mu w oczy i zrozumiała, co do niej mówi. Miał rację. Pragnęła tego domu i musiała go mieć. Niezależnie od ceny, wysiłku i ryzyka. Pytanie o dom nie brzmiało już: „czy?”. Brzmiało: „jak?”. Jej oczy zwęziły się niczym u drapieżnika, który zwęszył ofiarę, a mózg zaczął pracować na najwyższych obrotach, wyceniając dom, w którym obecnie mieszkała, sprawdzając wartość depozytów i szacując posiadaną aktualnie zdolność kredytową. Wciąż brakowało, więc przebiegła myślą po innych aktywach i wyceniła szczodrość rodziców.

Woźniak przyglądał jej się teraz z wyraźną przyjemnością. W jednej chwili z dobrze opakowanej, atrakcyjnej kobiety zmieniła się w biznesmena. Wiedział dokładnie, że właśnie przelicza pieniądze. Błysk w jej oczach był nazbyt dobrze mu znany, by mógł go pomylić z czymkolwiek innym. Wiedział, że sprzedał jej dom i że butelka szampana była na miejscu. Nie miał jeszcze pojęcia, na ile faktycznie ją stać, ale nie martwił się tym przesadnie. Była nagrodą samą w sobie. Pasowała do luksusowego portfolio jego inwestycji i katalogu idealnych nabywców. Chciał ją mieć w swojej stajni. Obnosić się z nią jak z żywą reklamą własnego sukcesu. Szczerze mówiąc, chciał również ją zerznąć. Na kuchennym blacie, o który się opierała, albo od tyłu, rozpostartą szeroko na bryle przedzielającego salon kominka. Przełknął ślinę i zbeształ się w myślach: jeszcze nie teraz.

Skończyła swoją kalkulację i uśmiechnęła się lekko. Jeśli uda jej się sprzedać segment w Falentach i kawalerkę na Mokotowie, to wszystko się zepnie. Przy odrobinie szczęścia nawet bez wsparcia rodziców. Odetchnęła głębiej i zanurzyła usta w kieliszku. Czyżby ten facet zawsze miał rację...?

Kolejne tygodnie jednoznacznie wskazywały, że tak właśnie było. Spotykali się przez ten czas regularnie, ustalając terminy i kształt umowy. Marek nie naciskał ani nie pospieszał. Szeregówkę w Falentach wziął w rozliczeniu, co, jak tłumaczył jej później, pozwoliło na obniżenie wartości transakcji. Podrasuje trochę jej segment, a potem odrobi marżę na kolejnej sprzedaży. Może sam w nim zamieszka? Jej dom bardzo mu się podoba. Skoro dotychczas pasował do niej, to równie dobrze będzie odpowiedni dla niego. W końcu mają podobny gust. A jeśli już miałby mieszkać w domu po innej osobie, to woli, żeby ściany pachniały jej perfumami. Innego zapachu już teraz by nie zniósł.

Uśmiechała się, słuchając jego wywodów. Był albo znakomitym sprzedawcą, albo potężnym pochlebcą. Zresztą jedno nie wykluczało drugiego. A ona nie musiała się nad tym zastanawiać. Skoro zdecydował się na zamianę z dopłatą, widocznie dobrze to przeliczył. Był profesjonalistą. Żył

z tego. Czuła się całkowicie zwolniona z obowiązku dalszych rozważań czy wyrzutów sumienia. Każde z nich dostało to, czego chciało.

Przeszła do sypialni, zdjęła z siebie ubrania i owinęła się sięgającym aż do kostek, jedwabnym bordowym szlafrokiem. Jego chłód na skórze był przyjemny, a śliska tkanina ocierała się delikatnie o jej sutki i pośladki. Znów pomyślała o Tomku. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, w najbliższy weekend nie wyjdą z łóżka. Od czasu jego ostatniej wizyty w Warszawie minęły już trzy tygodnie i coraz częściej zdarzało jej się fantazjować o seksie. Nawet w najmniej do tego odpowiednich momentach. Nie miała pojęcia, jak on radził sobie przez ten czas w trasie. Miała tylko nadzieję, że atmosfera klubów i pity po koncertach bourbon nie skłoniły go do rzucenia się między rozwarłe ochoczo uda wielbicielek. Złapała się na tej myśli i roześmiała do jej hipokryzji. Sama była jedną z zaczepionych przez niego fanek. Grupie, jak czasem wspólnie się śmiali. Jeśli jakakolwiek kobieta miała prawo go ograniczać, to z pewnością nie ona. Od zrzędzenia i scen zazdrości miał żonę.

Wróciła do kuchni, otworzyła lodówkę i wyjęła jedną z sześciu butelek. Henderson skończyła już śpiewać, ale chwilowo nie miała ochoty na kolejną porcję jazzu. Nawet tego z najnowszej płyty Tomka. Chciała, żeby tu był. W jej pierwszą noc spędzaną w tym domu. Chciała, by rozdzwiczył z nią nowe łóżko w sypialni, przetestował wytrzymałość kuchennych blatów i dotyk ciepłej podłogi na skórze. Nalała sobie wina, odpaliła kolejnego papierosa i przeszła powoli na sofę w salonie. Kieliszek w ręku dawał jej poczucie, że nie jest tu sama. Marek, jak dobry duch, wciąż krążył po domu.

Obudziła się i przeciągnęła wygodnie pod pachnącą krochmalem pościelą. W dzisiejszych czasach nikt już nie nosił prześcieradeł do magła, ale ona wciąż lubiła zapamiętaną z dzieciństwa gładką sztywność poszewek. Nagrodą za wszystkie godziny spędzane z żelazkiem przy desce były dwie krótkie chwile: kiedy kładła się wieczorem w sztywne, łamiący się pod jej ciężarem materiały i rano, gdy po przebudzeniu poszwa dotykała jej ciała przypominającą papier kredowy gładkością. Przeciągnęła się jeszcze raz, a rozbudzony jej ruchami Stefan miauknął i przelazł z wymoszczonego sobie w jej nogach gniazda wprost na rozrzucone na poduszce włosy. Jego nachalna, kocia przymilność nieodmiennie sprowadzała się do tego, by usadowić się odbytem wprost na twarzy czczonyj akurat osoby, więc zanim zdołał przykucnąć nad jej policzkiem, odegnała go zniecierpliwionym ruchem ręki i otworzyła oczy. Wokół panował mrok, ale nie miała poczucia, że wciąż jest środek nocy. Powód musiał być inny. Uniosła się na łokciu, rozejrzała po sypialni i uświadomiła sobie, że nie jest już w starym domu. Przeprowadziła się.

Opadła na poduszki i wyciągnęła rękę w stronę leżącego na wezglówiu pilota. Rolety w sypialni i sąsiadującej z nią łazience zaczęły się podnosić bezszelestnie, wpuszczając do środka szare, listopadowe światło. Drzewa za oknami wciąż miały liście, ale te spadały teraz na trawnik, odrywane od gałęzi kolejnymi podmuchami wiatru. Zarejestrowała w myślach, że musi zgrabić trawnik i sięgnęła po leżący na szafce zegarek. Była jedenasta. Usiadła nerwowo zdziwiona faktem, że przespała tyle godzin. Przeprowadzka i emocje związane z nowym miejscem naprawdę ją wykończyły. A może chodziło o butelkę wypitego przed snem szampana? Niezależnie od powodów musiała się brać do pracy. W garderobach i kuchni wciąż stały nierozpakowane kartony, a ona chciała jeszcze obejść spokojnie ogród. Po raz pierwszy była tu sama. Bez Marka, Przemka i ekipy przeprowadzkowej. Bez oczu, które śledziły każdy jej krok i dłonie przytykane do delikatnej kory platanów. Które mogły dostrzec rozanielony uśmiech głupca na jej pokrytych pomadką ustach.

Zerwała się z łóżka, naciągnęła na siebie dres i związała włosy gumką. Pysznic przed rozpakowaniem stosów czekających na nią kartonów nie miał większego sensu. Kawa – tak. Przeszła z sypialni do kuchni, licząc dzielące ją od ekspresu kroki. Sześćdziesiąt cztery? Musiała się pomylić. Dom był wielki, ale chyba nie aż tak? Zwalczyła w sobie chęć powtórzenia eksperymentu i zaczęła robić kawę. Stefan przypędził za nią swoim świńskim truchcikiem i krążył już wokół stojącej na podłodze miski, przeszła więc do spiżarni, zastanawiając się, w którym z ośmiu piętrzących się w rogu kartonów jest sucha karma.

– Przykro mi, Stefan, będziesz musiał poczekać... – mruknęła do niego i zawróciła w stronę ekspresu.

Poranna dawka kofeiny była priorytetem. Bez niej nigdy nie była w stanie do końca się obudzić. Cappuccino na podwójnym espresso i papieros czyniły cuda. Śniadań nie jadała od lat. W dawnych, przedpotopowych z dzisiejszej perspektywy czasach co rano robiła kanapki dla siebie i męża. Wraz

z rozwodem ten uciążliwy zwyczaj zniknął z jej życia. Bez obciążonego posiłkiem żołądka czuła się lepiej. Dolane do kawy mleko wystarczało do popołudnia.

Pociągnęła głęboki łyk i otarła ręką mleczną pianę, która osiadła jej na górnej wardze, a następnie sięgnęła po leżącą na blacie paczkę slimów, przysunęła sobie popielniczkę i zawisała na stojącym przy linii szafek stołku barowym. Mentolowy smak wypełnił jej usta i wypłynął z nich siwą chmurką dymu. Uwielbiała ten moment. Palenie było zakazane, potępiane przez jej rodziców i – w obecnych czasach – mocno dekadencjonalne. Oddawała mu się z rozkoszą. Tym większą, im głośniejsz grzmiały przestrogi na temat zgubnego wpływu tego potwornego nałogu na cerę, płodność i płuca. Zaciągnęła się po raz drugi, pociągnęła kolejny łyk kawy i pozwoliła Stefanowi, by wskoczył jej na kolana. Jego domagające się żarcia miauczenie było coraz bardziej żalosne i przenikliwe, odłożyła więc kubek i papierosa, a potem zgoniła go z kolan.

– No dobra, chłopaku. Poszukajmy twojego jedzenia...

Kartony w szpiźni opisane były profesjonalnie krzywym, męskim pismem. Szkło, garnki, przyprawy i makarony, słoiki... Przeglądała etykiety, podziwiając usystematyzowaną precyzję, z jaką Przemek spakował zawartość jej szafek kuchennych. Zrobił kawał świetnej roboty i była mu za to potwornie wdzięczna. Gdyby nie on, nigdy nie zdążyłaby się spakować. Nawet z pomocą wynajętych panów z firmy transportowej. To on przez cały dzień nadzorował proces pakowania, on oklejał pudła i oznaczał je w zależności od tego, co zawierały. On dopilnowywał, by przypadkiem nie postawili kartonu ze szkłem na spodzie wypełniającego pakę ciężarówka stosu. Podobnie jak Marek, choć w inny, bardziej przyziemny sposób, okazał się nieoceniony. Gdyby nie on, podcięcie żył na sposób rzymski byłoby jedynym honorowym wyjściem z impasu. Bo szanse na to, że poradziłaby sobie z tym sama, były zerowe.

Przesunęła stos kartonów i przedostała się w głąb pomieszczenia. Talerze, puszki, artykuły sypkie. Zastanowiła się przez moment, czy kocie żarcie mieści się w sekcji puszek czy artykułów sypkich. Swoją drogą, jaki mężczyzna używał tego rodzaju określeń? Chyba tylko taki dziwak jak Kempa. Rozcięła karton, ale poza puszkami z tuńczykiem, kukurydzą i kaparami nie było tam wiele więcej. Więc jednak „sypkie”. Uniosła brwi w rozbawieniu. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, by spakować suchą karmę razem z ryżem, cukrem i mąką. Męska logika była jednak nieprzejednana. Sypkie to sypkie.

Stefan dostrzegł zieloną torbę w jej ręce i z cichym kwikiem poleciał w stronę pustych misek. Uśmiechnęła się na widok jego rozkołysanego ekscytacją ogona i wzruszyła ramionami. Był typowym facetem. Pełna micha i wygodne posłanie stanowiły patent na szczęście. Gdyby nie fakt, że w późnym dzieciństwie odarła go z kociej męskości, w katalogu byłyby również harce marcowe. Dzięki cudowi weterynarii Stefan odróżniał się jednak od innych mężczyzn w jej życiu: nie znokwował terytorium i nie ulegał porubstwu.

Zaśmiała się jeszcze raz i napełniwszy mu miskę, wróciła do tłącego się na popielniczce papierosa. Kot był w porządku. Była do niego przywiązana. Kochała go. Sypiała z nim w jednym łóżku. Faceci się zmieniali, a on zawsze był przy niej. I nawet jeśli zdarzało jej się porównywać go w my-

ślach do innych samców, doskonale wiedziała, że są to metafory krzywdzące. Dla niego, rzecz jasna.

Weźmy na przykład takiego Kempę. Wydawał się w porządku, ale gdy zastanawiała się nad tym dogłębniej, czuła wyraźnie, że coś jest nie tak. Pomógł jej w przeprowadzce, to prawda. Sam się zaoferował i poświęcił cały dzień na nadzorowanie ekipy. To był gest bez precedensu. Żaden z najbliższych przyjaciół nawet się nie zająknął z propozycją pomocy. I wcale się im nie dziwiła. Tomek był w trasie. Marta, Kaśka i Janek mieli swoje sprawy, Irek rodzinę, a Marcin ekstrawaganckie kluby waginosceptyków. Beata z Andrzejem byli zbyt luksusowi i rozleniwieni. A reszta znajomych zwyczajnie nie mieściła się w zaufanym, najbliższym jej gronie. Przemek zresztą też się nie mieścił. Ale on, jako jedyny, zaoferował pomoc.

Nie do końca rozumiała, dlaczego to zrobił. Nie musiał, a ona nie oczekiwała pomocy. Zwłaszcza od niego. Z perspektywy czasu wiedziała, że nie dałaby sama rady, ale w momencie, gdy nalegał, by pozwoliła mu pomóc, był w niej wyraźny opór. Nie znała go zbyt dobrze i szczerze mówiąc, nie bardzo chciała go poznać. Odstraszał ją swoim dziwactwem i – tak, nie bójmy się tego powiedzieć – również swoim wyglądem. Nie chciała, żeby zbliżył się do niej, bywał w jej domu, spędzał z nią czas. Nie chciała go w swoim życiu, bo przerażały ją jego dziwne opowieści, nerwowa, żylasta chudość i ohydne szare zęby.

Wzdrygnęła się na wspomnienie Kempy i trzymane w ręce pudełko makaronu wypadło jej z ręki. Spojrzała na jego wgięte od uderzenia rogi i uświadomiła sobie nagle, że pozwalając mu na to, by pomógł jej w przeprowadzce, otworzyła przed nim drzwi do swojego świata. Zrobiła coś, przed czym wcześniej broniła się zaciekle przez kilka miesięcy. Wpuściła go do swojego domu, pozwoliła dotykać swoich rzeczy, zaglądać do szuflad, przekładać należące do niej przedmioty. Zrobiła to, bo tak było wygodniej. Bo oferował pomoc, o którą nikogo – nawet rodziców – nie chciała prosić. Czy gdyby zwróciła się do nich, to Kaśka z Martą by odmówiły? Na pewno nie. Podobnie jak matka, która niezależnie od ceny wsiadłaby bez wahania do samolotu. Tylko po to, aby pakować makaron do pudeł. A jednak ich nie poprosiła. Nie dlatego, że były niechętne do pomocy. Z własnej, pieprzonej ambicji.

Wytarła dłonie w spodnie dresowe. Kempa był odstręczający. Niski, chudy, przedwcześnie posiwiały facet o wyglądzie degenerata. Jego popsute zęby i marmurkowe dżinsy przywodziły na myśl pijaczków siedzących przez całe dni pod wiejskim GS-em. Trącających moczem i tanim jabolem. Ale to nie była cała prawda o nim. On był czysty i zawsze pachniał proszkiem do prania. Jego wypowiedzi nie były wulgarne ani bełkotliwe. Był też – wbrew wszelkim pozorom – podwójnym magistrem. Nie mogła odmówić mu inteligencji i czytania, a jego znawstwo bieżących wydarzeń, trendów muzycznych oraz tendencji w kulturze zdecydowanie przerastało jej wiedzę. Był dziwny, to prawda, ale gdyby jego dziwactwo zostało ubrane w bardziej atrakcyjne ciało, nie reagowałyby na jego obecność wzdrygnięciem wstrętu. Gdyby tylko wyglądał inaczej... Nie wyglądał. A ona była powierzchowną i płytką, oceniającą książki po okładkach pozerką. Może nie złą w swoich intencjach, może i adekwatną do współczesnego świata, ale jednak...

Zaczerwieniła się ze wstydu z powodu wytartej w dres dłoni i podniosła upuszczone na podłogę pudełko. Może nie powinna go była odsuwać od siebie tylko z racji wyglądu i kuriozalnych historii, które opowiadał z taką lubością? Może powinna przedstawić go swoim znajomym i przekonać przyjaciół, że jest nieszkodliwym, nawet jeśli potwornie brzydkim, wariatem? Przecież nie robił niczego złego. Nawet jeżeli był dziwolągiem. Odstawiła makaron na półkę i zanurzyła rękę w kartonie. Artykuły sypkie? Wciąż wydawało jej się to nieco dziwaczne. Ale przecież Przemek był dziwny. Zdecydowanie bardziej niż jakakolwiek znana jej dotąd osoba.

Wciąż pamiętała ich pierwsze spotkanie. Było upalne lato. Sierpniowy żar drgał nieznośnie na betonowych ulicach Warszawy, a w pozbawionym klimatyzacji szeregowcu temperatura sięgnęła dwudziestu ośmiu stopni. Było nie do wytrzymania. O piętnastej słupek rtęci na zewnątrz doszedł do trzydziestu siedmiu stopni, a sąsiad za płotem – w wyraźnym akcie desperacji – włączył zraszacz i położył się w gaciach na trawie. To przeważało szalę. Zarzuciła na siebie krótką, bawełnianą sukienkę i wskoczyła do samochodu. Zanim dotarła do alei Krakowskiej, klimatyzacja obniżyła temperaturę wewnątrz do rześkich dwudziestu trzech stopni.

Przez godzinę jeździła po Warszawie, obserwując zlanych potem, uciekających do cienia przechodniów i drgające powietrze nad rozgrzany do nieprzytomności asfaltem. Tuż nad jezdnią tworzyły się pozorujące kałuże fatamorgany. Miała ochotę na papierosa, ale palenie w samochodzie przy zamkniętych oknach nie wchodziło w rachubę. Zjechała więc Belwederską, skręciła w Gagarina, a potem w Stępińską i zatrzymała samochód w cieniu – tuż przy bramie do Łazienek. Skoro już tutaj dotarła, mogła się przejść. W parku było chłodniej, choć temperatura daleka była od komfortowej. Po pięciu minutach sukienka przykleiła się jej do ciała, ale i tak było to nic w porównaniu z upałem, jaki czekał na nią w domu. No i tu nikt nie bawił się w mistera wilgotnych ślipek.

Przeszła kilkaset metrów i usiadła na jedynej w zasięgu wzroku pustej ławce w cieniu. Tkwiała na niej przez dwie godziny w obawie, że gdy tylko oderwie od niej pośladki, któraś z mijających ją, rozgrzanych do czerwoności rodzin zagarnie łapczywie cenny kawałek deski. Z letargu obudziły ją pierwsze wielkie krople przebijające się przez szczelną pokrywę z liści ponad jej głową. Rozejrzała się wokół i zobaczyła, że leje, a niemrawi dotąd przechodnie biegną teraz w panicznym truchcie w kierunku bramy wejściowej. Ich zachowanie wydało jej się z początku nieracjonalne. Zwłaszcza w kontekście niekonwencjonalnych metod walki z upałem, jakie stosował jej sąsiad. Pięć minut później nie była już taka pewna i sama, ukrywając się pod osłoną gałęzi, zaczęła biec w stronę wyjścia. To nie był deszcz, tylko jakiś szalony potop. Woda lała się strumieniami, sukienka przywierała jej do ciała, a przemoczona na wylot słoma espadryli sprawiała, że każdy kolejny krok był coraz cięższy. Pokonała połowę drogi i się poddała. Należało przeczekać. Tylko gdzie? Uniosła pochyloną dotąd twarz i rozejrzała się wkoło. Kilka metrów dalej stała budka parkowego strażnika. Dobiegła do niej, z impetem wpadła pod daszek i wyhamowała dopiero w zaskoczonych objęciach przypominającego szkielet, potwornie brzydkiego faceta. Uśmiechnął się do niej, odsłaniając garnitur szarych, przeżartych jakąś przedziwną chorobą zębów, a ona odskoczyła w przerażeniu na zewnątrz.

Zlewająca się z dachu woda spadła jej na plecy i ponownie zapędziła pod dach, a odrażający mężczyzna w środku uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Spokojnie, nie gryzę. Może pani wejść. Jest miejsce dla dwojga.

Uśmiechnęła się przepraszająco, zdając sobie w pełni sprawę, że jej reakcja na jego wygląd nie była szczególnie uprzejma. Szczerze mówiąc, bardziej pasowała do niskobudżetowego horroru niż niedzielnego popołudnia w Łazienkach. Już miała zacząć się tłumaczyć, że nie spodziewała się czyjejkolwiek obecności pod dachem, kiedy dotarło do niej, że nieznajomy nie poczuł się urażony. Tak jakby nie wiązał jej przerażenia ze swoim wyglądem.

– Jestem Przemek – zagaił uprzejmie, wyciągając w jej stronę trupio chudą dłoń o długich palcach i żółtych od tytoniu paznokciach.

– Ania...

Oddała uścisk jego ręki i odsunęła się lekko, aby nie ocierać się o niego swoim oblepionym sukienką ciałem. Spojrzała po sobie i dopiero teraz dotarło do niej, że przemoczona biel perkalu ujawniała wszystko, co miała pod spodem. A raczej czego nie miała. Założyła ręce na piersiach i odwróciła się do niego bokiem.

– Spokojnie. Nic nie widziałem.

Wiedziała, że uśmiecha się teraz szeroko, ale nie miała odwagi spojrzeć ponownie na jego twarz. Z głosu udało jej się wyczytać jego rozbawienie, ale w wypowiedzianych przez niego zdaniach nie było ani cienia seksualnej aluzji. Głos był spokojny, życzliwy i ciepły.

– Pewnie zaraz przestanie padać. – Próbował zmienić temat i odwrócić jej uwagę od przemoczonej kiecki. – Mam przynajmniej nadzieję, że przestanie, bo o dwudziestą muszę być w pracy.

Podniosła głowę i spojrzała na niego pytająco. Bądź co bądź był niedzielny wieczór. Nawet robotnicy nie pracowali.

– Zaczynam o ósmej. Zaraz po wiadomościach – wyjaśnił, odczytując bezbłędnie tok jej myślenia. – Nie w telewizji, rzecz jasna. Urodę, jak widać, mam typowo radiową.

Parsknęła śmiechem i po raz pierwszy spojrzała na niego bez obrzydzenia. Może i był potwornie brzydki, ale przynajmniej miał dystans do siebie.

– Kiedyś przeprowadzałem wywiad z Polańskim. Zobaczył mnie i się zakochał. Twierdził, że wyglądam dokładnie tak jak mieszkańcy getta w czterdziestym czwartym. Wziął ode mnie numer telefonu i kiedy zaczynał zdjęcia do *Pianisty*, zaprosił mnie na plan. Miałem być statystą...

Spojrzała na niego wnikliwie i dopiero teraz dostrzegła, że silnie zarysowany nos i głęboko osadzone oczy nie są wyłącznie wynikiem wychudzenia.

– Stawiłem się na planie, ubrali mnie w jakieś łachmany i wypuścili przed kamerę – ciągnął wątek, nie zważając na jej pełne namysłu spojrzenie. – Uznali, że nie potrzebuję lepszej charakterystyki. Nawet makijaż był zbędny. – Zachichotał. – Mieliśmy wozic cegły w taczkach, czy coś takiego. Ruszyło, zaczęli nagrywać, Polański siedział i oglądał scenę na monitorze. Wydawało mi się, że wszystko szło jak trzeba, ale nie dotarliśmy nawet do połowy ujęcia, gdy zaczął krzyczeć, że mają zatrzymać kamery. Wypadł na środek, złapał mnie za łokieć i mówi: „Bardzo pana przepraszam,

ale nie może pan wystąpić. Wygląda pan, jakby za chwilę miał umrzeć. Bardzo przepraszam, ale pana wygląd to jednak przesada...”.

Zawiesił głos w oczekiwaniu na jej śmiech, więc uśmiechnęła się lekko. Nie wierzyła w ani jedno słowo opowiedzianej jej anegdoty, ale nawet gdyby cała ta sytuacja miała się okazać prawdą, nie byłoby w niej nic zabawnego. Wzdrygnęła się, a on wzięwszy jej drzenie za oznakę chłodu, sięgnął do stojącego w kącie plecaka i wyjął z niego tanią dzinsową kurtkę.

– Proszę. Jest czysta. Prosto po praniu...

Pozwoliła mu okryć sobie ramiona skonsternowana całą sytuacją. Nie wiedziała, co ma myśleć na temat swojego towarzysza. Mógł być równie dobrze wariatem, co rzeczywistym dziennikarzem radiowym. Mógł znać Polańskiego albo jedynie oswajać ją ze swoją potworną brzydotą tą kuriozalną, wymyśloną naprędce historią. Wciągnęła głęboko powietrze w płuca i wyczuła wyraźny zapach proszku do prania. Przynajmniej to było pewne: kurtka faktycznie była świeżo po praniu.

– Ja ciągle piorę – wyjaśnił skwapliwie, jakby znów czytał jej w myślach. – Wychowuję samotnie ośmioletnią córkę, a dzieci ciągle się brudzą. Zwłaszcza w wakacje.

Znów spojrzała na niego ze zdziwieniem. Myśl, że mógł mieć dziecko, była równie absurdalna, co historia z Polańskim. Nie wyobrażała sobie, by kiedykolwiek, nawet dziewięć lat wcześniej, mógł być atrakcyjny dla jakiegokolwiek kobiety. Jeśli cokolwiek pasowało do niego, to samotne wychowywanie dziecka. Może była bezwzględna w swoich ocenach, może powinna się wstydić, ale jeśli kiedykolwiek udało mu się zapłodnić kobietę, to wcale się nie dziwiła, że biedaczka uciekła, porzucając go z dzieckiem. Patrzenie na niego było ponad siły każdej normalnej osoby.

– Ma na imię Renata – mówił dalej, jakby nie mógł przestać nawet na chwilę. – Nie jest to imię, jakie sam wybrałbym dla dziewczynki, ale moja żona nie grzeszyła szczególnym fonetycznym wyczuciem. Renata Kempa. Straszne, ale cóż zrobić.

Robiło się coraz ciekawiej. Więc jednak jego dziecko nie było wynikiem jakiegoś jednorazowego przypadku przy zgaszonym świetle i szczelnie zaciągniętych zasłonach. Była jakaś pani Przemysławowa Kempowa.

– Potworne, faktycznie... – wyrwało jej się, zanim zdołała się ugryźć w język.

– Prawda? – przytaknął skwapliwie. – Ale cóż, dzieci kocha się niezależnie od wszystkiego. A jedyna wada mojej córki to imię. Poza tym jest śliczna, zdolna i raczej nie stwarza problemów.

„O losie!” – jęknęła w duchu, mając nadzieję, że facet oszczędzi jej dalszych szczegółów. Próba wyobrażenia sobie jego „ślicznego” dziecka była ponad jej siły. Nawet wówczas, gdy usiłowała krzyżować go w myślach z Monicą Bellucci, Sharon Stone czy Charlize Theron. Za każdym razem jego ptasia twarz z haczykowatym nosem, zbyt blisko osadzone małe oczka i sterczące w dawno nieobcynanym jeżu siwe włosy przebijały na wierzch obrazu. A gdy w końcu dziecię się uśmiechało, zza wąskich, lekko sinych warg zaczynały wystawać szare ogryzki przezartych próchnicą zębów.

– Chyba przestaje...

Wyjrzała z budki w nadziei, że może ma rację i uda jej się uwolnić od przerażającego towarzysza niedoli. Niestety, deszcz ciągle padał i nic nie wskazywało na to, że coś może się zmienić.

– Chyba bardzo chcesz się mnie pozbyć. – Zaśmiał się. – Szkoda. Już sądziłem, że będę miał koleżankę. Renatka lubi, gdy mam przyjaciółki.

Po raz pierwszy jego głos zabrzmiał dwuznacznie. Seksualna aluzja zawisła w dusznej przestrzeni, a ona poczuła, że pocała jej dłonie.

– Wiesz, ona potrzebuje kobiecego towarzystwa – zagadał znowu, jakby próbował pokryć niezręczną obcesowość poprzednich dwóch zdań. – Jej matka się nią nie interesuje. Zostawiła nas dla jakiegoś Araba i wyjechała z nim do Jordanii. A ja muszę się teraz zмагаć z wyborem pierwszego stanika...

Tego było już zdecydowanie zbyt wiele. Pani Kempowa odjeżdżająca z autobusem Arabów i stanik dla ośmiolatki. Facet był świrem. Jednoznacznie i ponad wszelką wątpliwość.

– Tak, tak... – niezniechęcony jej miną ciągnął swój wywód. – W dzisiejszych czasach dziewczęta dorastają szybciej. Moja siostra pierwszy biustonosz dostała, jak miała czternaście lat. A teraz? U Renatki w klasie wszystkie już noszą staniki.

Ratunku! Jeszcze chwila, a gość zacznie opowiadać o pierwszej menstruacji i podpaskach ze skrzydełkami! Jeśli naprawdę pracował w radiu, to bała się myśleć, o czym bredził swoim słuchaczom.

– Dlatego lubi, jak mam koleżanki. Może sobie poobserwować kobiety. Nie tylko panie nauczycielki. No i ktoś może ją w razie czego zabrać na zakupy. Bo ja jestem w tych sprawach beznadziejny. Nie radzę sobie w sklepach z dziewczęcą bielizną...

Przejechała po nim wzrokiem i westchnęła w duchu. Sprany, rozciągnięty T-shirt w kolorze khaki i marmurkowe dzinsy świadczyły dobitnie o tym, że nie radził sobie w żadnym sklepie. Dziewczęce staniki nie miały tu nic do rzeczy.

– My tu sobie gadu-gadu, a ja za godzinę muszę być na antenie...

Wyjrzał z budki na zewnątrz. Deszcz wciąż był rzęsisty, ale krople wyraźnie mniejsze.

– Może uda mi się jakoś dobiec do najbliższego przystanku. Kurtkę możesz zatrzymać. Albo mi ją odesłać. Albo odwieźć mi ją do domu i poznać Renatkę. Jak wolisz. Choć oczywiście byłoby nam niezmiernie miło, gdybyś wpadła na herbatę z głogu i ciastko. Renatka byłaby tobą zachwycona. Ma taką samą sukienkę jak twoja. Dostała od mojej siostry.

Pochylił się znowu nad plecakiem, wygrzebał z jego bocznej kieszeni wyświechtaną, pogiętą wizytówkę oraz długopis i zaczął gryzmolić na odwrocie.

– To jest moja wizytówka. Jest na niej komórka, a z tyłu zapisałem ci Skype'a i adres domowy. Miło było cię poznać! I mam nadzieję, że nas jednak odwiedzisz!

Zanim zdążyła otworzyć usta, wybiegł na deszcz i pognął w stronę najbliższej bramy z zadziwiająco energią sprintera. Jego sprawność fizyczna była szokująca i nie pasowała do zaszuszonego, zmordowanego życiem ciała. Oderwała wzrok od pleców mężczyzny i spojrzała na trzymaną w ręce wizytówkę. „Przemysław Kempa, redaktor”. Komercyjna stacja ogólnopolska. Czołówka radiowego rankingu. Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Myśl, że ten dziwak może nie być wariatem, nie mieściła się między skroniami.

Rozciąła opróżnione w spiżarni kartony i ułożyła je w zgrabny, płaski stos. Była znużona. Bardziej niż rozpakowywaniem pudeł myślała o Kempie. Jego obecność zawsze jej ciążyła. Budził w niej instynktowny niepokój. Czasem lęk. Obiektywnie nieuzasadniony, a jednak bardzo wyraźny. Jakby w jego nerwowych ruchach, szybkich krokach i każdym wypowiedzianym zdaniu czaiło się zagrożenie. Nie potrafiła tego zrozumieć. W Kempie nie było przecież nic groźnego. Jego niekontrolowany słowotok był niczym więcej niż chorobą zawodową. Nie odbiegał w tym zakresie od jej matki, która po latach wykładania na uczelni nie potrafiła ani na chwilę przestać konwersować. Ale wywody jej mamy były niewinne, codzienne i często banalne. W przeciwieństwie do niej Kempa rozwodził się zwykle na tematy dalekie od uznawanych powszechnie za sprzyjające rozmowie. Jego anegdoty były nie na miejscu i budziły grozę. Jak choćby ta, którą opowiedział jej, gdy w końcu zdobyła się na odwiezienie mu kurtki. W obecności swojej, zgodnie z jej przewidywaniami równie jak on szpetnej córki przeprowadził karkołomny wywód na temat własnego, rzekomo szczęśliwego dzieciństwa. Wylał z siebie historie o chłopięcych przygodach w pohitlerowskich, leśnych bunkrach i szczeniackich zabawach, którym z lubością oddawał się jako nastolatek. Zwieńczeniem wspomnień był moment, gdy zamknął na myśliwskiej ambonie kolegę z klasy, podpalił podłogę i zabrał drabinę. Gdy opowiadał tę historię, jego ciałem wstrząsały paroksyzmy niepohamowanego, dzikiego śmiechu. Córka wtórowała mu swoim szczekającym, nazbyt głośnym rechotem, a ona zastanawiała się, patrząc na tę upiorną dwójkę, czy jakikolwiek obejrzany przez nią w życiu film grozy może dorównać im w wynaturzeniu. Bardzo chciała wierzyć, że to rodzaj perwersyjnej gry, którą prowadzą z „koleżankami”, lub wkręt do ukrytej kamery. Niestety, odprowadzając ją do drzwi, Kempa nie zakrzyknął nagle: „Mamy cię!”. Nie zdementował ani jednego z wypowiedzianych nad obiecaną herbatą z głogu zdań. A ona nie miała odwagi zapytać, jak skończyła się ta makabryczna historia. Czy podpalony na ambonie delikwent zdołał zeskoczyć, czy może wylądował na oddziale poparzeń w Siemianowicach? Chciała wiedzieć, ale pytanie o zakończenie byłoby w jej ocenie rodzajem zbędnego zainteresowania, prowokującego dalsze anegdoty, a może nawet inne podobne „przygody”. Ignorowanie popisów Kempy wydawało się jedyną słuszną strategią. Dociekliwość mogłaby go jedynie zachęcić.

Odwiezienie pożyczonej kurtki nie było dobrym pomysłem. Przemek zyskał jej numer, a ona dodatkową porcję życiowej destabilizacji. Od tamtej pory, w regularnych kilkudniowych interwałach jej komórka odzywała się w najmniej do tego stosownych momentach, a ona nie rozumiała, jaki jest cel wszystkich tych telefonów. Po upiornej herbatce ich rozmowy zawsze były jego monologiem, a jej rola sprowadzała się do niechętnych, zbywających go mało uprzejmie pomruków. A jednak Kempa dzwonił. Opowiadane jej teraz historie dalekie były od makabry czy dziwaczności, ale wciąż opadały jej na barki zbędnym ciężarem. Nigdy nie wiedziała, czego się po nim spodziewać. Jaką historię – prawdziwą lub wymyśloną – jej zaserwuje ani jaka tym razem makabra go rozbawi. Przez kilka tygodni słuchała jego oracji z duszą na ramieniu, ale on, jakby przeczuwając jej obawę, trzymał się z dala od kontrowersyjnych wątków i pełnych przemocy anegdot. Mówił o kolejnym praniu, o wakacyjnych planach i zrobionych na kolację enchiladach z kurczakiem. Opowiadał o ko-

legach z pracy, letniej ramówce, hałasujących nocą sąsiadach oraz konieczności kupienia córce nowej pary sandałów. Snuł wątki codzienne, niegroźne i bliskie treściowo tym poruszonym przez jej matkę. Chciał ją oswoić. Krok po kroku, powoli, z ostrożnością rasowego ujeżdźacza koni w końcu uspił jej czujność. Doszłusował do reszty krążących wokół i pozbawionych znaczenia mężczyzn, którzy próbowali pozyskać jej zainteresowanie. Był inny niż reszta, bardziej pokraczny, kontrowersyjny i może nie do końca normalny, ale – jak ostatecznie stwierdziła – podobnie jak oni niegroźny. Wydawał się taki zwłaszcza w te dni, gdy przekonywał ją, by wpadła do nich na ziemniaki z kefirem albo na grillowany na tarasie antrykot. Był nieco nachalny w swoich telefonach i zaproszeniach, których nigdy nie przyjmowała. Czasem nużący lub irytujący bezpośredniością zadawanych jej pytań oraz nieskończonym potokiem wymowy, ale z pewnością nie niebezpieczny. Uznała go zatem za nieszkodliwego wariata i przestała analizować zarówno jego osobę, jak i powody tego, że nie chciał jej dać spokoju. Nie był w tym obszarze wyjątkiem. Jedyne, co go wyróżniało, to absolutna pewność siebie. Równie niespotykana i nie na miejscu, co jego szpetota.

W końcu, po czterech miesiącach i dziesiątkach mniej lub bardziej natarczywych indagacji, zgodziła się na sobotni obiad z nim i Renatą. Nie dlatego, że planowała zacieśnienie ich dziwaczego „koleżeństwa”, ale by ostatecznie zakończyć temat, rozwiązać wszelkie złudzenia co do charakteru ich „koleżeńskości” i zyskać spokój.

Tym razem Renata – zapewne odpowiednio pouczona – nie chichotała swoim ropuszym śmiechem, tylko obserwowała ją z udawanym onieśmieleniem. Strój dziewczynki – podobnie jak ubranie Kempy – wskazywał wyraźnie, że przygotowania do jej wizyty wykraczały daleko poza marynującą się na kuchennym blacie połówkę. Mieszkanie było idealnie czyste, podobnie jak jego biała koszula i plisowana granatowa spódnica ośmiolatki. Herbatę owocową zastąpiła butelka pinot noir – trochę nieadekwatna do wczesnego popołudnia, ale zdecydowanie pasująca do mięsa. Na stole leżał przedziwnie staromodny, haftowany obrus z grubego płótna, a w kryształowym wazonie moczyły się chryzantemy. W oczekiwaniu na posiłek rozejrzała się spokojnie po jego mieszkaniu. Było większe, niż się spodziewała. Za pierwszym razem – chcąc jak najszybciej stąd uciec – nie zwróciła uwagi ani na jego imponujący metraż, ani na tradycyjne, ciężkie meble z ciemnego drewna. Na potężną, stylizowaną na antyk, pokrytą pluszem kanapę, wielkie skórzane fotele Chesterfielda i drewnianą trzydrzwiową bieliźniarkę, której stylistyka nawiązywała do ciężkiej solidności szaf gdańskich. Wśród tych potężnych mebli Kempa wydawał się jeszcze drobniejszy, ale paradoksalnie pasował do tego przedwojennego entourage'u. Podobnie jak do wielkiej, zakrywającej całą ścianę, pełnej starych książek biblioteki oraz stojącej na kredensie menory.

Jedzenie było ciężkie, ale smaczne, atmosfera dziwnie podniosła, a rozmowa banalna jak na niedzielnym rodzinnym obiedzie. Kempa okazał się dobrym kucharzem i prawdziwym mistrzem ceremonii. Nakrywał stół staroświecką, zdobioną złoceniami i bukietami róż porcelaną, przecierał srebra oraz grube kryształowe kieliszki, podawał usłużnie sosjerkę i za pomocą potężnego szpikulca oraz gigantycznego noża kroił leżącą na cynowym półmisku, wolną od krwi wołowinę. To właśnie wtedy, przy drugim kieliszku wina, w otoczeniu tego przejmująco jednoznacznego wnętrza,

powiedziała mu, że kupuje dom. Nie mogła zapanować nad językiem, tak jakby zamiast pinot noir podał jej serum prawdy. Poniosła ją ekscytacja, a on pierwszy raz zamknął usta i przyglądał jej się intensywnie, słuchając uważnie o hektarze drzew, przeszklonej bryle domu i imponującym desiginie wnętrza. Kiedy skończyła, zadał jej tylko jedno, jedyne pytanie: czy nie będzie się bała tam mieszkać? Samotna kobieta na takim odludziu? Sama na wielkim, porośniętym drzewami terenie? Uśmiechnęła się do niego z lekką nutą lekceważenia na twarzy. Wszyscy zadawali to samo pytanie. Tak jakby nie byli w stanie uwierzyć, że może się nie bać odosobnienia. Jakby każda kobieta musiała powielać stadny model społeczny i czuć się bezpiecznie wyłącznie wtedy, gdy miała przy sobie wielopokoleniową rodzinę. Śmieszyło ją to tak samo jak inne związane z płcią stereotypy. Jak powszechna wiara, że dziewczęta rodzą się po to, by być matkami i nie potrafią żyć bez mężczyzny. Jak przekonanie, że umysły kobiece nie są w stanie przeniknąć zagadnień technicznych i potrzebują do szczęścia wenezuelskich seriali, tanich romansów i ustawicznych zakupów. Jak męska wiara, że każda dziewczyna marzy o dużym biuście, boi się siwych włosów, pajaków i myszy. Ona się ich nie bała. Podobnie jak samotnej starości i tego, że po śmierci nikt jej nie znajdzie przez całe tygodnie. Nie bała się twarzy zjedzonej pośmiertnie przez kota, pustego łóżka i obsychających z każdym rokiem jajników. Nie bała się również odludzia.

Przemek uśmiechnął się enigmatycznie i przez chwilę wydawało jej się, że widzi w jego oczach lekki cień politowania. Ale trwało to tylko przez moment, bo zaraz potem zaczął ją przekonywać, że powinna dać sobie pomoc w przeprowadzce. Zaprzeczała. Równie długo, co nieskutecznie.

Przeciągnęła zmęczone schyłaniem się plecy, zrobiła sobie kolejną kawę i zapaliła papierosa. Do rozpakowania pozostały piętrzące się w garderobie stosy kartonów z butami, pokrowców na ubrania i gigantycznych, wypełnionych ciuchami worków. Bez zrobienia sobie przerwy nie była na nie gotowa. Nie tylko z powodu rozpakowanej wcześniej sterty pudeł i ogarniającego ją powoli zmęczenia. W przeciwieństwie do większości kobiet nie znosiła zajmowania się swoją odzieżą i najchętniej powierzyłaby to zadanie jakiejś dobrze wytrenowanej garderobianej. Jej szafa zawsze wyglądała w środku jak pobojuwisko. Na półkach różne rodzaje ubrań mieszały się w wypadających poza framugę stosach, bielizna w szufladach była nieustannie pomięta i nigdy nieułożona kolorami, pończochy darły się i rozciągały – pozwijane w kłębki i przemieszane ze skarpetkami – a sukienki wisiały jedna na drugiej, gniotąc się nawzajem w związku z ustawicznym brakiem adekwatnej do ich ilości liczby wieszaków. Jedynym elementem stroju, który zasługiwał w jej ocenie na lepsze traktowanie, były buty. Te ustawiała z pietyzmem, przywiązując wagę do tego, by zawsze były czyste i wypełnione prawidłami. Dbała o nie, ale nie czerpała z tego przyjemności. Ot, po prostu, miała ich tyle, że ułożenie wszystkich w równych szpalerach było jedyną sensowną metodą zapanowania nad ich mnogością. Gdy tego nie robiła, zdarzało jej się zapominać, że ma już określony kolor i model i kupować drugie, identyczne. A że z reguły nie załowała na nie pieniędzy, takie błędy przyprawiały ją później o głębokie poczucie winy i skłaniały każdorazowo do porządków na półkach.

Teraz nie był ten moment. Perspektywa rozpakowania kilkudziesięciu par butów nie wprawiała jej w szczególnie podniosły nastrój. W zasadzie skłaniała ją nawet do myśli, że zamiast bronić się przed namolnym nadskakiwaniem Kempy, powinna go była wykorzystać również do tego zadania. Skoro pozwoliła mu pomóc w pakowaniu swojej szafy, mogła równie dobrze zgodzić się na jej rozpakowanie. Wiedziała dokładnie, że bez jego pomocy zajmie jej to dwa kolejne weekendy.

Westchnęła i zamiast przejść do sąsiadującej z sypialnią garderoby, postanowiła wyjść na zewnątrz. Potrzebowała oddechu, powietrza i odmiany. Zarzuciła na siebie kurtkę, naciągnęła na głowę bejsbolówkę i wsunęła nogi w stojące w korytarzu kalosze. Stefan przygalopował za nią do holu i krążył już przy drzwiach wejściowych w nadziei, że zabierze go ze sobą.

– Możesz iść, ale się nie oddalaj. Tu nie jest tak jak w Falentach. Trzymaj się mnie... – mruknęła do niego i wyłączony w trybie domowym alarm, zaczęła otwierać drzwi.

Kot wyskoczył z domu jak z procy i zaskoczony nieznanym otoczeniem zatrzymał się kilkanaście metrów dalej. Gdy wyszła tuż za nim, zamiast spodziewanego zimnego powietrza uderzyła w nią nagła fala gorąca. Nad drzewami w bezpośredniej bliskości prowadzącej do bramy wjazdowej drogi powiewały wypełnione helem perłowe balony. Było ich mnóstwo. Więcej niż mogła zliczyć. Przywiązane eleganckimi białymi wstążkami do gałęzi drzew, krzewów i latarni kołysały się lekko, tworząc bajkową, pełną magii scenerię. Rozejrzała się niepewnie wokoło i podeszła ostrożnie do najbliższego balonu. Pociągnęła za wstążkę i przyciągnęła do siebie elegancką kremową kulę. Jasnopopielaty napis zakolysał się na wysokości jej wzroku radosnym komunikatem: „WITAJ W DOMU, KOCHANIE!”.

Stały we trzy przy kuchennym blacie i zanosząc się śmiechem, nadziewały na wykałaczkę białe kulki mozzarelli, pomidory koktajlowe i liście bazylii. Kaśka opowiadała właśnie jakąś niestworzoną historię kolejnego ze swoich romansów. Jej dziewczęcy, wysoki głos wibrował wysokimi tonami i w pikantnych momentach przechodził w pensjonarski chichot. Gdy odwracała wzrok, rzucały sobie z Martą rozbawione spojrzenia, komentując w ten sposób nie tylko fakt romansowania z uzależnionym od solarium trenerem fitnessu, ale także Kaśkę jako zjawisko. Jej rozbuchaną, przerysowaną kobiecość, kołyszącą się ustawicznie biodra i sztuczne, monstrualnie długie rzęsy, przez które nie była w stanie otworzyć normalnie oczu.

Marcin siedział na blacie, wystrojony w haftowaną kolorowo koszulę, i obserwował scenę z typowym dla siebie uśmiechem cynicznej rezerwy. Zadeklarował, co prawda, pomoc przy przygotowaniach do mającej się zacząć za niespełna godzinę parapełki, ale kieliszek chardonnay i obserwowanie ich kobiecej gry odpowiadały mu znacznie bardziej niż robienie tartinek. Wszystkie trzy ubrane były w obcisłe, zakryte teraz kuchennymi fartuszkami sukienki i niebotyczne szpilki. Każda miała rozpuszczone, wyszczotkowane włosy i pobrząkujące bransoletkami nadgarstki. Teoretycznie były do siebie podobne, a jednak każda z nich stanowiła odrębny byt. Anka miała na sobie czarną, sięgającą kolan sukienkę bez pleców oraz błyskające czerwoną podeszwą kosztowne czółenka na trzynastocentymetrowych obcasach. Długie, szczupłe nogi, rozjaśnione na platynowy blond włosy i czerwone usta były podstawowymi atrybutami jej kobiecości. Wciąż miała figurę nastolatki i niewielki biust, który wymagał wspomaganie push-upem. Marta – z czarnymi, gęstymi włosami i imponującymi piersiami – była zdecydowanie niższa, a jej wydekoltowana koronkowa sukienka pachniała obietnicą włoskiego temperamentu i bachanalii. Była kobietą, której styl i figura trafiały w gust poszukujących krągłości i leniwego erotyzmu facetów. Jej sylwetka budziła skojarzenia z Kaliną Jędrusik i obiecywała oddziałującą na wszystkie zmysły rozkosz. Kaśka, opięta połyskującą kiecką w cętki, z kręconymi włosami i w ozdobionych kryształkami sandałach, przywodziła na myśl moskiewskie kluby nocne albo kasyna Las Vegas. Jej biust był równie duży jak Marty i podobnie jak u niej odkryty, szła jednak dwa kroki dalej, pozwalając, by zza pokrytego panterką dekoltu wystawał spory kawałek bieliźnianej czerwonej koronki, a kołyszący się na szyi złoty naszyjnik wsuwał w pokrytą brązującym pudrem przestrzeń pomiędzy piersiami. Seksualna dosadność stroju nie zostawiała pola dla wyobraźni ani miejsca na jakiegokolwiek wahanie. Jeden rzut oka wystarczał, aby postawić jednoznaczną diagnozę: Kaśka desperacko szukała partnera.

Zeskoczył z blatu i wciąż obserwując je z uśmiechem, podszedł do lodówki. Trzecia lampka przed przyjściem gości gwarantowała doskonałą zabawę. Na taką w każdym razie liczył, patrząc teraz na swoje rozchichotane przyjaciółki, które skończyły właśnie półtoragodzinny maraton przystawkowy i przechodziły do wykładania oliwek, kaparów i orzeszków. Wygładził lekko koszulę od Cavalliego i pochyliwszy się dyskretnie, sprawdził swoje odbicie w lustrzanej powierzchni kuchenki mikrofalowej. Wyglądał nienagannie. Zadowolony z siebie dołał im do kieliszków i wypełnił po

brzegi własny. Był absolutnie pewien, że dzisiaj nareszcie kogoś ustrzeli. Najlepiej znudzonego małżeńską rutyną poszukiwacza wrażeń z dużym portfelem i jeszcze większym apetytem na życie. Mężczyźni w jego wieku i starsi – nawet jeśli nie dopuszczali do siebie takiej alternatywy – byli gotowi na eksperymenty i szczerze mówiąc, najbardziej podatni na jego urok. Zwłaszcza jeżeli udało im się przeżyć dwadzieścia lat w tym samym małżeństwie. Wkraczając powoli w kryzys wieku średniego, rozważali wszelkie alternatywy i opcje. Młodsze kobiety, erotyczne zabawki, trójkąty i kluby swingersów. Gry seksualne, przebieranki, kajdanki oraz nieodkryte dotychczas fetysze. Niekiedy również dyskretną znajomość z zadbanym i pozbawionym uprzedzeń mężczyzną.

Wyszedł wolnym krokiem z zaanektowanej przez dziewczyny przestrzeni kuchennej i przeszedł się powoli po salonie. Niewiele rzeczy robiło już na nim wrażenie, ale ten dom był imponujący. Oczywiście nie zamierzał nikomu o tym mówić, bo zachwycanie się czymkolwiek poza własną osobą zburzyłoby jego precyzyjnie budowany wizerunek zblazowanego bon vivanta, nie zmieniało to jednak faktu, że był pod wrażeniem. Szczerze mówiąc, to miejsce – bardziej niż do Anki – pasowało do niego. Był stworzony do przebywania w luksusie. W zasadzie znajdował się na tym etapie życia, na którym zepsucie dobrobytem było jedyną odpowiednią manierą. Nie miał, co prawda, wystarczająco dużo pieniędzy, ale to nie powinno stanowić przeszkody. Taki dom, ten dom, powinien należeć do niego. Tu mógłby wreszcie rozkwitnąć i się zrelaksować. Spędzać wieczory rozciągnięty wygodnie na luksusowej leżance, stać przy kominku ze szklanką whisky w dłoni albo baraszkować w ogrodowym jacuzzi z jakimś przystojnym, dobrze umięśnionym czterdziestoparolatkiem. Organizowałby tutaj imprezy przebijające świetnością wszystko, co dotąd widziała stolica. Hedonistyczne i libertyńskie niczym wieczory Wielkiego Gatsby'ego. Ściągające z miasta znudzonych bogatych mężczyzn i szukających szczęścia chłopaczków. Skupiających się wokół niego z zachwytem i spalających w bijącym od niego blasku jak ćmy w płomieniu. Zmrużył oczy i wyobraził sobie tę scenę. Byłaby idealna, gdyby nie dochodzące z oddali damskie głosy. Poczł nadciągającą falę rozdrażnienia i uniósłszy powieki, zerknął w ich stronę. Zdjęły już z siebie fartuchy i wciąż plotkując, poprawiały przed mikrofalą makijaż. Zanim zdążyły schować szminki, w holu zadźwiewał delikatnie domofon, a on poruszył się z ekscytacją, uspokoił je gestem i swobodnym krokiem poszedł do drzwi wejściowych.

– Ja otworzę.

Kiedy naciskał guzik, znów był zadowolony i podniecony. Ta noc należała do niego. Otworzył drzwi i stojąc w ciepłej plamie padającego ze środka światła, przyglądał się z uwagą czterem zbliżającym się od strony bramy sylwetkom. Na czele grupy energicznym krokiem zmierzał w jego stronę wysoki, niezwykle przystojny mężczyzna w skórzanym płaszczu i kapeluszu. Na plecach kolebał mu się potężny futerał kontrabasu, a z kieszeni wystawała spora butelka bourbona. Krok za nim szło trzech innych, nieco drobniejszych facetów. Byli starsi niż prowadzący grupę, lecz podobnie jak on nonszalancko ubrani i – musiał to przyznać – dość atrakcyjni. Uśmiechali się, komentowali coś między sobą i co kilka kroków wybuchali gromkim, rubasznym śmiechem. Zanim dotarli do drzwi, idący na przedzie zatrzymał się pod rosnącym w pobliżu platanem i złapał za sznurek buja-

jącego się na nim jasnego balonu. Spojrzał, zaśmiał się głośno i pokazał napis kolegom, po czym przyspieszył kroku i nie czekając na resztę grupy, przeskoczył z lekkością dzielące go od drzwi stopnie.

– Witamy, witamy... – Marcin zamruczał najbardziej seksownym, niskim głosem, na jaki było go stać, i uśmiechnął się zachęcająco.

Oczy mężczyzny zwęziły się lekko i pociemniały.

– Gdzie Ania? – rzucił niechętnym głosem i wyminąwszy Kryskiego, wszedł do środka bez przywitania.

Zdjął z pleców kontrabas, oparł go o ścianę i nie zważając na to, że instrument wgniata płótno wiszącego za nim obrazu, ruszył dalej. Wściekły z powodu niespodziewanej obecności innego mężczyzny i faktu, że witający ich fircyk zburzył wrażenie, jakie chciał wywrzeć na reszcie zespołu. Wyszedł na głupca, a może nawet rozacza. Idiotę, który ze wszystkich lasek na ziemi wybrał akurat tę, która postanowiła zastąpić go innym. Poczul, że policzki go palą, ręce się pocą i ledwo panuje nad sobą. Spodziewał się po niej wszystkiego, ale nie tego, że go upokorzy publicznie. Że przy chłopakach z zespołu wymierzy mu taki policzek. Wiedziała, że jest piekielnie zazdrosny, a mimo to z nim igrała. Chciał wiedzieć dlaczego.

Zanim dotarł do połowy holu, Ania wybiegła z kuchni. Zrzuciła w biegu spowalniające ją szpilki i wskoczyła na niego, obejmując jego biodra udami i strącając kapelusz z głowy. Wypuścił wstążkę balonu z ręki, złapał ją za pośladki i zamknął oczy. Więc jednak się mylił; czekała na niego. Wściekłość wyparowała z niego równie błyskawicznie, jak wcześniej się pojawiła, i kiedy przywarł do niej ustami, po gniewie nie było już śladu. Uwielbiał sposób, w jaki go całowała, i fakt, że robiąc to, potrafiła się śmiać. Radośnie, dziewczęco, szczęśliwie. Nie odrywając warg i nie przestając całować. Żadna inna kobieta nie umiała tego osiągnąć.

Kiedy oderwała się w końcu od niego, postawił ją ostrożnie na podłodze i się roześmiał, widząc, że jej idealnie czerwone usta były teraz wielką, rozmazaną na połowę twarzy plamą. Wiedział dokładnie, że sam wygląda podobnie, ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Przy niej nigdy nie czuł się głupio czy niestosownie. Był zakochany jak sztubak i czuł się z tym fantastycznie, nawet jeśli zazdrość mąciła mu czasem spojrzenie. Odwrócił się w stronę drzwi i zerknął z dumą na resztę zespołu. Chciał, żeby mu zazdrościli; wiedział, że tak właśnie jest. Pozwolił, by pobiegła w ich stronę i dała się po kolei objąć każdemu z kolegów. Po kilku latach wspólnych koncertów nie było mowy, by którykolwiek z nich pozwolił sobie na jakąś dwuznaczność. To była pierwsza zasada męskiego kodeksu: kobiety kumpli były poza zasięgiem. Podobnie jak córki. Rozluźnił się i obserwował ich powitanie z uśmiechem. Zadowolony, że chłopaki uwielbiają ją tak samo jak on i że są nią równie jak on zachwyceni.

Złapał za bujający się pod sufitem balon i ruszył w jej stronę, kiedy zza pleców Michała wyłonił się dziwny, fircykowaty koleś, który otworzył im drzwi. Złość powróciła. Dlaczego ten palant otwierał drzwi gościom? Czy Ania wiedziała, jakie to wywołuje na wszystkich wrażenie? Nie chciała chyba, by ktoś podejrzewał ją o romans z takim wymoczkim? Spojrzał na nią pytająco, a ona

uśmiechnęła się szeroko, podbiegła do niego i objąwszy go w pasie, odwróciła lekko w stronę salonu, zwracając jego uwagę na dwie stojące teraz przed nimi kobiety.

– Poznajcie Tomka! Kochanie, to moje przyjaciółki: Marta i Kasia. I Marcin Kryski, którego już chyba poznałeś.

Oddał uśmiech stojącym w głębi domu dziewczynom i odwrócił się ponownie w stronę drzwi. Jej przyjaciółki: Marta, Kasia i Marcin. Zaśmiał się głośno i ruszył w stronę speszzonego faceta, dopiero teraz zauważając kolorowe hafty na jego koszuli.

– Sorry, stary... – Wyciągnął rękę w geście przeprosin. – Sam rozumiesz, nie lubię, jak inni faceci spoufalają się z moją dziewczyną...

Kryski mruknął coś niewyraźnie i odwrócił wzrok. Miała piękny dom i pięknego mężczyznę. Poczul nieznośne ukłucie zazdrości i uświadomił sobie, że przestaje panować nad twarzą.

– Kto się czego napije? – zakrzyknął nieco zbyt głośno i zanim mężczyźni zdążyli odpowiedzieć, ruszył zwawo w stronę kuchni.

Tomek roześmiał się znowu, pochylił i pocałował ją w usta. Bez szpilek była sporo niższa od niego. Podał jej wciąż trzymany w ręce balon, który teraz wydawał się idealnie pasować do jej wyglądu przebranej za dorosłą kobietę dziewczynki.

– Nie trzeba było. Naprawdę. – Zaśmiał się, pokazując wzrokiem na napis.

Jej twarz napięła się lekko, uśmiech nabrał sztucznego wyrazu, a ciałem wzdrygnęły dreszcze. W głębi serca miała nadzieję, że balony są jego pomysłem. Wczoraj był co prawda w Krakowie, ale mógł przecież poprosić kogoś o pomoc... Uśmiechnęła się wymuszenie i odwróciła twarz w stronę chłopaków z zespołu.

– Wchodźcie! Musicie poznać Martę i Kasię!

Jej głos zdawał się beztroski i rozbawiony, ale twarz wciąż była spięta. Zanim dotarli do kuchni, zapanowała nad mimiką. Podobnie jak stojący przy blacie Marcin, który z typowym dla siebie zblazowaniem wyjmował właśnie szklanki do whisky z kuchennej szafki.

– Ja się tym zajmę, Puszku. Oprowadź swojego pana po sypialni, zanim pojawi się reszta gości.

Puścił oko w stronę wchodzących do kuchni mężczyzn i oceniwszy szybko ich wygląd, uznał, że poczeka na kolejnych mających się pojawić facetów. Ci trzej nie dorastali do pięt jej kochasiowi. A on nie miał zamiaru zadowalać się jakimkolwiek ersatzem.

Wyprowadził ją z kuchni i popchnął lekko w kierunku prowadzącego do części prywatnej korytarza.

– Ty też, kolego! – zaordynował w stronę skonsternowanego jego bezpośredniością Tomka. – Idziemy, idziemy. Paltocik możesz zostawić.

Pochylił się, podniósł z podłogi kapelusz i niecierpiącym sprzeciwu gestem zażądał oddania płaszcza.

– Macie dwadzieścia minut. Tylko, na Boga, poprawcie potem makijaż!

Tomasz zachichotał, pozbierał leżące na posadzce szpilki i złapawszy ją za rękę, pociągnął we wskazanym przez Marcina kierunku.

– Chyba ma rację. Jeśli nie zrobimy tego teraz, to będę przynosił ci wstyd cały wieczór.

Kiedy dotarli do sypialni, zamknął drzwi na klucz i pchnął ją na łóżko, pomrukując jak jego własny kontrabas. Pocałował ją w usta, a ona uśmiechnęła się, zamknęła oczy i czując na sobie ciężar jego ciała, zaczęła zapadać w niecierpliwy stan ekscytacji. Aż do momentu, kiedy uniósł się nad nią na łokciu i odgarnąwszy jej grzywkę z czoła, wymruczał:

– Uwielbiam cię, mała. A te balony na powitanie były naprawdę ekstra.

Stężała, a z ust wyrwało jej się gwałtowne, nerwowe westchnienie. Wziął je za dobrą monetę, poruszył się jeszcze dwukrotnie i krzyknął. Kiedy opadł obok niej bezwładnie, wysunęła się ostrożnie spod niego i modląc w duchu, by nie próbował jej teraz zatrzymać, poszła w stronę łazienki. W podświetlonym od tyłu lustrze zobaczyła potargane włosy, roztartą na twarzy szminkę i rozszerzone strachem źrenice. Pochyliła się do przodu i złapała obiema dłońmi zimne brzegi umywalki. Jeśli to nie był on, to kto? I w jakim celu? Sięgnęła po piankę do mycia twarzy i zaczęła energicznie szorować policzki i usta. Dopóki miała nadzieję, że za niespodzianką stoi jakiś naślany przez niego figlarz, myśl o tym, że ktoś kręcił się po ogrodzie, była do zniesienia. Obecnie perspektywa goszczenia intruza nie była ani romantyczna, ani przyjemna. Balony stanowiłyby pewnie niezwykle miły gest, gdyby tylko umieścił je w ogrodzie ktoś bliski i dobrze jej znany. Ktoś, w czyich ustach określenie „kochanie” było na miejscu. Mężczyzna aktualnie goszczony w sypialni, nikt inny.

Wytarła podbródek w ręcznik i zaczęła nakładać świeżą warstwę makijażu. Tomek wstał, przyszedł za nią do łazienki i przywarł do niej od tyłu biodrami. Jego pięknie umięśnione ramiona otoczyły ją szczelnie, a usta przywarły do szyi. Spojrzał na nią w lustrze i dostrzegając skupienie na twarzy, zapytał:

– Wszystko w porządku?

Uniosła rękę i nie odrywając wzroku od jego twarzy w lustrze, pogłaskała go po krótkich, gęstych, lekko kręconych włosach. Tłumaczenie mu powodów swojego niepokoju uznała za zbędne. Jak długo wierzył, że balony były dla niego, wszystko było w porządku. Wyjaśnianie mu sprawy, której sama nie rozumiała, mogłoby ją tylko narazić na konfrontację z jego zazdrością i w żaden sposób nie przybliżyłoby ich do rozwiązania zagadki.

– Dobrze, że jesteś.

Odwróciła się w jego stronę i przywarła do niego ciałem, a on pogłaskał ją po jasnych włosach, tak jak gładził przed snem swego syna. Mimochodem, a jednak ze szczególną, mimowolną czułością. Zauważywszy, że nie odrywa się od niego, i odczytawszy ten gest w taki sam sposób, w jaki zawsze rozumiał go u swojego dziecka, odsunął ją lekko od siebie i pocałował w czoło.

– Wszystko się jakoś ułoży. A za tydzień znowu przyjadę. Wynajęliśmy z chłopakami studio w Izabelinie. Na trzy tygodnie...

Spojrzała na niego z niedowierzaniem i uśmiechnęła się szeroko. Trzy tygodnie? Nigdy wcześniej nie byli ze sobą tak długo. Trzy tygodnie wspólnych kolacji, nocy i śniadań brzmiały bajkowo. Wreszcie – po miesiącach zbyt krótkich chwil kradzionych jego żonie na zapleczach klubów jazzowych, nocy w średniej klasy hotelach i pełnych niespełnionego głodu przelotnych spotkaniach w ka-

wiarniach – będzie go miała dla siebie. Tutaj, w tym domu i własnym łóżku. To wszystko zmieniało. Tajemniczy wielbiciel nie miał już teraz żadnego znaczenia. W konfrontacji z perspektywą trzech wspólnych tygodni zmałał i przybladł, a jego gest stał się niczym więcej niż nieudaną formą chybionych zalotów. Nie pierwszą i nie ostatnią w jej życiu.

Pocałowała go w usta i się zaśmiała – bardziej nawet do siebie niż do niego. Nie miała co prawda możliwości, by zmusić nieznajomego do zaprzestania jego niechcianych umizgów, ale z pewnością mogła wykorzystać jego awanse do własnych celów i poprawienia Tomkowi nastroju.

– Fajnie, że spodobały ci się balony...

– Żartujesz?! Są odjazdowe! Widziałaś miny chłopaków?! Padli z zazdrości!

Śmiał się teraz głośno i z dumą. Zachwycony wrażeniem, jakie zawsze robiła na reszcie zespołu swoimi długimi nogami i porcelanową cerą małej dziewczynki. Urodą, która ściągała ukradkowe, pełne zachwyty spojrzenia Michała, odczytaniem i zawodową pozycją. A dzisiaj również tym domem, którym chełpił się przed kolegami jak własnym. Uwielbiał ją. Właściwie to nawet coś więcej: naprawdę ją kochał. Była inteligentna, samodzielna, bogata i piekielnie seksowna. Kompletne przeciwieństwo jego myszowatej żony. Była dla niego wszystkim. Odkąd ją poznał, każdy koncert grał tylko dla niej. Kiedy się budził, była pierwszą osobą, o jakiej myślał, a gdy kładł się nad ranem do łóżka, zawsze nim zasnął, planował jeszcze kolejne pokątne spotkania. Zanim ją poznał, każdy wyjazd w trasę był dla niego błogosławieństwem. Szansą ucieczki z domu i wyrwania kilku lecących na niego fanek. Teraz nie tylko przestał podrywać, lecz wręcz zauważać inne dziewczyny. W tym również Teresę, która stała się bardziej nawet przezroczyta niż pozostałe kobiety. Wiedział, że ryzykuje, bo żona przyglądała mu się od kilku tygodni z wyraźną podejrzliwością, szukając dowodów zdrady. Że dla pozorów powinien iść z nią do łóżka, przestać się głupio uśmiechać i śnić na jawie. Zdawał sobie sprawę, że balansuje nad przepaścią, ale nic nie potrafił na to poradzić. I szczerze mówiąc, pierwszy raz w życiu nie chciał. Jedynym powodem wracania obecnie do domu był jego syn. Bo odkąd zadurzył się w Ance, już nie wyrzuty sumienia.

Pochylił się, ujął jej twarz w obie dłonie i patrząc w oczy, wymruczał:

– *I love you, babe.*

Powiedzenie tego po angielsku było prostsze i mniej zobowiązujące. Chciał, żeby wiedziała, że zakochał się w niej jak uczeń, lecz w ich sytuacji wyznanie miłosne mogłoby wszystko zrujnować. Wymagałoby dalszego kroku, po którym już nic nie byłoby takie samo. To jeszcze nie był właściwy moment.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i znów wyciągnęła dłoń w stronę jego policzka.

– *I know...*

Przez nanosekundę czuł w klatce bolesne ukłucie rozczarowania. Liczył na to, że powie mu zwrotnie to samo. W końcu była kobietą, jej wolno było ulegać emocjom niezależnie od jego sytuacji rodzinnej. Jej nie wiązało kochane nad życie dziecko, wspólny majątek i przywiązani do tradycyjnych wartości rodzice. Była wolna od zobowiązań i mogła pozwolić sobie na więcej wyznań i uczuć. Powinna sobie pozwolić. Spojrzał na nią i rozczarowanie zniknęło. Był przecież pewien, że

też go kocha, a lakoniczne „wiem” dawało mu wolność, której wciąż potrzebował. Swobodę, jakiej nigdy nie potrafiła dać mu Teresa. Osaczająca, szpiegująca, obsesyjnie zazdrosna. Pojawiająca się znienacka na jego koncertach w najbardziej oddalonych od domu miastach, sprawdzająca jego komórkę, gdy był pod prysznicem, posyłająca za nim wścibskie oczy swoich – równie jak ona przyszarżałych – koleżanek. „I know” było świetne. Bezblędne. Tak jak ona była idealna dla niego.

Chwycił ją mocno, podniósł do góry i zakręcił w powietrzu. Pisnęła i zanosła się śmiechem. Była szczęśliwa i znowu spokojna. Po raz pierwszy powiedział jej, że ją kocha, a ona wiedziała, że mówił poważnie. Że jest jej, nawet jeśli gdzieś tam ma żonę. Nawet jeśli wraca do innego domu i drugiej kobiety. Był jej. Cały. Bezwarunkowo. Śmiała się głośno i błagała, by postawił ją z powrotem na ziemi, ale on nie przestawał. Łazienka wokół niej kręciła się jak oszalała, wypełniona ich śmiechem i okrzykami. Zamknęła oczy i złapała go kurczowo za ramiona. Pod przymkniętymi powiekami znów pojawiły się perłowe balony, ale teraz nie wyglądały już jak psychopatyczny gest obsesyjnego adoratora. Nabrały sensu i kontekstu. Witaj w domu, kochanie! Ktokolwiek je rozwiesił, miał stuprocentową rację. I trafił prezentem w sam środek tarczy.

Zatoczył się, postawił ją na podłodze i się zachwiał. Obojgu kręciło się teraz w głowie i każde z nich bardziej niż o bawieniu znajomych marzyło o powrocie do łóżka. Niestety, dochodząca zza drzwi muzyka była coraz głośniejsza, a przekrzykujące ją głosy liczniejsze i bardziej donośne. Podobnie jak salwy śmiechu. Spojrzeli zgodnie na zegarki – od momentu gdy Marcin wysłał ich do sypialni, minęło czterdzieści pięć minut. Zdecydowanie powinni wracać do gości.

Nałożyła na usta szminkę i przeczesła włosy palcami. Sukienka, którą przez cały ten czas miała na sobie, była przekrzywiona, więc przyglądała ją lekko i zaczęła wsuwać stopy w niebotycznie wysokie szpilki. Tomek obserwował jej starania, naciągając na siebie czarną koszulę i zapinając mankiety.

– Wciąż wyglądasz jak wampir – przypomniała mu z uśmiechem i pozostawiwszy go pochylonego nad umywalką, wyszła z łazienki.

Dom wypełniał gwar kilkudziesięciu głosów i włączona na cały regulator płyta Mariah Carey. Westchnęła w duchu na myśl, że Marcin zdołał przemycić ten rzewny repertuar i pewnym krokiem weszła do salonu. Kryski faktycznie czuł się tu jak u siebie. Jego histeryczny śmiech dominował nad zgromadzonym przy barze tłumem, a wysoko uniesione ręce rozlewały właśnie gościom szampana i whisky. Minęła otaczającą go grupę znajomych i przeszła do odtwarzacza. Mariah umilkła i po chwili dom wypełnił szorstki wokal Niny Simone. Zakolysała biodrami w takt sekcji rytmicznej, sięgnęła po leżącą na półce paczkę papierosów i wydmuchnąwszy pierwszy obłok siwego dymu, zawtórowała Ninie swoją własną, silną chrypką. Goście odwrócili się od Marcina i patrzyli teraz na nią, aż do momentu, gdy stojący w tyle Tomek podszedł do niej z kieliszkiem w ręce i zasłonił ją przed ich wzrokiem swoimi szerokimi plecami. Jego twarz pochyliła się nad nią, ale tym razem usta wylądowały przezornie na jej policzku.

– Musisz mnie wszystkim przedstawić – zamruczał znacząco, a ona uśmiechnęła się lekko, widząc, że balony rzeczywiście dokonały przełomu.

Oderwali się od siebie i przeszli w stronę gości, witając kolejnych przyjaciół i zupełnie nieznaną jej ludzi. W domu było teraz ponad pięćdziesiąt osób, a dzwonek domofonu wciąż dźwięczał. Przebiegła w myślach listę zaproszonych czterdziestu znajomych. Pojawili się wszyscy; niektórzy przyprowadzili ze sobą kolejne osoby. Zdziwiło ją to, bo otwarte imprezy bardziej niż z domem kojarzyły jej się z akademikiem, ale uznała, że nie musi się martwić na zapas. Obecność Tomka i Marty dawała gwarancję, że nic nie wymknie się spod kontroli. Zresztą parapetówka w tym domu mogła być tylko jedna, a im było ich więcej, tym bardziej rosła gwarancja dobrej zabawy.

W tłumie dostrzegła Woźniaka w towarzystwie niskiej blondynki ubranej w wyjątkowo elegancją szarą szmizjerkę. Pomachała mu ręką i uniosła nad głowę trzymany w ręce kieliszek szampana. Jej usta wypowiedziały bezdźwięczne „dziękuję” i rozciągnęły się w uśmiechu, a on pochylił kurtuazyjnie głowę i odszepnął w jej stronę: „dla ciebie zawsze”. Blondynka u jego boku pociągnęła go za rękaw, próbując zwrócić na siebie uwagę, ale Marek wciąż nie odrywał oczu od idealnych, mówiących coś w jego stronę ust gospodyni. Na jego wargach błąkał się uśmiech, który starła dopiero konfrontacja wzrokowa ze stojącym przy jej boku wysokim mężczyzną. Kim był ten facet? Jej bratem, kochankiem czy narzeczonym? Kolegą z pracy czy przyjacielem z dzieciństwa? Poczł napływającą falę rozdrażnienia, kiedy uzmysłowił sobie dobitnie, że żaden optymistyczny dla niego scenariusz nie był raczej możliwy. Szczególnie po tym, jak nieznany mężczyzna nachylił się nad nią i wciąż patrząc mu w oczy, musnął ustami jej szyję. Poczł, że zalewa go fala gorąca i jego policzki się rumienia, a reakcja własnego organizmu rozwścieczyła go jeszcze bardziej. Miał niczego nie dać po sobie poznać, a czerwienił się jak przyłapany na gorącym uczynku małolat. Burknął coś do stojącej obok niego, wciąż próbującej zwrócić na siebie uwagę partnerki i ruszył w stronę garażu. W tej chwili jedyne, czego pragnął, to samotność. Chwili spokoju na uczesanie myśli i ułożenie nowego planu. O ile – w tej sytuacji – plan z nią w roli głównej mógł mieć jeszcze jakiegokolwiek szanse na sukces.

Odwróciła wzrok od oddalających się pleców Marka i omiotła spojrzeniem pozbijany w małe grupki tłum. Wyglądało na to, że wszyscy świetnie się bawią. Satkiewicz opowiadał właśnie jakiś mało wybredny dowcip, Kaśka wdzięczyła się do Mariusza w nadziei na zastąpienie opalonego trenera fitnessu przystojnym i – co ważniejsze – nadzianym prezesem, Szczygielscy opowiadali innym skupionym obok nich małżeństwom o swoich ostatnich wakacjach, a Robert – jak zawsze na takich imprezach – próbował usilnie coś sprzedać. Marcin, rozochocony nadmierną ilością wina i otaczającym go tłumem, przerzucił właśnie ramię przez plecy niespodziewającego się niczego Rafała, a w mrocznym kącie salonu stadko mniej rozrywkowych znajomych wysłuchiwało perory Jerzego na temat nowej dyrektywy VAT-owskiej. Znajomi bankierzy chichotali dyskretnie – obmawiając zapewne jakiegoś kolegę z branży – a dziennikarze po prostu pili. Metodycznie, na umór i – co najważniejsze – tej nocy za darmo. Przebijała się powoli przez tłum, trzymając Tomka za rękę, a mijane przez nich osoby odrywały się na krótkie chwile od prowadzonych właśnie rozmów, całowały ją w policzek i lakonicznie gratulowały domu. Mężczyźni taksowali przy tym jej nogi, a kobiety stojącego za nią przystojnego mężczyznę o uwodzicielskim uśmiechu i umięśnionych ramionach. Nie-

które, podając mu rękę, przyglądały się tatuażowi na jego dłoni, inne, kiedy je mijał, odwracały głowy, by ocenić kształt i jędrność pośladków. Przechwytyjąc ich mało dyskretne spojrzenia i zdystansowane uśmiechy, miała wrażenie brodzenia w gęstym, krępującym ruchu błocie. Tak jakby sącząca się z nich zawiść materializowała się w duszną, lepką i zawieszistą chmurę, która podążała za nią po domu, przywierała do skóry chłodną wilgocią i skraplała na dekolcie w postaci potu. Mejer здаwał się nie wyczuwać tych niezdrowych wibracji. Rozbawiony, zrelaksowany i rozluźniony pierwszą szklanką wypitego bourbona, rozdawał uśmiechy i ścisnął dłonie. Miała go przy sobie, ale nie odczuwała płynącego z jego obecności wsparcia. Zazdrość znajomych przytłaczała, a ona żałowała przez moment, że diabli podkusili ją do zorganizowania tego spotkania. Liczyła, że będzie miło. I pewnie było. Wszystkim poza nią samą.

Rozejrzała się histerycznie po tłumie, próbując zlokalizować Martę, co do której była pewna, że jako jedna z nielicznych w tym gronie nie szacuje w tej chwili wartości domu ani długości penisa Mejera. Marta zawsze była szczera i pozbawiona naturalnej w ich świecie zawiści. Wolna od bezkompromisowego parcia na sukces i wewnętrznego przymusu kopiowania cudzych życiowych osiągnięć. Podobały jej się inne ubrania, inne domy i – co najważniejsze – kompletnie inni mężczyźni. Nie konkurowała, nie oceniała, nie patrzyła pożądliwym wzrokiem. Była bezpieczną ostoją normalności. Prawdziwą przyjaciółką. Jedyną, jaką miała.

Przedarła się przez stojący w kuchni tłumek i dojrzała ją przy blacie, wlewającą w siebie pięćdziesiątkę tequili. W geście przechylenia kieliszka i rozgryzania cytryny były desperacja i nieadekwatna do charakteru Marty rozpaczliwa próba zerwania filmu. Podeszła bliżej zaintrygowana dziwnym zachowaniem przyjaciółki i w mroku dostrzegła stojącego obok niej Kempę, który świrował ją swoimi małymi, zbyt blisko osadzonymi oczami i opowiadał półgłosem którąś ze swoich wymagających znieczulenia anegdot. Uniosła brwi i podeszła bliżej. Nie zapraszała Kempy. Rozważała to, owszem, zwłaszcza że pomógł jej w przeprowadzce, ale ostatecznie uznała, że jego obecność nie poprawi nikomu nastroju. A jednak był tutaj. Oparty nonszalancko o lodówkę, ze szklanką alkoholu w ręce i płającym po ptasiej twarzy uśmiechem. Zawahała się przez ułamek sekundy, rozważając, czy powinna podejść, czy raczej się dyskretnie wycofać. Szczerze mówiąc, Przemek był ostatnią osobą, z którą miała ochotę w tej chwili rozmawiać, a fakt, że urządziła parapetówkę, nic mu o tym nie mówiąc, здаwał się równie niezręczny, co jego nieproszona obecność w jej domu. Zatrzymała się na moment i widząc, że Marta znów sięga po butelkę, zdecydowała ruszyć z odsieczą.

– Możesz mi pomóc? – zagaiła przyjaciółkę, udając, że nie zauważa stojącego w cieniu lodówki Kempy.

– Jasne! – Reakcja Marty była nadgorliwie entuzjastyczna, a żelazny uścisk, w jakim zgmiotła jej ramię, przypominał dramatyczny chwyt tonącego za brzytwę. – Co mogę zrobić?

– Zaraz ci wszystko pokażę.

Zmrużyła oczy, omiotła nimi okolicę i udając, że dopiero teraz dostrzegła Kempę, zwróciła się do niego fałszywie kordialnym tonem:

– Przemek! Jak miło!

Kempa uśmiechnął się do niej cynicznie i wyszedł z mroku.

– Bardzo miło, nieprawdaż? – wycedził. – Wolałbym pewnie, żebyś mnie zaprosiła, ale cóż robić. Nie jestem stosownym gościem na tak eleganckich bankietach. Nadaję się do prac fizycznych, dźwigania pudeł i innych czynności pomocniczych, ale niestety nie prezentuję się przesadnie wyjściowo. – Bardziej niż do niej zwracał się teraz do Marty. – Co czyni ze mnie świetnego kandydata na pracownika firm przeprowadzkowych, ale nie na kolegę.

Zawiesił głos i spoglądał teraz na nie z wyraźnym oczekiwaniem przeprosin. Przekonany, że przyłapana na gorącym uczynku i postawiona do pionu jego piorunującym spojrzeniem wykrzesze z siebie jakąś okrągłą, kłamliwą uprzejmość. Zapewni o niedopatrzaniu i kornie przeprosi, że zapomniała do niego zadzwonić. Odchylił się lekko na piętach i patrząc wyzywająco, czekał na jej reakcję.

Wytrzymała jego spojrzenie i zacisnęła dłonie, czując nagle, że za sekundę wybuchnie. Doprowadzona do tego stanu nie tylko jego wtargnięciem, lecz również wszystkimi telefonami z ostatnich kilku miesięcy. Każdą ociekającą przemocą anegdotą, każdą namolną próbą zwabienia jej do siebie na grillowany antrykot i – co najtragiczniejsze – każdą komórką jego wstrętnego ciała. Rozprostowała palce, nabrała powietrza i gotowa na starcie zmrużyła oczy. Kempa przekroczył granice jej dawno już nadwyrężonej uprzejmości i wystawił się na cios, co do którego miała nadzieję, że będzie dla niego dotkliwy.

– Och! – westchnęła z udawanym zaskoczeniem i spojrzała na niego z niewinną miną i lodem w oczach. – Sądziłam, że jesteś osobą towarzyszącą któregoś z moich gości! Nie podejrzewałam, że ktoś tak znany i nadzwyczajny, obracający się w kręgach światowej socjety, znający Romana i zaprzyjaźniony z Adrianem Brodym pragnie bywać na pospolitych imprezach w tym domu. Naprawdę, wystarczyło powiedzieć! Wbijanie się chyłkiem to przecież straszny dyshonor...

Kempa stał przez moment w niezwykłym dla niego stanie całkowitego milczenia. Przełknął ślinę i zbierał właśnie słowa do adekwatnie kąśliwej riposty, gdy zza pleców dotarł do nich głos Tomka.

– Ktoś wbił się chyłkiem?

Silne ramię objęło ją w pasie i przycisnęło do siebie jednoznaczny gestem znakowania terytorium. Odwróciła głowę, uśmiechnęła się lekko i nie zmieniając tonu, odpowiedziała:

– Wszystko w porządku, kochanie. To mój daleki znajomy. Przemysław. Przechodził właśnie koło nas i postanowił zajrzeć.

– Przechodził? – W głosie Tomka zabrzmiały znane jej doskonale nuty męskiej zaborczości. – Z tragarzami?

– Z tragarzami był tu poprzednio. – Uśmiechnęła się szerzej, doceniając praktyczny żart, jaki udało mu się nieświadomie osiągnąć. – Na szczęście nie mamy w domu Kossaka.

Tomasz przysunął się bliżej do Kempy, zlustrował go dokładnie i w uznaniu dla jego rachitycznej brzydoty odpuścił.

– Masz rację. Wszystko w porządku. Kolega nie wygląda na groźnego. – Wyprostował się, napiął mięśnie i patrząc na Kempę z góry, zaśmiał się złośliwie. – Może kolega coś zje? Nie wypuścimy przecież zbłąkanego wędrowca bez stosownego posiłku? Jest taki wychudzony...

Śmiał się teraz na całe gardło, nie zważając na to, że stojący przed nim Kempa robi się coraz bardziej czerwony i sprawia wrażenie, jakby zbierał właśnie siły do dania mu w pysk. Wypite szklanki bourbona zaczynały robić swoje. Wiedział, że w takim stanie zawsze mówi za głośno i nadmiernie gestykułuje, ale nie był w stanie nic na to poradzić. Nie widział zresztą powodu, żeby się chociaż trochę hamować. To był dom jego dziewczyny. Jeśli ktokolwiek był tu u siebie, to on, a nie pokraczny, stojący przed nim Quasimodo.

Marta wyczuła jego nastrój i krążąca w jej żyłach tequila zaszumiła w rytm obserwowanej właśnie draki. Uwielbiała takie atrakcje. Facetów walczących o kobiety, sensacyjne wydarzenia, o których można było później plotkować i które nadawały życiu smak. Delektowała się nimi niezależnie od tego, czy dotyczyły jej samej, czy koleżanek, bo stanowiły idealną odskocznię od jej nieszczerze pogodnej rzeczywistości i pozwalały choć na chwilę zapomnieć o świecie.

– Ja kolegę nakarmię! – podchwyciła entuzjastycznie. – Przemysław, prawda? Zapraszam! Jest mnóstwo jedzenia! Ciasteczko czy coś słonego? Założę się, że Ania ma coś pysznego w lodówce. Może przyrządzę kanapkę?

Weszła w rolę i świergotała teraz radośnie, odreagowując wysłuchaną kilka minut wcześniej opowieść Kempy o jego wyprawie „na wojnę”. Koleżka był wariatem – to nie ulegało żadnej wątpliwości. Opowiedział jej jakąś chorą historię o wyjeździe do Strefy Gazy, reportażach z linii frontu i strzelaniu do Palestyńczyków. O leżących na poboczach zwłokach dzieci, uzbrojonych w kałachy i wysyłanych przez dorosłych do walki, oraz o okaleczonych kadłubkach ciał, które miny przeciwpiechotne pozbawiły kończyn i które pełzały po drogach do wykrwawienia. Plastycznie opisał znalezione przez siebie w miejscach starć zwłoki i to, co działo się z nimi po kilku dniach leżenia w upale. Na dłuższą chwilę zatrzymał się przy unoszącym się nad Gazą fetorze gnijącej krwi, ropiejących ran, rozkładu ciała i moczu, a następnie skupił na przedstawieniu warunków życia cywili. Całość okraszył niewypowiedzianą wprost, ale wyraźną sugestią swojego zaangażowania w prace tajnych służb izraelskiego wywiadu, dla którego jego rachityczny wygląd miał być rzekomo wielką zaletą. Bo nikt nie podejrzewał, że drobny facet z akredytacją prasową może robić na froncie cokolwiek poza zdjęciami.

Słuchała go bez słowa, przepijając co brutalniejsze passusy tequilą i zastanawiając się, skąd Anka go wytrzasnęła. W ich kręgu znajomych nie było przecież takich okazji. Znały kilku korespondentów wojennych, lecz oni nigdy nie opowiadali historii o rozerwanych miną zwłokach na drodze. Byli zbilansowani, poprawni, zdystansowani. Zdecydowanie bardziej spokojni niż reszta ich wspólnych znajomych. Wszyscy znali ich przeszłość i zawód, lecz w rozmowach nikt nigdy do tego nie wracał; zwłaszcza oni sami. Temu mężczyźnie opowiadanie okropieństw zdawało się sprawiać nienaturalną przyjemność. Choć może nie chodziło nawet o samą krwawą historię, lecz o reakcję słuchacza? Widziała wyraźnie, że chciał ją zaszokować i z początku uśmiechała się nawet pod

nosem, sądząc, że koleś nie wie, na jak karkołomne zadanie się właśnie porywa. Była przecież prokuratorem i w prosektoriach widziała niejedno. Oglądała wypychane pakułami czaszki i rzucane na wagę organy. Ciała ofiar brutalnych zabójstw otwarte na potrzeby sekcji i pozbawione resztek ludzkiego pierwiastka. Zdjęcia z miejsc popełnienia przestępstwa. Robione z fleszem i w pełnym kolorze. Poćwiartowane kobiety i marynujące się w beczkach truchła niemowląt. Jeśli sądził, że może to przebić, grubo się mylił. Słuchała go z protekcyjnym uśmiechem, jaki rezerwowała zazwyczaj dla patentowanych osłów i zwykłych wariatów, aż do momentu, gdy przez jej zawodową skorupę przedarł się w końcu odmienny od tego, co znała, element: ekscytacja Kempy kreowanym przez niego obrazem i przyjemność, jaką czerpał z fantazjowania o kolejnych ofiarach. Psychopatyczna, wynaturzona i chora.

Sama wielokrotnie obserwowała pracę biegłych sądowych. Precyzję i skupienie, z jakim referowali wyciągane przez siebie wnioski. Żaden z nich nie zdradzał jednak podniecenia leżącą na stole ofiarą. Żaden nie delektował się procesem rozkładania zwłok na czynniki pierwsze i grzebania w ich trzewiach. Czasem – gdy sprawa była niejednoznaczna, a odkrycie prawdy trudne – zauważała w nich cień zawodowej ekscytacji, lecz sytuacje te były prawdziwą rzadkością i nie dotyczyły ciała denata, lecz zagadki medycznej.

Nie znała żadnego specja od medycyny sądowej, który nie nadużywałby alkoholu. Czasem czuła jego woń w ich gabinetach, oddechach, a nawet w kostnicy. Stłumiony ostrym fetorem chloru i formaliny, ledwo wyczuwalny, subtelny zapach taniego whisky. Nie dziwiło jej, że piją. Bywały dni, kiedy sama wracając do domu, zatrzymywała się w całodobowym sklepie na dole i kupowała butelkę wódki. I niekoniecznie były to dni, gdy dostawała sprawę zabójstwa. Czasem wystarczyła przemoc domowa i damska twarz zmasakrowana tłuczkiem do mięsa. Lub pięścią. Innym razem gwałt na nastolatce, udręczenie ze szczególnym okrucieństwem albo zeznania ofiary, którą włamywacze podgrzewali żelazkiem w celu uzyskania wiedzy o miejscu przechowywania rzekomego majątku. Co najtragiczniejsze, takich miejsc z reguły nie było. Przez pięć lat praktyki prokuratorskiej nauczyła się tego, czego degeneratom nie udało się zrozumieć przez całe dekady: ludzie nie trzymali w domach biżuterii, kosztowności i wypchanych gotówką sienników. Wszystkie napady i próby wydobycia z niewinnych ofiar zeznań były kompletnie chybione. I, czego nie mogła przeboleć, z reguły kończyły się morderstwem jakiejś podejrzewanej o faszerowany pieniędzmi materac, Bogu ducha winnej staruszki.

Wbrew całemu oglądanemu w pracy okrucieństwu i niezależnie od dawno utraconych złudzeń, lubiła swój zawód. Dawał jej poczucie sensu i własnej adekwatności. Koił myślą, że robi coś, by powstrzymać bezsensowną i barbarzyńską falę przemocy. Nawet jeśli dzięki jej pracy zwyrodnialcy mieli dostawać jakieś śmiesznie łagodne wyroki, nawet jeśli wciąż chodzili po mieście ubrani w zawiasy, ona miała poczucie, że ich naznacza. Bo przecież zawsze robili w końcu po raz drugi to samo, a wtedy nie było już przebaczenia. I znowu mogła zasypiać spokojnie, wiedząc, że nie krążą dłużej po ulicach, polując na kolejne ofiary. Że nie wracają do domów, by znów obić żonę czy zgwałcić

pasierbicę, nie rozważają przy piwie możliwości łatwego pozyskania rzekomych milionów od następnej mieszkającej samotnie staruszki.

Świat, który ją otaczał, był wrogi, okrutny i wyzuty z przyzwoitości. Dawał się znieść tylko dzięki używkom. Zwykle była to wódka, rzadziej napotkany w barze nieznajomy mężczyzna i dreszcz podniecenia, jaki odczuwała na myśl, ile ryzykuje, zapraszając obcego do swego mieszkania. Za każdym razem spodziewała się, że wyrwany w klubie przystojniak okaże się psychopatycznym seryjnym mordercą lub niegdysiejszym, żądnym zemsty skazanym. Była na to gotowa. Wiedziała, że będzie się bronić tylko przez chwilę, bo w starciu z mężczyzną jej szanse będą mizerne. Wiedziała, że przegra – niezależnie od wznoszonych desperacko okrzyków czy rzucanych w agresora przedmiotów. Oswajała tę wizję i próbowała przyzwyczaić się do myśli, że w końcu ktoś ją zatłucze. Zadźga nożem, zadusi jej własną pończochą, spierze na kwaśne jabłko. Wyobrażała sobie własną twarz pokrytą wybroczynami, zakrwawioną i spuchniętą. Swoje ciało porżnięte nożem, obite i wykoślawione ostatnią konwulsją śmierci. Spoglądała na siebie beznamiętnie, tak jak pracując nad kolejnymi sprawami, patrzyła na zdjęcia z miejsc zbrodni. Z profesjonalizmem i zawodowym dystansem. Była pewna, że gdy ją to w końcu dopadnie, będzie gotowa. Nie wpadnie w histerię, nie przestraszy się, nie będzie błagała o litość. Jeśli cokolwiek ma się jej stać, zniesie to godnie, dbając tylko o to, by naskórek sprawcy wbił się głęboko pod jej paznokcie i dał szansę ekipie dochodzeniowej.

Uważała się za twardą babę i taka właśnie była. A jednak Kempie udało się wyprowadzić ją z równowagi i skłonić do pospiesznego wypicia blisko ćwiartki tequili. Jego opowieść była dosadna i brutalnie realistyczna. Słowa zapadały się w nią i tworzyły przed oczami obrazy, których nie chciała widzieć i na które – mimo wszystkich swoich doświadczeń – nie była i nigdy nie będzie gotowa. Poprosiła uprzejmie, by przestał, próbowała go zbyć, zagłuszyć jego głos własnym pokrzykiwaniem, lecz bezskutecznie. Kempa spoglądał tylko na nią z coraz większą intensywnością, nachylał się bliżej i z uśmiechem serwował kolejne makabryczne szczegóły. Jego głos był niski, szmerzący, dający otoczeniu poczucie, że łączy go z nią jakaś intymna, damsko-męska więź, której nie powinno się przerywać. Osaczał ją i z zadowoleniem obserwował jej narastające zdenerwowanie. Czerpał z niego przyjemność równie intensywną, jak ze snuty przez niego wizji przemocy oraz fizycznego rozkładu. I cały czas się do niej uśmiechał. Chciała zapomnieć o niemożliwym do ogarnięcia umysłem wynaturzeniu otaczającego ją świata, a ten podły, mały, odrażający człowieczek właśnie zepsuł jej wieczór. Z pełną premedytacją i psychopatycznym uśmiechem na ustach.

Znienawidziła tego mężczyznę, zanim zdążyła go poznać, i chciała teraz odegrać się na nim za brutalny gwałt, jakiego dokonał na niej swą opowieścią. Chciała, by poczuł się tak samo jak ona zbrukany i upokorzony, by złośliwość, z jaką zostanie potraktowany, zraniła go równie dotkliwie, jak ją dotknęła przywoływana po pracy tematyka przemocy.

Podeszła do lodówki, o którą wciąż się opierał, i otworzyła drzwi w udawanych poszukiwaniach materiału na kanapkę.

– O, widzę, że mamy szynkę, ser żółty oraz twarożek. Na co kolega reflektuje? – zwróciła się do niego z nienawistnym spojrzeniem i uśmiechem na ustach. – Listek sałaty czy raczej plasterek

ogórka?

Kempa obrzucił ich wszystkich wrogim spojrzeniem, odstawił na blat trzymaną w ręku szklankę i ruszył w stronę klębiącego się tłumu. Kiedy mijał stojącą mu na drodze Ankę, zatrzymał się jeszcze na ułamek sekundy, spojrzał jej w oczy i nachyliwszy się w stronę jej ucha, wyszeptał:

– Po tobie spodziewałem się czegoś lepszego.

Wzruszyła ramionami i przepuściła go bez słowa, pozwalając, by Tomek odeskortował go do bramy wjazdowej. Kiedy zniknęli jej z oczu, sięgnęła po wciąż tkwiącą na blacie butelkę tequili i rozlała ją do kieliszków.

– Zapomnij, co ci powiedział – poradziła Marcie. Wyjęła jej z dłoni wciąż trzymanego ogórka i wręczyła w zamian szkło i ćwiartkę cytryny.

Zanim zdążyła sięgnąć po swój kieliszek, Marta zażądała dolewki.

Głowa pulsowała jej potężnym, trudnym do wytrzymania bólem, a suchość w ustach dawała jednoznaczny sygnał, że zdecydowanie przesadziły z tequilą. Nie pomagały ani wypijane teraz butelki wody, ani jajecznic na bekonie, ani nawet przełknięty zaraz po wstaniu z łóżka zestaw tabletek. Kac był przeraźliwy i sprawiał wrażenie, jakby nigdy nie miał się skończyć. Była piętnasta, a one z Martą wciąż jeszcze nie doszły do siebie. Tomek z zespołem zwinął się po południu, a śpiąca z Mariuszem na kanapie Kaśka dwie godziny wcześniej. Przynajmniej jej się udało. Cały wieczór sączyła elegancko szampana, nie porywając się na proponowane jej wielokrotnie drinki i wstrzeźliwość alkoholowa przyniosła oczekiwany rezultat: przez długie poranne godziny po domu niósł się jej histeryczny, dziewczęcy głos wznoszący okrzyki na cześć kolejnych orgazmów. Gdy reszta nocujących w domu gości zwlekła się późnym rankiem na wspólne śniadanie, oni wciąż tkwili nadzy na sofie, z opaloną w solarium nogą Kaśki przerzuconą zaborczo przez blade, choć całkiem niezłe zbudowane ciało Mariusza. Obudziła ich dopiero krzątająca w kuchni i roznoszący się wkoło zapach śniadania. Na rozbawione miny gości zareagowali fałszywie skromnymi uśmiechami i pozbierawszy rozrzucone w salonie ubrania, pomknęli do stojącego na podjeździe jaguara. Dla wszystkich było jasne, że ich sesja będzie mieć teraz dalszy ciąg. Zapewne w eleganckim apartamencie prezesa.

Marta zbierała właśnie pozostawione w najmniej oczekiwanych miejscach kieliszki, a ona wyrzucała do kosza na śmieci resztki zostawionego przez gości na talerzach jedzenia. Unoszący się w kuchni kwaśny zapach kiszących sałatek i alkoholu był ponad ich siły, więc otworzyły na oścież okna, nie przejmując się przesadnie bijącym z ogrodu zimnem.

Marta była wyjątkowo jak na nią milcząca. Wkładała kieliszki do zmywarki pogrążona we własnych myślach i nie reagowała na żadne bodźce zewnętrzne. Jakby wciąż tkwiła w stuporze alkoholowym i nie przeszła jeszcze do fazy kaca. Co gorsza, jej stan wskazywał dobitnie, że poprzedniego wieczoru upiła się w sposób dostępny niemal wyłącznie dla Rosjan, grabarzy i prokuratorów. Gorzki, ponury i wyzuty z resztki życiowych złudzeń. Jej brwi były ściągnięte, czoło pełne skupionego napięcia, a usta zacięte w wąską, pozbawioną warg linię. Ania zerkała na przyjaciółkę, by sprawdzić, w jakim jest stanie, lecz nie przerywała milczenia, wiedząc, że wcześniej czy później Marta dojrzeje i zrzuci z siebie gniotący ją bagaż. Póki co cisza była zbawienna.

Skończyła ze stosem talerzy i dopełniwszy zmywarkę, ruszyła w stronę najbliższej łazienki. Zanim otworzyła drzwi, zatrzymała się na sekundę i wzięła głęboki oddech. Bardziej niż w obawie przed zawartością toalety z chęci zrobienia sobie choć krótkiej przerwy i rozprostowania pleców. Nie spodziewała się, że za drzwiami może na nią czekać cokolwiek innego niż obryzgane wodą lustro, zacieki mydła na armaturze i – jeśli zabawa faktycznie była tak dobra, jak udało jej się to zapamiętać – kilka opakowań po prezerwatywach. Uchyliła drzwi i mimowolnie jęknęła. Podłoga łazienki była zalana wodą, oderwana od blatu umywalka stała pod ścianą, a ślady na lustrach wskazywały dość jednoznacznie, że miejsce to nie pełniło tej nocy przewidzianej dla siebie funkcji. Odbite

dokoła dwie pary męskich dłoni oraz leżący w kącie stos zużytych kondomów świadczyły dobitnie, że co najmniej dwóch panów bawiło się tu znakomicie.

Rzuciła ręcznik na podłogę i uklękła, by przyjrzeć się uważnie zniszczeniom. Przez noc drzwi zdążyły naciągnąć wodę i spuchły u dołu, nie dając większych nadziei na to, że po wyschnięciu zdolają wrócić do normy. Zaciek był wielki niczym arkusz papieru i wybrzuszał się wyraźnie, odznaczając od reszty stolarki żółtą, lekko zmarszczoną obwódka. Dotknęła jej czubkami palców i poczuła, że wzrok jej mętnieje, a po policzkach spływają łzy. Dom przestał być idealny i nosił teraz na sobie wyraźne blizny ostatniej nocy. Rany, których nigdy by nie miał, gdyby nie lekkomyślność, z jaką skomponowała listę gości, i niefrasobliwe podejście do krążących po salonie, nieznanym jej wcześniej osób. Wstała z podłogi i obejrzała przez łzy ślady na blacie. Metalowa rurka łącząca syfon z odpływem była nowa, wolna od jakichkolwiek śladów korozji czy innego zużycia. Nie potrafiła wyobrazić sobie sytuacji, która mogłaby doprowadzić do jej pęknięcia. Jedyne, co pocieszało, to fakt, że szkło umywalki było nieuszkodzone.

Odetchnęła kilkukrotnie, naciągnęła na dłonie parę nowych lateksowych rękawic i zaczęła wrzucać do worka na śmieci zużyte prezerwatywy, kiedy zza pleców dotarł do niej zachrypły wielogodzinnym milczeniem głos Marty:

– Cholera! Niezła demolka!

Przyjaciółka weszła do toalety i zaczęła oceniać straty. Gdy jej wzrok padł na wykrzywione wilgocią drzwi, objęła ją ramieniem w niemym geście kobiecej solidarności.

– Zamykają się? – spytała i nie czekając na odpowiedź, pociągnęła za klamkę. – Chyba tak. Nie przejmuj się. Mogło być gorzej.

Raz otwarta tama słów sprawiła, że Marta zaczęła teraz mówić chaotycznie, szybko i bez skrępowania. Jakby musiała nadrobić ostatnich kilka godzin i wyrzucić z siebie wszystkie nagromadzone od wczoraj emocje.

– Co za ludzie! Wydawałoby się, że mamy znajomych na poziomie, a to zwykli wandal! Nie mogę znieść takiego zachowania! Tego, że mają w nosie uczucia innych, że zachowują się jak zwierzęta! Jak można było urwać umywalkę?! Chryste, co za dzicz to zrobiła?! I jeszcze nikt się do tego nie przyznał! Przecież powinni ci za to zapłacić! Mogłabyś ich pozwać!

Nakręcała się w swojej prawniczej buńczuczności i tylko kwestią czasu było dotarcie do momentu, gdy zacznie nawiązywać do amerykańskiego systemu prawnego, w którym każdy pozywał każdego. Wiedząc, jaki będzie dalszy ciąg prokuratorskiej przemowy, Anka wzięła ją lekko za rękę i uspokajającym głosem mruknęła:

– Sama jestem sobie winna. Trzeba było zaprosić tylko najbliższych przyjaciół.

– Niektórych z tych ludzi w ogóle nie znałam! – Marta podchwyciła wątek i przeszła zgrabnie do obmawiania gości. – Widziałaś tę grupkę gejów? Mam wrażenie, że Kryski ich tutaj zaprosił. Nie wiem, jakim prawem. Przez cały wieczór zachowywał się, jakby tu mieszkał. Szczerze mówiąc, gdybym miała kogoś podejrzewać o wyrwanie tej umywalki, to byłby pierwszy na liście.

– Marcin?

Diagnoza Marty ją zadziwiła. Kryski nie wyglądał na faceta dysponującego taką siłą fizyczną. Nie mówiąc już o tym, że nie należał do osób, które niszczyły cokolwiek. Jego mieszkanie zawsze było zadbane, buty czyste, a odzież nieskazitelna. Jak każdy gej lubił piękne przedmioty i miejsca. Wandalizm nie leżał w jego naturze.

– Tak, Marcin. Nie zauważyłaś, że był chory z zazdrości? Przez pół wieczoru nie potrafił zapanaować nad sobą. Nie wiem, czy bardziej odchorowywał tę chatę, czy może atrakcyjność Mejera.

– Żartujesz sobie.

– Nie, nie żartuję. Tomek może i nie do końca jest w jego typie, ale Marcin lubi wszystko, co piękne i snobistyczne. A Mejer zdecydowanie jest pięknym facetem. No i w pewnym sensie także sławnym. Sama bym chętnie...

Spojrzała na przyjaciółkę niepewna, czy żartuje, koloryzuje, czy mówi prawdę. Po raz pierwszy w kontekście mężczyzny była skonfrontowana z tego rodzaju dylematem, bo Marta wybierała z reguły potężnych facetów o jasnych włosach i wielkich karkach. Takich, przy których czuła się drobną, wymagającą ochrony kobietką. Którzy chcieli nosić ją na rękach i bronić przed niebezpieczeństwem otaczającego świata. Tomasz, poza muskulaturą, nie spełniał jej warunków brzegowych. Nie należał do mężczyzn dających poczucie bezpieczeństwa czy stabilizacji. Był wolnym ptakiem.

– Daj spokój! – Marta popatrzyła na nią z politowaniem i zabrała jej z rąk ociekający ręcznik. – Przecież go nie uwiodę! Co nie znaczy, że nie jest seksowny i piękny.

Wyszły z łazienki w poszukiwaniu miski, do której mogłyby zebrać resztki stojącej na podłodze wody.

– W przeciwieństwie do tego potwora, Kempy. – Marta ciągnęła wątek, dochodząc w końcu do clou nurtującej ją sprawy. – Ten gość jest wyjątkowo ohydny. Nie tylko z wyglądu...

Kolejna godzina była zdawaną słowo po słowie relacją z „wojennej” rozmowy z Przemkiem. Wspominając go, Marta wciąż trzęsła się z irytacji i rozdrażnienia. Ścierka w jej rękach przebiegała nerwowo po łazienkowych blatach, szczotka przesuwiała się energicznie po miskach toalet i pisuarów, a mop wykonywał gwałtowny taniec po drogim kamieniu posadzki. Praca paliła jej się w rękach. Tak jakby nerwowość ruchów mogła choć trochę ukoić wewnętrzne wzburzenie.

Obserwowała przyjaciółkę zdumiona nie tyle makabryczną tyradą Kempy, ile energią, jaką wyzwolił w Marcie swą opowieścią. W ciągu godziny w salonie, holu i łazienkach nie było śladu po nocnej imprezie, a jedyne, co zdradzało jeszcze wczorajszą domówkę, to stos czekających na wolną zmywarkę talerzy i zdewastowana łazienka. Cała reszta błyszczała, a w domu unosił się wyrazisty zapach spirytusu i chloru.

– Zajrzę jeszcze do garażu i kotłowni – przerwała niekończący się słowotok Marty, która zapętleła się w opowiadanej od godziny historii i wylewała po raz kolejny te same żale. – Nie powinni byli tam wchodzić, ale lepiej to sprawdzić.

Ruszyły zgodnie w stronę pomieszczeń gospodarczych, licząc w duchu, że oba wciąż są zamknięte i że praca na dzisiaj została skończona. Kto chciałby spędzać noc w towarzystwie zaparkowanych w garażu aut albo pieca? Nawet w kontekście zniszczeń, które zastały w łazience, pomysł

wydawał się niedorzeczny. A jednak, gdy tylko złapała za klamkę, drzwi szczęknęły złowrogo, a przykrywająca zamek nasadka oderwała się i opadła na wykrzywiony, choć wciąż tkwiący w nim klucz.

– Co jest grane? – Marta pochyliła się lekko i ująwszy nakładkę w dwa palce, zaczęła się przyglądać drzwiom z wnikliwością godną śledczego. – Ktoś grzebał przy zamku?

Spojrzały na siebie z rosnącym zdumieniem i odwróciły się zgodnie w stronę znajdujących się na bocznej ścianie drzwi do kotłowni. Ich klucz również tkwił w zamku, ale podobnie jak ten w drzwiach garażowych zwiślał lekko pod kątem.

– Nie dotykaj! – Marta krzyknęła gwałtownie, lecz było za późno. Palce Anki zdążyły już objąć nakładkę zamka, która podobnie jak ta poprzednia oderwała się i pozostała jej w dłoni.

– Cholera jasna!

– Zniszczyłaś ślady!

Podniosła wzrok i spojrzała na przyjaciółkę jeszcze bardziej zdumionym spojrzeniem. Ślady? Czy Marta nie powinna wziąć nieco wolnego od pracy? Bo chyba nie sądziła, że ktoś celowo zniszczył jej zamki? Kto niby miałby to robić? I w jakim celu?

– Trzeba zadzwonić na policję! – Marta obstawała przy raz postawionej diagnozie. – Choć nie wiem, czy teraz ma to jeszcze sens. – Spojrzała znacząco na zamki.

– Wejźmy do środka. Chcę zobaczyć, czy wszystko w porządku.

Głos Anki był zmęczony i niechętny budowaniu jakichkolwiek teorii spiskowych. Chciała skończyć sprzątanie, wziąć prysznic i rzucić się znowu na łóżko. Dochodzenie wewnętrzne nie było jej do niczego potrzebne. Zwłaszcza dzisiaj, gdy kac wciąż nie miał zamiaru zelżeć, stan łazienki nie poprawiał nastroju, a relacja Marty z rozmowy z Kempą już dawno temu przelała czarę goryczy. Spojrzała na przyjaciółkę błagalnie, a ta kiwnęła tylko lekko głową i nacisnęła na klamkę. W pomieszczeniu gospodarczym panował idealny porządek. Jedynie na podłodze przy wejściu leżała niewielka kupka metalowych opiłków.

– Sprawdzimy garaż?

Wycofały się z kotłowni do holu i pchnęły drzwi do garażu. Światło padające zza przymkniętych żaluzji nie wystarczało, więc Anka wsunęła dłoń i wymacała na ścianie przycisk kontaktu. Halogeny na suficie rozbłysły i ich oczom ukazały się dwa stojące wewnątrz samochody oraz ułożone równo na regałach kartony. Wszystko wydawało się być w idealnym porządku.

Marta jako pierwsza weszła do środka. Pomieszczenie było wielkości sporego mieszkania i zawodowa skrupulatność wymagała, by poświęcić mu więcej niż tylko rzut oka.

– Chodź! Musisz sprawdzić, czy wszystko jest na miejscu i czy nie pojawiły się jakieś dodatkowe przedmioty – wydała dyspozycję i pochyliła się, by zajrzeć pod mercedesa.

Weszła powoli do środka, mając wrażenie, że nagle gra w niskiej klasy horrorze, którego bohaterowie zawsze postanawiają zejść samotnie i bez latarki do mrocznej, pełnej zombie piwnicy. Reakcja Marty wydawała jej się śmieszna i bezzasadna. Odpadła nasadka z zamka, a ona robiła z tego jakąś kryminalną aferę. Tak jakby nigdy wcześniej nie miała do czynienia z niechlujstwem robotni-

ków i podłą jakością materiałów wykończeniowych. Westchnęła zrezygnowana i przesunęła się w głąb pomieszczenia. Zirytowana obsesją przyjaciółki, ale także własną fizyczną reakcją. Mimo iż doskonale wiedziała, że w garażu nie ma niczego godnego uwagi, jej dłonie zaczęły się pocić, a grzywka przywarła do czoła. Wytarła nerwowo ręce w spodnie i przesunęła się ostrożnie wzdłuż ściany, lustrując otoczenie.

– Nikogo tu nie ma. – Marta podniosła się z kolan. – Możesz wejść. Obejdz cały garaż i daj znać, czy cokolwiek wzbudza twój niepokój. Czy coś stoi na niewłaściwym miejscu albo czegoś brakuje.

Anka westchnęła ponownie, zacisnęła powieki i kompletnie nie rozumiejąc swojej własnej reakcji, wrzasnęła:

– Czy coś wzbudza niepokój? – Jej głos był pełen agresji i nieskrywanego sarkazmu. – Żarty sobie stroisz czy bawisz się w pracę?! Mam kaca, ktoś urwał mi umywalkę i zalał łazienkę, bredzisz przez dwie godziny o Kempie – tak, zgadzam się, że jest świrem – a teraz każesz mi sprawdzać, jak wielki odczuwam niepokój?! Dlatego że obluzował się zamek?!

– Uspokój się! – Marta ryknęła na nią gwałtownie. – Twoja histeria i rozczulanie się nad sobą są ostatnimi rzeczami, jakich teraz potrzebujemy! Weź się w garść!

Gwałtowna reakcja przyjaciółki i świadomość, że jak zwykle ma rację, podziałały niczym zimny prysznic.

– Przepraszam.

– Bierz się do roboty! Ja tego za ciebie nie zrobię!

Marta nie wychodziła z roli twardej pani prokurator, choć wcale nie czuła się dobrze. Może Ania miała rację i na kacu dopadła ją paranoja? Może powinna pójść do psychiatry i zacząć się leczyć na choroby zawodowe prawników? Manię prześladowczą i alkoholizm. Poczwała, że trzęsą się jej ręce, więc wsadziła je do kieszeni sportowej bluzy. Nawet jeśli wciąż była nieco pijana i cierpiała na urojenia, garaż wymagał sprawdzenia, a Anka nie mogła zobaczyć jej wątpliwości. Musiała być teraz zdecydowana, panować nad sytuacją, oceniać trzeźwo fakty, zapamiętywać sekwencje wydarzeń. Może to nie był najlepszy dzień na rozwiązywanie zagadek, może i powinna się leczyć, lecz miała przeczucie, że coś tutaj nie gra. „Przecucie” brzmiało jednak jak tani cytat z *Dempsey i Makepeace na tropie* i w konfrontacji z cynizmem Anki zdechłoby pewnie zabite jej śmiechem. Nie mogła się przyznać, że operuje na tym poziomie. Że gadzi instynkt jest źródłem jej znakomitych statystyk ani że patrząc na rozwalone zamki, myślała wyłącznie o tym, że ktoś ewidentnie Anki nie lubił. Może szykował się do kolejnego numeru, a może zakończył swoją działalność minionego wieczoru. Czy umywalka miała z tym coś wspólnego? Wątpliwe. W domu było za dużo ludzi. Gdyby jedna osoba stała za wszystkim, ktoś mógłby to zauważyć...

– Och! – krzyknęła nagle porażona myślą, która w zdenerwowaniu nie przyszła jej od razu do głowy.

Anka podskoczyła nerwowo i odwróciła się w jej stronę.

– Co się stało? Znalazłaś coś?

– Nie, nie... Tylko uświadomiłam sobie, że jeśli ktoś majstrował przy zamkach, to nie robił tego od strony holu. Musiał wejść do środka i zrobić to stąd. Dzwonię na policję! Może na drzwiach od wewnątrz są jeszcze jakieś odciski.

Anka zamarła. Paranoja Marty wymykała się spod kontroli, a myśl o tym, że ekipa dochodzeniowa miałaby zbierać ślady po domu, przesłuchiwać gości i nachodzić ich w domach, była ponad jej siły. Przecież nie znały nawet wszystkich nazwisk. Na liście zaproszonych było czterdzieści osób, stawilo się blisko dwa razy tyle. Dotarcie teraz do wszystkich, sprawdzenie ich tożsamości, odkrycie powiązań, intencji i faktów – a wszystko to z powodu zepsutych zamków – brzmiało jak sen wariata. I jeszcze Tomek. Jeśli policja zjawi się w jego domu, Teresa o wszystkim się dowie. Wyjdą na jaw kłamstwa o koncertach w Warszawie, o nieistniejących trasach i spotkaniach w wytwórni. Wyjdzie na jaw ich związek...

– Przestań! – krzyknęła i podbiegła do Marty, która zdążyła już wyjąć komórkę z kieszeni i wybierała właśnie numer alarmowy. – Przestań! – Wyrwała jej z ręki telefon i zakończyła połączenie. – Nie możesz tego zrobić!

Marta spojrzała na nią zdziwiona, tak jakby nie rozumiała nie tylko niedorzeczności pomysłu, ale także konsekwencji swojego naturalnego, prawniczego odruchu.

– Pomyśl przez moment! – Krzyk Anki był teraz świdrujący i przeszywał skołataną kaczem głowę Marty nieznośnym bólem. – Co powiemy policji? Nic nie zginęło. Nic się nikomu nie stało. Prawdopodobnie nawet nie było intruzów. Może poza Kempą. A to oznacza, że zrobił to ktoś, kto został tu zaproszony. Czy to przeze mnie, czy jako osoba towarzysząca. Czyli nie było wtargnięcia. W najlepszym razie dewastacja mienia niewielkiej wartości. O ile w ogóle. Jeśli ktokolwiek miałby potraktować poważnie tę sprawę, to chyba wyłącznie ze względu na ciebie. A konsekwencje takiego „śledztwa”? Wyobrażasz je sobie? Bo chyba nie sądzisz, że pani Mejer wiedziała o nocowaniu jej skaczącego na boki małżonka w tym domu?

Marta spojrzała na nią z namysłem i skinęła głową ze zrozumieniem.

– W porządku.

Anka odetchnęła głębiej, zachwiała się i oparła plecami o regał, który zachybotał lekko pod jej ciężarem. Nawet jeśli czasami zdarzało się Marcie ulegać zawodowym obsesjom i dręczyć otoczenie paranoicznym lękiem o bezpieczeństwo najbliższych, była dla niej prawdziwą podporą. Nigdy wcześniej z żadną kobietą nie udało jej się stworzyć tak głębokiej relacji. Żadnej innej nie potrafiła w pełni zaufać, powierzyć swoich sekretów, zdradzić nurtujących ją myśli. Marta była pod tym względem wyjątkowa. Myślała podobnie i była wolna od pokusy pochopnych ocen i skreślenia przyjaciół za grzechy nieuwzględnione w Kodeksie karnym. Związek z żonatym mężczyzną nie stanowił tabu ani problemu. Przynajmniej nie dla nich. Jeśli któregoś przytrafiał się romans, to kłopot miała żona, nie one. Nie polowały na facetów w związkach, ale jeśli je uwodzili, nie broniły się przed tym zaciekle. Marta twierdziła, że żonaci mają powód do zdrady, którym z reguły jest żona. Anka była w swoich ocenach dużo bardziej ostrożna. Wiedziała, że istnieją mężczyźni niezdolni do monogamii i że ich rozwiązłość ma niewiele wspólnego z atrakcyjnością posiadanych partnerek czy szczę-

ściem małżeńskim. Problem nie tkwił w uciążliwych czy brzydkich małżonkach, tylko w nich samych. Lubili ryzyko, kobiety i tworzoną skokami w bok osobistą legendę. Bardzo rzadko nie darzyli sympatią swych rodzin.

Być może Tomek rzeczywiście nie kochał Teresy, lecz poza wszelką wątpliwość było mu z nią niezmiernie wygodnie. Była dobrym współlokatorem, którego nie chciałby stracić. Wyprowadzka z domu oznaczałaby utratę wszystkich oferowanych mu przez nią wygód oraz konieczność zajęcia się nieliczącymi z jego zawodem obowiązkami. Płacenia rachunków, włączania pralki, sprzątanía po sobie. Chodzenia na wywiadówki i odrabiania lekcji z synem. Gotowania obiadów, robienia zakupów, koszenia trawnika przed domem. Tomasz był ponad to wszystko. Romanse i seksualne przygody pasowały do romantycznej wizji niespokojnego ducha artysty i schlebiały jego próżności, ale nie miały prawa zagrozić rodzinie. Nie dopuszczał pod tym względem żadnego marginesu na negocjacje i ona o tym wiedziała. Doceniała jego szczerość i fakt, że nie prowadził z nią gry w obietnice, które nie miały pokrycia. Proponowany przez niego układ odpowiadał obojgu. On nie chciał porzucić żony, a ona mieć go na co dzień. Ani przejąć obowiązków, które tak perfekcyjnie spełniała Teresa. Prać jego gaci, prasować koszul i ustawicznie pakować walizek. Zajmować się nim jak dzieckiem w zamian za wątpliwy przywilej noszenia obrączki i jego nazwiska. Gdyby stanął w jej progu z tobołkiem podróżnym i oznajmił, że się wprowadza, byłoby to znacznie straszniejsze niż uszkodzone zamki i zalana łazienka. Oznaczałoby koniec pozbawionego wad związku i powrót do codzienności zapamiętanej z czasów pierwszego małżeństwa. Do konieczności obsługiwanía kolejnego, nawet jeśli bardziej teraz atrakcyjnego mężczyzny. Stanowiłoby zapowiedź końca, na który nie była gotowa.

Przetarła ręką czoło i oderwała plecy od półek. Drewniana konstrukcja znów się zachwiała.

– Uważaj!

Ostrzeżenie Marty dotarło do niej w momencie, gdy duża szklana butelka uderzyła ją w głowę. Poczula, że na moment ciemnieje jej z bólu w oczach, ale nie przewróciła się, tylko znów opadła plecami na regał, unosząc ręce nad głowę w ochronnym geście zaatakowanej znienacka ofiary. Kolejna półlitrówka uderzyła ją mocno w przedramię, zsunęła się po ręce i spadła na podłogę tuż obok rozbitego szkła pierwszej. Nie roztrzaskała się, lecz odbiła od podłogi i potoczyła pod stojący tuż obok samochód Marty. Zanim się otrząsnęła i doszła do siebie, przyjaciółka klęczała przy swojej czarnej toyocie, trzymając w ręce nieopróżnioną do końca flaszkę i przyglądając się etykietce.

– Naprawdę to pijesz? – W jej głosie zabrzmiało zdziwienie. – Myślałam, że to jest trunek smakoszy denaturatu.

– To nie moje. – Szept Anki był zachrypnięty. Czyżby Marta mogła jednak mieć rację?

– Cholera!

– Naprawdę nie moje! Po co miałabym stawiać puste butelki na regale w garażu?

Marta spojrzała na nią z namysłem, doszła do jakiegoś wniosku i zarządziła:

– Podaj mi stołek!

Wspięła się na podany jej karnie taboret i przesunęła ostrożnie dłonią po najwyższej półce regału.

– Coś jeszcze tam jest!

– Puść mnie. Jestem wyższa.

Anka wdrapała się na stołek, wspięła na palce i zajrzała na niedostępną dla koleżanki półkę. Tuż pod ścianą leżały dwie puste puszki po sardynkach, zjedzony do połowy słoik korniszonów, nierozpakowana paczka żółtego sera i dwie zawinięte w folię, wciąż miękkie bułki. Zdjęła wszystko ostrożnie, przekazując jedną rzecz po drugiej w wyraźnie trzęsące się ręce Marty. Gdy w końcu zesła, jej twarz była kredowo biała, a czoło spocone.

– Wiesz, co to może oznaczać... – Głos Marty załamał się i uwiązał jej w gardle.

Opadła na podłogę i oparła się plecami o ścianę. Tak, wiedziała, co to oznacza. Ktoś spędził tu sporo czasu. I zamierzał zostać na dłużej.

– Muszę zapalić...

Podniosła się powoli i nie patrząc Marcie w oczy, ruszyła szybko w stronę drzwi. Kac minął. Była trzeźwa, skupiona, a jej mózg pracował na najwyższych obrotach, sortując listę gości na dwie kategorie: podejrzani i mniej podejrzani. W pierwszym odruchu uznała, że kobiety powinny zostać wyłączone z tej analizy, ale po chwili zmieniła zdanie. Majstrowanie przy zamkach, tani alkohol i korniszony kojarzyły się z mężczyznami, ale ta właśnie oczywistość konkluzji sprawiała, że musiała ją podać w wątpliwość. Może którejs z pań zależało, by wszystkie znaki na niebie i ziemi kierowały uwagę na inne osoby? Może za całą tą historią wcale nie stał umięśniony mężczyzna o prostych upodobaniach, lecz eteryczna blondynka, która zawartość butelek wylała do garażowego odpływu, a sardynkami uwiodła Stefana?

– Boże! Gdzie jest kot?! Widziałas go dzisiaj? – jęknęła i odwróciła się w stronę Marty z paniką w oczach, a przez głowę przemknęła jej wizja gotującego się w wielkim garnku zwierzęcia i wyskakującej z wanny Glenn Close. Nie, to nie było możliwe. Sięgnęła po papierosa i odpaliwszy go lekko trzęsącą się ręką, zrobiła głęboki, gryzący wdech. – Sprawdzę w sypialni.

– Ja to zrobię. Na pewno leży na łóżku. Ty zamknij okna. – Głos Marty był rzeczowy i nie pozostawiał pola do dalszej dyskusji. – Potem zaciągnij rolety i zapal światła.

Dopiero teraz zauważyła, że za oknem panował już mrok, a wydychane przez nią obłoczki nie były samym tylko dymem papierosowym. W kuchni panowało piekielne zimno. Kiedy Marta wróciła z sypialni, niosąc na rękach rozspanego Stefana, była właśnie na etapie opuszczania kolejnych rolet i powolnego uświadamiania sobie znaczącej kolejności, w której wykonywała przydzielone jej przez przyjaciółkę zadanie. Wiedziała, że Marta ma rację; ktokolwiek stał za tą historią, z pewnością zamierzał tu wrócić. Może nawet obserwował je wcześniej przez okna – ukryty w otaczających dom drzewach i niewidoczny od wewnątrz. Może bawiła go ich narastająca panika, a może po prostu chciał odczekać do chwili, gdy przez jedno z otwartych okien będzie mógł wślizgnąć się do środka.

– Jesteś pewna, że w domu nie ma nikogo?

Marta przytaknęła, potwierdzając tym samym, że tok ich myślenia jest zbieżny.

– Zjrzałam po drodze do wszystkich pomieszczeń. Jesteśmy same.

Przez chwilę leżała bez ruchu, delektując się chwilą lenistwa i odraczaną o kilka minut koniecznością powrotu do życia. Stefan wyczuł jej przebudzenie i zakradał się już powoli, zapowiadając miauczeniem, że pora na poranny rytuał czułości. Chcąc uprzedzić jego kocie zaloty, wysunęła rękę z zamiarem naciągnięcia drugiej poduszki na głowę, ale zamiast wykrochmalonej powłoczki poczuła pod dłonią długie pasma kobiecych włosów. Dochodzący z drugiej połowy łóżka miarowy oddech wskazywał na to, że Marta wciąż śpi. Uniosła się na łokciu i próbowała dostrzec coś w mroku, ale rolety były spuszczone, a światło elektrycznego budzika rzucało jedynie delikatną zieloną poświatę na stojący przy łóżku stolik i rozrzucone dokoła kartki papieru. Skupiła wzrok na wyświetlaczu: była dopiero piąta.

Opadła z powrotem na łóżko i przez dłuższą chwilę walczyła z nachalną przymilnością Stefana, usiłując sobie równocześnie przypomnieć wszystkie wnioski, do których doszły poprzedniego wieczoru. Lista podejrzanych znajomych wciąż była długa. W zasadzie poza Kaśką i Tomkiem nikogo nie dało się całkowicie wykluczyć. Może chłopaków z zespołu, a może i nie. Ostatecznie uznały, że męskie relacje mogą być skomplikowane, a deklarowana kumplom lojalność może się rozmiąć z rzeczywistością. Koledzy Tomka wcale nie musieli być tak obojętni na jego romans, jak mu się zdawało. Może drażniło ich jego powodzenie u kobiet, a może któryś był zasadniczy i nie pochwałał zdradzania żony. Albo po prostu nie lubił Mejera.

Z czołówką listy nie było trudności. Ranking otwierał Kempa, na drugim miejscu uplasował się Kryski, a trzecie miejsce zgodnie przyznały Teresie. Ostatecznie fakt, że nie było jej na imprezie, nie mógł o niczym przesądzać. Była zdradzaną żoną i jedyną osobą, która miała klarowny motyw. Odkrycie romansu Tomka nie było szczególnie trudne. Zachowywał co prawda higieniczne minimum, korzystając z dwóch komórek i wkładając przed powrotem do domu wolne od zapachu jej perfum ubrania, ale czy to wystarczało? Szczerze wątpiły. Dość było na niego spojrzeć, by zgadnąć, że coś jest na rzeczy. Jeżeli one odczytywały jego nieobecne spojrzenia i błąkający się na ustach uśmiech, to z całą pewnością czytała je również Teresa. Tym sprawniej, że znała go dłużej i jako żona muzyka przez lata musiała być czujna. Obserwować symptomy i składać w całość z pozoru nieistotne poszlaki. Dbać o trwałość swojej rodziny i bezpieczne dzieciństwo ich syna. Jedyne, co do niej nie pasowało, to przyjęty tym razem sposób działania. Modus operandi Teresy sprowadzał się dotąd do niespodziewanych nalotów na kluby oraz kontroli w trakcie koncertów. Gdy przyłapywała go w barze z dłonią na talii jakiejś uwodzonej właśnie piękności, przedstawiała się tylko i odwoziła grzesznika do domu. Bez krzyku, straszenia fanek i publicznego demonstrowania zranionych uczuć. Potem następowało kilka dni szeptanych – w trosce o spokój syna – awantur i setek niemających pokrycia obietnic. Przeprosiny i seks na zgodę. Czasem rodzinny wyjazd na weekend. Kilka tygodni spokoju i nowa erotyczna przygoda, o której znów ją zapewniał, że nie ma żadnego znaczenia. Stała dynamika kontroli, szantaży, krzyków i prośb o wybaczenie. Dramatycznych kobie-

cych gestów i męskich przyrzeczeń, że jeden raz nic nie znaczy. Zrzucania winy na nachalne umizgi kobiet, męską słabość i czyhające na muzyka pokusy. Klasyka gatunku.

Tak, Teresa miała motyw, ale miała też rozgrzeszenie. Kiedy się nad tym zastanawiała, doszły do wniosku, że bycie zdradzaną żoną musiało być dosyć upiorne. Nadal nie było w nich poczucia winy z powodu romansowania z cudzymi mężami i wciąż uważały, że żona z rogami jest mocno żalosna, lecz dopuszczały do siebie wniosek, że gniew na męża może też zrodzić agresję w stosunku do jego kochanki. W pewnym sensie bezpardonowa walka z rywalką byłaby nawet dowodem na posiadany przez zdradzaną małżonkę charakter i dawała jej szansę na odzyskanie resztek szacunku w ich oczach. Jeśli robiona w bambuko żona – zamiast zrzędzić, szlochać i w końcu przebaczać – wykazałaby się dystynkcją swoich poczynań, mogłaby liczyć na wsparcie z ich strony. Kupiłyby to, nie mając w zasadzie większego żalu, że ubrana w szykowny kostium strzela im w piersi z beretty. Pod warunkiem, rzecz jasna, że z równą klasą potraktowałyby później niewiernego małżonka.

Uśmiechnęła się w mroku do absurdalnej myśli o eleganckiej śmierci z ręki Teresy. Ten scenariusz był mało prawdopodobny, bo i Teresa nie należała do kobiet szczególnie szykownych. Zamieszczane przez nią na portalach społecznościowych zdjęcia ukazywały nadszarpniętą życiem niewiastę w fotochromatycznych okularach i sięgających kostek spódnicach. Bardziej niż z Sharon Stone z *Nagiego instynktu* kojarzącą się z katechetką, bibliotekarką lub harcmistrzynią. Niegdysiejszą aktywistką Ruchu Światło-Życie lub ekomaniaczką.

Westchnęła. Przez kilka poprzednich dni kręciły się z Martą w kółko. Usiłowały złożyć w całość rozwieszony w ogrodzie balony, do których tajemniczego pochodzenia przyznała się w końcu przed przyjaciółką, rozwiercone wiertarką – jak w końcu udało im się ustalić – zamki i flaszki po taniej brandy. Bez skutku. Tak jakby wszystkie te incydenty nie miały ze sobą niczego wspólnego i były dziełem trzech różnych osób. Może zresztą tak właśnie było, choć opcja ta wydawała się niemożliwa. Nawet jeśli wciąż nie udało im się dostrzec w tym wszystkim schematu czy cienia logiki, to takie nagromadzenie faktów w żadnym wypadku nie mogło być przypadkowe. Jedynym efektem ostatnich nocy nie było rozwiązanie zagadki, tylko powolne osvajanie wydarzeń. Marta, która przeprowadziła się do niej na kilka dni dzielących parapetówkę od ponownego przyjazdu Tomka i przez pierwsze dwie noce krążyła po domu z pilotem antynapadu w dłoni, szukając dalszych śladów i poszlak, w końcu zaczęła się uspokajać. Przez trzy dni z rzędu nic się nie działo, więc czwartego wieczoru zgodziła się w końcu na znieczulenie butelką wina i odespanie zarwanych nocy. Jej odprężenie działało na Ankę kojąco. Zrobione przez nie notatki wciąż zakrywały podłogę w sypialni, lecz po przespanych spokojnie godzinach nie wyglądały już groźnie. Straciły swoją wrogość i stały się jedynie garścią absurdalnych zapisków. Dowodem na ich paranoję, a nie kryminalną zagadkę. Rzuciła na nie okiem i poczuła rozczarowanie z powodu własnego strachu i niedostatków inteligencji. Czy naprawdę wierzyła, że ma do czynienia z zapowiedzią mrocznego przestępstwa, które zawisło nad jej domem i głową? Z perspektywy sześciu godzin nieprzerwanego snu pomysł wydawał się niedorzeczny. Ktoś rozwiesił balony w ogrodzie, a one dobudowywały do tego pełną dramatyzmu historię. Tak jakby przyjazny gest nieznanego adoratora mógł być cokolwiek innym

niż niespodzianką. To samo dotyczyło znalezionych w garażu śmieci. Były niczym więcej jak tylko pustymi butelkami i parą zeschniętych bułek pozostawionych na półce przez ekipę przeprowadzkową lub robotników. Nie stanowiły zagrożenia i nie mogły w żaden sposób wiązać się z jej osobą. Podobnie jak zdewastowane zamki, które ktoś zapewne uszkodził na długo przed tym, jak Marek wręczył jej klucze do domu. Któryś z członków ekipy uznał z pewnością, że dom zostanie sprzedany jakiejś rodzinie krezusów i postanowił otworzyć drogę dla planowanego na przyszłość włamania. A że należała do osób, które odruchowo przekręcały klucze w zamkach, te, poruszane nieustająco, rozsypały się w końcu, ujawniając fakt, że ktoś przy nich majstrował. Zdradzana Teresa, ekscentryczny Kempa czy skręcany zazdrością Marcin nie mieli z tym nic wspólnego. Stanowili dobrą pożywkę dla ich rozbuchanej podejrzliwości, skołatanych kacem nerwów i prawniczej wyobraźni Marty. Nic więcej.

Tak, trochę je chyba poniosło. Nakręciły się wzajemnie i poddając chwilowemu przekonaniu o czającym się w ciemnościach zagrożeniu, uwierzyły, że mają do czynienia z jednym z niewyjaśnionych i mrocznych przestępstw, o których tak często opowiadała Marta. Może potrzebowały tego dramatyzmu, żeby ożywić sobie nieco fabułę, a może uległy wspólnie paranoi, która powoli, ale skutecznie oplatała swoimi mackami Martę? Jakiemuś urojonemu i całkowicie nieprawdziwemu przekonaniu, że tuż za rogiem czyha niebezpieczeństwo.

Odetchnęła głęboko i przeciągnęła się wygodnie na łóżku. Nocą wszystkie koty wydawały się czarne, a każde kroki w ciemnej uliczce musiały zwiastować przestępstwo. W świetle dziennym i z kilkudniowego dystansu lęki stawały się niczym więcej niż niepotrzebnie spędzającym sen z oczu banałem, o którym powinna w końcu zapomnieć. Teresa nie obleje jej twarzy kwasem, Kempa nie podłoży na ścieżce do domu miny przeciwpiechotnej, a Kryski nie zmieni się nagle z zakochanego w sobie dandysa w seryjnego mordercę. Byli tylko tym, czym mogli być: trojgiem nieszczęśliwych, samotnych ludzi. Być może zazdroszczących jej życia, ale z pewnością niezdolnych do autentycznej przemocy.

Odprężona i wyspana miała wrażenie, że ostatnie dni były obejrzaną w kinie komedią pomyłek. Dziwiło ją, że tak łatwo uległa psychozie i dała się Marcie wmanewrować na pokrętną ścieżkę ustawicznych podejrzeń. Że nie dostrzegła od razu, jak bardzo niektóre z ich tez są karkołomne. Jak choćby ta, że ktoś mógł się chować w garażu albo próbować wskoczyć przez okno w czasie, gdy były w domu.

Marta żyła we wrogim świecie przemocy, morderstw i nierozwiązanych zagadek. Ulegała jego mrokowi i było to naturalne. W końcu nie była robotem, tylko wrażliwą kobietą, zdecydowanie słabszą, niż musiała to na co dzień odgrywać. Zamiast pogrążyć ją w przekonaniu, że świat jest zły, a ona malutka, powinna była jakoś jej pomóc. Oderwać jej myśli od prosektoryjnych łóżek, dramatycznych wydarzeń i ociekających posoką akt policyjnych. Powinna ją była rozerwać i uspokoić. Przeprowadzić jakiś minimalny dowód na normalność świata i bezpieczeństwo międzyludzkich relacji. Zamiast tego zafundowała jej wieczór z Kempą, butelkę tequili i w końcu własną histerię. Poczuli się winna i zawstydzona. Przez ostatnie dni myślała wyłącznie o sobie. Skupiona na otaczają-

cych ją ludziach, którzy z przyjaciół zmienili status na podejrzanych, oraz romansie z Tomkiem, który – chcąc nie chcąc – był główną osią rzekomego dramatu. Nawet przez moment nie pomyślała o Marcie i jej uczuciach. Jak kompletna idiotka brnęła w kolejne nocne dyskusje i pozwalała, by przyjaciółka przeczesywała bazy danych, sprawdzając przeszłość Teresy i Kempy. Bez spektakularnych sukcesów, rzecz jasna, bo jedynym faktem, który zdołały potwierdzić, był rozwód Kempy. Tyle tylko, że jego ekszona nie mieszkała z szejkiem w Jordanii, lecz z drugim mężem w Dębicy. Prowadząc sklep wielobranżowy i wychowując dwójkę dzieci z drugiego małżeństwa. Oraz Renatę.

Kempa okazał się mitomanem, nie rzezimieszkiem. Jego opowieści o wojnie, Polańskim i podpalaniu kolegów w ambonach myśliwskich miały zapewne tyle samo wspólnego z prawdą, co historia ekszony. Fakt, że wykorzystał wakacyjne odwiedziny Renaty, by uwiarygodnić swoją historię, był znakomitym dowodem na to, że jest notorycznym kłamczuchem. Budującym opowieści, które dla postronnego widza były przekonujące dzięki wspierającym ich wiarygodność okrucynom rzeczywistości. Cóż, teraz cesarz był nagi. Choć określenie to nie było szczególnie szczęśliwe, biorąc pod uwagę karczemną szpetotę Kempy.

Zaśmiała się cicho i przez moment poddała przekornemu zaciekawieniu. Może Przemek chował pod spłowiałymi dzinsami jakieś ukryte atuty? Może wystarczyłoby zgasić światło, naciągnąć mu na głowę kaptur Ku-Klux-Klanu lub oddać mu się od tyłu? Biorąc pod uwagę jego potężne ego, musiał mieć jakiegoś asa w rękawie. Niezwykłą technikę lub gargantuiczne walory. Zachichotała i nie chcąc obudzić Marty, zakryła usta dłonią. Wyobrazenie seksu z Kempą było abstrakcyjne i wynaturzone, ale paradoksalnie rozbudzało jej zmysły. Obracanie go w myślach okazało się równie wstydlive, co ekscytujące i ze zdumieniem spostrzegła, że sama sugestia, że mogłaby pójść z nim do łóżka, zawocowała niepokojącym napięciem w podbrzuszu i twardniejącymi gwałtownie sutkami. Próbowała nad sobą panować, ale raz rozbudzona wyobraźnia nie dawała się łatwo okiełznać. Wizja nagiego Kempy działała hipnotycznie niczym widok kobiety z brodą, dwugłowej krowy czy prężącego muskuły na cyrkowej arenie, otoczonego wołtyżerkami karła. Każdy chciałby oderwać wzrok i przejść obojętnie, lecz było to niemożliwe. Tak jakby zwyrodniała brzydota miała w sobie zakazany, a przez to jeszcze bardziej niezwykły magnetyzm.

Oderwała myśli od tajemnych atrakcji Przemkowego krocza i przez moment zastanawiała się, co chciał osiągnąć, opowiadając jej niestworzone, wysane z palca historie. Przecież wcześniej czy później fakt, że Renata nie mieszka u niego na stałe, musiał wyjść na jaw. Podobnie jak historia jego rozwodu. Czy naprawdę liczył na to, że nie będzie zadawała mu pytań i nigdy nie dotrze do prawdy? Zapewne tak. Ostatecznie, gdyby nie Marta, nigdy nie dowiedziałyby się niczego pewnego o jego ekszonie i warunkach opieki nad dzieckiem. Jedynym scenariuszem, w którym mogłaby się czegokolwiek domyślić, było zbliżenie się do niego i wspólna codzienność. Ale czy paradoksalnie nie o taki rozwój wydarzeń właśnie zabiegał? Czy wszystkie podejmowane przez niego próby związania jej ze sobą nie miały prowadzić do intymnego zbliżenia? Tak właśnie było. Jaki zatem miał plan i strategię? Czy stworzył już elegancki i niebudzący podejrzeń dalszy ciąg historii z Renatą? A może w swoich kłamstwach zdawał się raczej na improwizację? Była zaciekawiona. Przemek-mi-

toman interesował ją znacznie bardziej niż Kempa, którego znała dotychczas. Chciała zrozumieć jego fenomen. Odkryć, na ile jego kłamstwa były tworzonym ad hoc scenopisem, a na ile przemyślaną taktyką. Czy każdą napotkaną kobietę raczył tą samą porcją andronów, czy może dostosowywał przekaz do adresatki? A jeśli to drugie, to jak diagnozował ofiary? Przemknęła myślą po opowiedzianych jej przez niego historiach i zestawiała je z brutalną dosłownością wizji, które roztoczył przed Martą. Zagadki nie było. Każdej z nich Kempa serwował inną potrawę. Dla niej była niepokorna młodość i udomowiona, pachnąca pieczenią i świeżym praniem dojrzałość. Doprawiona nutami wielkiego świata i hollywoodzkich kontaktów. Komunikat dla Marty był zgoła inny i niepotrzebna była teoria snów Freuda, by dostrzec, że Przemek perfekcyjnie żonglował swoimi kłamstwami i kroił je idealnie na miarę słuchacza. Każda z nich wysłuchiwała bajki bulwersującej i zapadającej w pamięć, obok której nie dało się przejść do porządku dziennego. A jednak każda historia była inna, a Przemysław w perwersyjny, inteligentny i wyrafinowany sposób znakomicie zdiagnozował je obie. Przekroczył tabu paranoicznej niechęci Marty do jakiegokolwiek przemocy i zagrał na strunach snobistycznego high life'u oraz uwielbienia dla przeszku do prania, które charakteryzowały ją samą. Co najciekawsze, dokonał tego w ułamku sekundy. Tak jakby osobiste fiksacje zostały im wypisane potężną czcionką na czołach. Jak kod paskowy lub piętno.

Przekreśliła się na bok i spojrzała ponownie na wyświetlacz zegara. Zbliżała się siódma. Za kilka minut budzik zadzwoni, a one zerwą się z Martą i popędzą w stronę łazienki. Nie było czasu na dalsze snucie rozważań. Zresztą poświęciła już na nie zbyt wiele wieczorów. Nadeszła pora na plany. A jej osobiste zamiary sprowadzały się teraz do kilku zaledwie punktów. Nie będzie więcej rozmyślać nad tym, co było. To po pierwsze. Po drugie, zrobi coś w końcu dla Marty. Wyrwie ją na imprezę, pokaże prawdziwą bez troskę i pozwoli się upić. Tym razem bez Kempy, morderczych wizji i typowej dla Rosjan mroczności. A jeśli chodzi o Przemka, to nie, nie sprawdzi, czy jego spodnie kryją w sobie jakąś radosną nowinę. Nie skończy z nim w łóżku, tak jak to sobie planował, ale z pewnością spróbuje zrozumieć, jak działa seryjny mitoman. Pozwoli mu na wyjaśnienie nieobecności Renaty, wysłucha kolejnej porcji bzdur i andronów i w końcu odkryje, jak diagnozuje swoje ofiary. Skąd wie, jakie demony prześladowają napotykaną przez niego w parkach i na imprezach kobiety.

Wysunęła rękę w stronę stolika i zanim budzik zdążył zapiszczeć, wcisnęła guzik. Usiadła na łóżku, spojrzała na wciąż śpiącą Martę i mitygując pomiaukiwania Stefana, ruszyła w stronę łazienki. Dziś kawa nie była potrzebna.

Dojazd do Izabelina włókł się niemiłosiernie i przejeżdżając przez zapchany wieczornym ruchem Żoliborz, zaczęła powoli tracić nadzieję, że dotrze na miejsce przed ósmą. Żeromskiego stała zakorkowana po horyzont, a gęste, drobne płatki śniegu sprawiały, że kierowcy nagle zaczęli się poruszać po Warszawie w tempie typowym dla kursantów nauki jazdy. Zirytowana prychnęła pod nosem jakąś cierpką uwagą na temat zimy zaskakującej nie służby, tylko użytkowników drogowych. Co roku o tej porze miasto przeżywało tę samą śniegową histerię. Tak jakby pierwsze grudki topniejącego na szybach lodu mogły zagrozić egzystencji stolicy i były zapowiedzią jakiejś potwornej, kładącej naród pokotem pandemii.

Kiedy w końcu dotarła do Arkuszowej, było po siódmej. W tym miejscu droga była jej kompletnie nieznaną, więc rozglądała się uważnie dokoła, rejestrując karczemną brzydotę mijanych zabudowań. Skład budowlany, hurtownia artykułów motoryzacyjnych, sklep gazowniczy, kamienne bloki, krycia dachowe. Estetyczna potworność industrialnego przedmieścia. Baraki, magazyny, budy, hurtownie. Wszystko okraszone stłoczonymi na skraju drogi nośnikami reklamy zewnętrznej. Szyldami i billboardami schlebiającymi gustom lokalnych klientów.

Oderwała wzrok od drogi i wzięła do ręki wydrukowany w pracy fragment mapy. Mercedes nie miał nawigacji, więc była zdana na staromodne metody trafiania do celu. Na szczęście było już niedaleko. Jeszcze tylko trzy kilometry i będzie praktycznie na miejscu. Przejechała przez Mościska i Laski, stwierdzając z ulgą, że budy i baraki powoli znikają. Droga z obu stron obrośnięta była teraz gęstym, sosnowym lasem pograżonym w nieprzenikniętych ciemnościach. Wyteżyła wzrok, próbując dostrzec w rozpraszanych płatkami śniegu snopach samochodowych świateł tabliczkę z nazwą ulicy, ale bez skutku. Izabelin pograżony był w mroku. Jechała coraz wolniej aż do miejsca, w którym po lewej stronie drogi pojawiły się pierwsze domy o burych elewacjach i bryłach typowych dla lat osiemdziesiątych. Minęła je i tocząc się wolno, dotarła do skrzyżowania. Ulice nie miały widocznych po zmroku oznaczeń, więc kierując się własnym instynktem, skręciła w lewo. Szutrowa droga była wąska, dziurawa i pełna wybojów. Po obu jej stronach stały ukryte wśród drzew stare domy, których istnienie odkrywała dopiero w momencie, gdy docierało do niej padające z okien światło. Tu też nie świeciły żadne latarnie, a zapobiegliwi mieszkańcy uznawali oświetlenie swych domostw za zbędną ekstrawagancję. Zwolniła jeszcze bardziej i zaczęła liczyć przecznice. Czwarta w prawo, druga w lewo. A może na odwrót?

Zjechała na pobocze i włączyła światło nad kierownicą. Zanim zdążyła sięgnąć po mapę, rozdzwoniła się komórka, a ona w pierwszym odruchu narastającej irytacji wyciszyła dzwonek. Dopiero po sekundzie informacja o wyświetlonym na ekranie imieniu dotarła do świadomości i spowodowała ją do odzewu.

– Gdzie jesteś? Już się nie mogę doczekać! – Głos Tomka był zniecierpliwiony i nieszczerze uprzejmy. – Miałas być blisko godzinę temu!

– W Warszawie były potworne korki, a teraz utknęłam na jakiejś mrocznej ulicy i szczerze mó-

więc, nie bardzo wiem, jak jechać dalej.

– Straszne zadupie – przytaknął. – Jeśli skręciłaś z szosy w pierwszą przecznicę, to jedź teraz prosto do końca. Czekam na ciebie przy drodze.

Dwie minuty później dostrzegła jego sylwetkę na środku ulicy. Wąskie dżinsy i czarna koszula podkreślały muskulaturę, a na włosach zdążyło już osiąść sporo śniegowych płatków. Pomachał w jej stronę i wskazał ręką miejsce przed bramą. Kiedy zaparkowała, jego dłoń chwyciła za klamkę i otworzyła drzwi z impetem. Trzymany w ręce papieros poszybował w powietrzu i zanim dosięgnął ulicy, dłonie Tomka trzymały jej twarz, a wilgotne od kropli topniejącego śniegu usta wpijały się łapczywie w jej wargi.

– Zmarzłem! Będziesz musiała mnie rozgrzać...

W jego ustach nawet najbardziej banalne teksty brzmiały właściwie. Uchodziło mu wszystko to, co u innych mężczyzn drażniło ją swoją natarczywą bezpośredniością. Zauważała trywialność jego słów, ale nie przeszkadzało jej to. Tomek nie był erudytą, filozofem ani koryfeuszem czytania. Był dużym chłopcem uwięzionym w przepięknym ciele dorosłego mężczyzny. I jak każdy chłopiec mówił to, co akurat pomyślał, nawet jeśli wypowiedane przez niego słowa wprawiały niekiedy słuchaczy w konsternację i rodziły na ich twarzach rumieniec zażenowania. Tomek nie znał tego uczucia. Był wolny od wstydu, hedonistyczny i rozpieszczony przez życie. Gotowy czerpać z niego całą oferowaną mu przez świat, Boga i kobiety przyjemność. Bez obaw o skutki nieumiarkowania w jakiegokolwiek zmysłowej rozkoszy, której się w danym momencie oddawał. Jego zaloty były pozbawione finezji i tak lubianej przez kobiety słownej gry erotycznej. Nie bawił się w subtelności, mówił, czego pragnie, i zawsze chciał tego natychmiast. Przyjemność odłożona w czasie nie była nagrodą, tylko udręką. Przestawała cieszyć, drażniła i frustrowała. Czasem doprowadzała do szału. Zapewne dlatego bardziej niż nagrywanie płyt cieszyły go koncerty, zapewniające natychmiastową gratyfikację za każdy wykonany na scenie utwór. Aplauz publiczności, na który nie trzeba było czekać ani jednej sekundy za długo. Dający pewnik, a nie budowany na zawsze spóźnionych recenzjach domysł.

Bezpośredniość Tomka z początku ją przytłaczała i zawstydziała. Dopiero po kilku spotkaniach zmieniła zdanie, uznając jego otwartość za rzadką zaletę, a styl uwodzenia za zachwycający autentycznością. Nie musiała się zastanawiać, czy jej pragnie, kiedy chce pójść do łóżka, czy woli dziś seks klasyczny, czy może francuski numerek. Nie musiała odgadywać jego nastrojów, myśli ani intencji. Przekazywał bez cenzury i wahania każde swoje pragnienie. Wolny od cechującej innych znanych jej mężczyzn zdystansowanej ostrożności i niebacznego na potencjalne konsekwencje wypowiedzianych pochopnie słów.

Gdy pierwszy raz dostrzegł ją w klubie, podszedł natychmiast i już po kilku minutach rozmowy zapisał na papierowej serwetce numer komórki, prosząc, by następnego dnia rano ruszyła wraz z nim do Gdańska, gdzie miał zagrać wieczorem koncert. Zaśmiała się z jego oferty, sądząc, że z niej żartuje, a on obraził się niczym trzylatek. Chciał jej całej, natychmiast i bez wahania. Pragnął jej w swoim łóżku i robił w związku z nią plany. Zaproszenie na koncert do Gdańska miało być na

to dowodem. Jeśli będzie im w łóżku tak dobrze, jak przewidywał, to zrobi wszystko, by była szczęśliwa. Będzie ją nosił na rękach, uwielbiał i adorował. Nie rozwiedzie się dla niej, ale da wszystko inne, czego tylko zapragnie. Entuzjizm, zachwyt, seks i niepodzielną, skupioną tylko na niej uwagę.

Słuchała jego słów z szeroko otwartymi oczami. Jeszcze żaden mężczyzna nie powiedział jej tak szczerze o swoich pragnieniach. Żaden żonaty mężczyzna nie przyznał się w pierwszych minutach flirtu do posiadania rodziny. Żaden nie zdobył się na szczerą zdefiniowanie swego stosunku do niej przez pryzmat seksu i dobrej zabawy. I żaden nie miał w spojrzeniu tej szczerzej intensywności, z jaką on patrzył na nią, czekając wtedy na werdykt. Była zszokowana jego bezpośredniością, a równocześnie niezmiernie nią ujęta. Po latach skomplikowanych związków i dziwnych randek jego exposé było ożywcze, świeże, wyzwalające. Zapowiadało nową jakość. Patrzyła w jego wielkie błękitne oczy, w których czaiły się prośba i fascynacja, i była gotowa się zgodzić. Wbrew swoim zasadom i rozsądkowi. Podniosła dłoń, dotknęła jego szorstkiego od zarostu policzka, a potem niespodziewanie dla samej siebie uśmiechnęła się szeroko, przymknęła oczy i pocałowała go w usta. Jego wargi były pełne i przyjemnie chłodne, a język smakował tytoniem i wypitą przed chwilą whisky. Oddał jej pocałunek, chwytając zapamiętałe w ramiona i przyciskając mocno do siebie. A potem zaczął się śmiać. Niepohamowanym, szalonym, spełnionym śmiechem życiowego szczęśliwca, któremu właśnie trafiła się szóstka w lotto.

Przez kolejne tygodnie ze zdumieniem odkrywała, że dotrzymuje danego jej wtedy słowa. Seks z nim był równie świeży, bezpośredni i głodny jak jego obietnice. Nienasycony, gwałtowny i desperacki. Taki, któremu wybaczało się braki erotycznej techniki, gdyż całość doznania przekraczała najśmielsze oczekiwania. Tomek zawsze był gotowy i nigdy nie miał dosyć. A ona, nawet jeśli czasami padała już z nóg, patrząc na jego szerokie barki, muskularne ramiona i kształtne, zwarte pośladki, zawsze ulegała namowom. Jego ciało było piękne klasyczną urodą Dyskobola czy Dawida. Pozbawione zbędnego tłuszczu, gładkie, napięte i twarde. O skórze ściśle przylegającej do mięśni i imponującym penisie, którego wielkość byłaby pewnie przeszkodą, gdyby nie operował sprawnie ustami. Teraz też wystarczyło, by wtargnął do wnętrza jej auta. Smak jego warg i świadomość, że pójdą ze sobą do łóżka, za każdym razem wprawiały ją w rozedrganie. Tak jakby znów była nadpobudliwą, niepotrafiącą kontrolować własnego ciała nastolatką. Opanowaną wyłącznie myślą o końcu randki i ekscytującym seksie na tylnej kanapie wykradzionego rodzicom auta. Pozwoliła mu wyjąć się z samochodu i zanieść do domu. Pod tym względem jego obietnice też okazały się prawdziwe. Nosił ją na rękach, choć nie z pobudek, o jakich wtedy myślała. Nie z chęci uczynienia jej życia łatwiejszym czy okazania uczucia, tylko z tych samych erotycznych powodów, z jakich się z nią spotykał. By móc nią zawładnąć i poczuć, że w każdym fragmencie ciała należy do niego. Niepodzielnie i bezdyskusyjnie. By posiąść ją tak, jak w dzieciństwie posiadał otrzymane od rodziców prezenty. Ukochane zabawki, które nosił wszędzie ze sobą, z którymi spał i których nie potrafił porzucić. Ukrywane przed matką w tornistrze i zanoszone do szkoły, by w każdej chwili były pod ręką.

Wniósł ją bez trudu do domu i postawił w przedsionku, aby mogła zdjąć kurtkę. Rozejrzała się zaskoczona nieco rustykalną stylistyką tego miejsca i sosnowymi boazeriami, które pokrywały ścielnie wszystkie ściany na dole. Nie tak wyobrażała sobie to legendarne studio. Miało być nowocześnie, męsko i minimalistycznie, a było jak w czasach późnego Gierka. W widocznym w głębi salonie stały fotele, wersalka i ława, a bezkresną boazerię ścian przerywały gdzieniegdzie zamknięte w ramach zdjęcia artystów, ohydne bukiety ze sztucznych kwiatów i przytwierdzone do desek lichtarze. Całość bardziej niż do gwiazd rocka nawiązywała do stylistyki taniego pensjonatu w Tyrolu.

Podniosła wzrok na Tomka, zastanawiając się przez moment, jak facet o jego wymaganiach życiowych jest w stanie się tutaj odnaleźć. Atmosfera tego miejsca daleka była od sprzyjającej improwizacjiom jazzowym. O tworzeniu nowych kawałków nie wspominając.

– Nic nie mów. – Wykrzywił się lekko. – Mam nadzieję, że mnie stąd wyrwiesz i nie będę musiał patrzeć na te szkaradzieństwa dłużej, niż jest to konieczne. – Ruchem głowy wskazał wiszący za nią obraz domorosłego artysty, którego ramę otaczała girlanda plastikowych róż w majtkowym kolorze.

– Jeśli tylko chłopaki cię puszczą... – Uśmiechnęła się lekko. – Nie chcę opóźnić nagrania...

Wzruszył ramionami w udawanej obojętności, ale na jego czole pojawiła się nagle wyraźna poprzeczna zmarszczka. Był najmłodszy wiekiem oraz stażem w zespole i w przeciwieństwie do reszty wciąż jeszcze musiał pracować na swoją pozycję, co wprawiało go w nastrój zbliżony do tego, jaki budziła myśl o spóźnionym posiłku, sprolongowanym seksie czy płatnym z dołu wynagrodzeniu.

– Pokaż mi wszystko! – Chwyciła go za rękę, próbując odwrócić uwagę od niezbyt zręcznego stwierdzenia, że reszta zespołu może mu czegoś zabronić. – Wszyscy już są?

Kiwnął głową, pociągnął ją w stronę pustego salonu i poprowadził w głąb domu, gdzie otworzył kolejne drzwi i pokazał jej grającego za dźwiękoszczelną szybą Michała. Reszta chłopaków siedziała rozparta na ustawionej na wprost szyby kanapie, a nieznany jej młody mężczyzna przesuwiał suwaki na potężnej konsolce realizacji dźwięku. Wsunęła się do pomieszczenia na palcach i ukryła za plecami Tomka; miała nadzieję, że nikt nie zauważy jej obecności. Michał grał z przymkniętymi oczami, odgradzony od nich i skupiony wyłącznie na wydobywanych przez siebie dźwiękach, a siedzący naprzeciw niego faceci pomrukiwali coś, komentując półgłosem rozprawdzaną po studiu przez zestaw potężnych głośników muzykę. Przez krótką chwilę nikt nie zorientował się, że weszli, stała więc w kącie, przysłuchując się solowej partii, którą wyczarowywał z przyciskanych do siebie elektrycznych skrzypiec. Muzyka brzmiała nowatorsko, była mocna i intensywna. Przymknęła powieki i przez moment zastanawiała się, czy kontrabas Tomka w jakikolwiek sposób wpisze się w tę konwencję. Zalewski skończył, otworzył oczy i zwrócił pytający wzrok w stronę reszty muzyków. W odpowiedzi pokiwali głowami, a Piotrek uniósł w górę kciuk prawej ręki. Siedzący przy konsolce dźwiękowiec nacisnął przycisk i uprzejmym głosem powiedział do mikrofonu:

– Mam to. Pora na przerwę.

Dopiero teraz, gdy odwrócili wzrok w stronę realizatora, jej obecność została zauważona. Michał pomachał jej energicznie i odłożywszy elektryki, wyszedł zza szyby.

– Ania! Wspaniale cię widzieć! Tak się cieszymy! Co sądzisz?

Nie знаła się szczególnie na jazzie, a on był ikoną gatunku, więc pochyliła głowę i uśmiechnąwszy się z zawstydzeniem, bąknęła niepewnie:

– Jak dla mnie, było wspaniale...

Niezrażony jej skrępowaniem odsunął bezpardonowo Tomka, złapał ją za łokieć i pociągnął w stronę konsoli.

– Puść nam materiał z rana! Chcę, żeby posłuchała całości i powiedziała, co o tym myśli. – Jego życzliwa twarz wyglądała w tej chwili na rozgorączkowaną, a włosy sterczały jeszcze bardziej niż zwykle. – To Jarek, nasz dźwiękowiec – wyjaśnił, nie wypuszczając jej ręki z uścisku. – Zazwyczaj robi rocka, ale poprosiłem o niego, bo chcę, żeby ta płyta była fusion. Tradycyjne brzmienie już się wszystkim przejadło.

– Zauważyłam zmianę...

Jej niepewność w wypowiedaniu opinii ewidentnie go rozbawiła.

– Wiedziałem, że zrozumiesz! Wystarczyło kilka minut, a ty dokładnie wiesz, o co mi chodzi!

Nie wiedziała już teraz, czy jest dla niej zwyczajnie miły, czy może naigrywa się z jej muzycznego nieosłuchania. Jego spojrzenie było przenikliwe i świdrowało ją na przestrzał, ale nie dostrzegła w nim ani cienia szyderstwa. Tak jakby faktycznie poszukiwał akceptacji u nieopierzonego, niemającego większego pojęcia na temat jazzu dziewczątka i chciał poznać jego opinię.

Zarumieniła się i równocześnie skarciła w myślach. Może wcale nie chodziło o nią, ale o bezwzłoczną gratyfikację? Może wszyscy artyści tak mieli? Odwróciła głowę i rzuciła okiem na stojących za jej plecami chłopaków. Na ich twarzach malowało się teraz uprzejme zaciekawienie. Bardziej niż jej opinii woleliby teraz wysłuchać czytającej prognozę pogody cycatej brunetki, jednak przez wzgląd na Michała stali w miejscu z grzecznymi uśmiechami na ustach. Przemknęła wzrokiem po ich twarzach; jedyną zde gustowaną obrotom wydarzeń osobą był Tomasz. Jego usta znów zacisnęły się w wąską linię, na czoło wróciła głęboka, poprzeczna zmarszczka, a oczy skupiły na obejmującym ją w pasie męskim ramieniu. Zignorowała jego rozdrażnienie i odwróciła twarz w stronę Michała, który relacjonował właśnie przebieg pierwszego dnia nagrań. Kiedy go słuchała, powoli docierał do niej powód wściekłości Mejera. Zalewski zmienił koncepcję płyty, ograniczając partie basowe do trzech utworów na krążku, na co Tomek zareagował przedszkolnym fochem. Michał miał wszystko, czego on pragnął dla siebie: talent, pieniądze, sławę, a teraz również ramię w poprzek jej talii.

Uśmiechnęła się z udawaną beztroską i z nieco przesadnym zaciekawieniem szczegółami nagrania przesunęła nieznacznie w stronę dźwiękowca. Przejechała dłonią po jego plecach, a gdy spojrzał na nią zdziwiony, była tak pochłonięta rozmową, że uznał jej gest za nieświadomą życzliwość. Przez moment stali objęci we trójkę, a ona, trzymając się roli zachwyconego muzyką fana, liczyła w duchu, że wyrównanie proporcji koleżeńskigo uścisku przekona Tomasza do przyjaznych inten-

cji Michała. Paradoksalnie jednak to nie on odnotował jej dyplomację, tylko Zalewski, który rzuciwszy okiem na układ ramion, uśmiechnął się do niej, skinął głową z szacunkiem i wypuścił jej talię z objęcia.

– No dobra, chłopaki! – zaordynował. – Zmywamy się na kolację. Ta piękność nie przyjechała na to zadupie, by słuchać jazzu ze starymi dziadami. Zostawmy ich samych, zanim Mejer zabije mnie wzrokiem.

Zaśmiał się rubasznie, przepuścił ekipę przed sobą i zamykając drzwi, rzucił jej jeszcze dwuznacznie rozbawione spojrzenie. Gdy tylko zniknął, Tomasz prychnął z wściekłością i pokazał w stronę jego niewidocznych już teraz pleców dwa wyciągnięte w górę środkowe palce.

– *Fuck you!*

Uniosła brew w niemym zdziwieniu, bo nigdy wcześniej nie dostrzegła między nimi takiego napięcia. Zawsze sprawiali na niej wrażenie znakomicie dobranych, niekonkurujących ze sobą przyjaciół. Cóż, najwidoczniej się pomyliła. Może wcześniej skupiała się zbyt na Tomku, ignorując ich wzajemne oddziaływanie i podskórne napięcia. Może na scenie grali zaprzyjaźnionych, bo za to płacili słuchacze? A może od ostatniego spotkania coś się między nimi popsulo? Niezależnie od stojących za napięciem powodów, ich obecne relacje dalekie były od dojrzałej, męskiej przyjaźni, a teza, którą postawiły wraz z Martą, okazała się nie tylko możliwa, lecz nawet pewna. Panowie nie żyli ze sobą w idealnej symbiozie i ewidentnie źle sobie życzyli.

– Słyszałaś? Zostawił mnie w trzech numerach! Teraz nie gramy już jazzu, tylko fusion!

Uśmiechnęła się przepraszająco, nie wiedząc, jak może skomentować jego rozczarowanie.

– Napijesz się czegoś? Long Island? Whisky? Bourbon? – Skołatane nerwy Mejera domagały się ukojenia.

– Muszę wrócić do domu. Sama cola? – zaryzykowała nieśmiało.

– Nie możesz zostać?! Przecież widzisz, że nie mam tu nic do roboty! Możemy się bzykać do woli. Nikt nawet nie zauważy, że nie ma mnie w studiu.

Skrzywiła się. Po raz pierwszy proponowany przez niego seks nie miał z nią nic wspólnego. Chodziło o demonstrację, skanalizowanie agresji i wygranie z Zalewskim przynajmniej na jednym polu. Ona nie miała w ich rozgrywce najmniejszego znaczenia. Mogła ją zastąpić dowolna kobieta – wystarczyło, by była atrakcyjna oraz chwilowo dostępna.

Zauważył jej zdegustowanie i się zreflektował.

– Hej, kocie! Przepraszam! Po prostu mnie wkurwił. Przecież wiesz, że nie chodzi mi tylko o pójście z tobą do łóżka! Przepraszam, palnąłem głupotę jak gówniarz!

Przyciągnął ją do siebie i zaczął się łączyć niczym głodny Stefan. Pomrukując jej do ucha i ocierając się o załamanie podbródka, aż do chwili, gdy znowu się uśmiechnęła.

– Może po prostu stąd uciekniemy? Zaszycemy się w twoim domu i powiemy wszystkim, że jesteś chora, co? – W miarę fantazjowania i przyciskania jej do siebie jego nastrój się poprawiał, a myśli odpływały w stronę ulubionego tematu. – A ja będę cię badał, leczyl i pielęgnował? Hm?

Zaśmiała się głośno i przez dłuższy moment zanosiła perlistym śmiechem. Był niemożliwy. Sterowany wyłącznie najprostszymi instynktami i niezmiennie dziecinny w swoich krótkotrwałych atakach furii. Teraz też, w zaledwie kilka sekund ze skrajnego rozdrażnienia przeszedł bezpośrednio do niedźwiedziej gry wstępnej, lecząc zawodowe rozczarowanie myślą o czekającym go seksie. Jego ręce były gorące, penis nabrzmiały, a usta gotowe, by rzucić się na jej ciało. Jej śmiech tylko go do tego zachęcał. Prowokował do kolejnych prób rozpakowania z obcisłej, krótkiej sukienki, pończoch i majtek. Zanim przestała chichotać, zmienił zdanie i ruszył na skróty. Kiecka mogła zostać na swoim miejscu. Rozpiął suwak dzinsów i rzucił ją na stojącą w studiu kanapę.

– Nie wiem jak ty, ale ja jestem gotowy.

Zaśmiał się głośno i zsunął z jej nóg sięgające kolan kozaki, a następnie wzorzyste czarne rajstopy. Na zdjęcie stringów zabrakło mu cierpliwości – odsunął pasek materiału na bok i wszedł w nią gwałtownie, zanim zdążyła zauważyć, do czego zmierza.

– Nareszcie! – Odetchnął głęboko, a jego lędźwie zaczęły się poruszać miarowo. – Myślałem, że nigdy nie dotrzesz!

Wrócili do momentu, w którym wyciągał ją z samochodu, by wnieść po schodach do domu. Tak jakby rozmowa z Zalewskim nigdy nie miała miejsca. Przymknęła oczy i objęła go w pasie udami. Uwielbiała, kiedy był w środku. Wystarczało, że czuła na sobie jego ciężar, a migotliwe łaskotania w podbrzuszu zaczynały pulsować gorącą zapowiedzią nadchodzącego orgazmu. Za każdym razem tak na nią działał. Jak perfekcyjna maszyna do seksu, gwarantująca szczytowanie niezależnie od miejsca, warunków i czasu. Kiedy w nią wchodził, jej mózg się wyłączał. Stawała się niczym więcej jak poddającą się jego woli, pozbawioną rozumu kombinacją pokrytych gęsią skórka ud i mięśni Kegla. Zapadała się w potężne, gorące pulsowanie, które rozrywało ją na kawałki i wyrывało z ust gwałtowne westchnienia erotycznej ekstazy. Jęknęła, a on w ostatnim odruchu samokontroli nakrył jej usta dłonią. Powinni byli wejść do dźwiękochłonnego boksu, tam mogliby hałasować do woli. Zatrzymał się na sekundę i zmienił zdanie. W zasadzie dlaczego miałby chcieć ją uciszyć? W imię lepszego samopoczucia Michała czy w bigoteryjnym odruchu ukrycia przed resztą ekipy, jak dobrze potrafi jej zrobić? Cofnął rękę i wpił się w dolną wargę jej ust. Krzyknęła głośno i szarpnęła się gwałtownie, próbując się wyrwać spod jego ciała. Bez skutku. Jego orgazm przyszpilił ją do kanapy, a powieki opadły w udawanej utracie resztek kontroli. Zalewający język metaliczny smak zmobilizował ją do uniesienia głowy ponad jego opadającym na nią bezwładnie ramieniem. Dotknęła spuchniętej, pulsującej boleśnie wargi i rzuciła okiem na umazane krwią opuszki palców. Jak mógł ją tak ugryźć? Nigdy wcześniej tego nie robił. Skrzywiła się z bólu i dopiero teraz dostrzegła, że nie są w pokoju sami. W otwartych na oścież drzwiach stał zaalarmowany jej krzykiem Michał. Na jego twarzy nie było zdziwienia, zdegustowania ani nawet rozbawionego uznania dla seksualnych popisów kolegi. Była złorzecząca rywalowi nienawiść.

Była trzecia nad ranem, gdy w końcu dotarła do domu. Po incydencie w studiu wszystko wróciło do pozornej normy. Kiedy przyszli z powrotem do salonu, Zalewski popijał whisky na wyświechtanej kanapie, a jego twarz nie zdradzała najmniejszych emocji. Zwracał się teraz do niej bez entuzjazmu, z jakim powitał ją wcześniej, czy zainteresowania jej opiniami. Ze zdystansowaną uprzejmością niechętniej, choć dobrze wychowanej osoby.

Zdziwiło ją to. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie dojrzałego mężczyzny, który w życiu doznał praktycznie wszystkiego, umiał zachować dystans oraz powstrzymać się od nazbyt pochopnych ocen. Ewidentnie wrażenie to było mylące. Zalewski był równie dziecinny i ulegający emocjom jak Tomasz. Jego obecne naburmuszenie było zwyczajnie śmieszne. Starszy pan nie mógł się pogodzić z faktem, że jego młodszy kolega miał romans? A może sądził, że łączy ją z Tomkiem platoniczna, wypełniona rozmowami o muzyce i filozofii relacja? Uśmiechnęła się pod nosem z pobłażaniem. Wyglądało na to, że wszyscy mężczyźni byli humorzaści i zazdrośni jak dzieci.

Uzbroiła alarm i nie zapalając światel, przeszła do sypialni, gdzie w ciemnościach zaczęła zdejmować z siebie ubranie. Jej sukienka pachniała mieszanką perfum, męskiej wody toaletowej, tytoniu i spermy. Zapach był mocny, piżmowy, świdrujący. Skrzywiła się i rzuciła ją na podłogę. Ściągnęła z siebie bieliznę i wciąż po ciemku ruszyła w stronę prysznicy. Jej uda były lepkie, a skóra między piersiami wciąż mokra od potu. Kiedy koledzy Tomasza wrócili do nagrywania pierwszego utworu, on zabrał ją do swojej sypialni na piętrze i przez blisko godzinę bawił się jej ciałem. Aż do momentu, gdy zapomniała o złośliwym grymasie na twarzy Michała i przestała dostrzegać szpetotę niebiesko-różowej pościeli z kory oraz ustrojonych sztucznymi kwiatami szpar w boazerii. Drugi orgazm był długi i wolny od bólu.

Weszła pod prysznic i z ulgą poczuła, jak ciepła woda spływa po jej znużonym ciele. Czowała się brudna i lepka. Nie w metaforycznym sensie wynikającym z bycia kochanką, lecz dosłownie. Jej włosy pachniały papierosami, a skóra potem i zaczynającą się rozkładać spermą. Nie chciała brać prysznicy w Izabelinie, paradować owinięta ręcznikiem ani narażać się na kolejne spotkanie z Zalewskim. Woląca poczekać i umyć się w bezpiecznej przestrzeni własnej łazienki. Bez stresu, że ktoś – niby przypadkiem – wtargnie, by obejrzyć ją nago, oraz krępującego proszenia o ręcznik.

Tomkowi jej zapach i przepoczone włosy nie przeszkadzały. Miała nawet wrażenie, że pobudzają go jeszcze bardziej niż czyste. Była teraz chodzącym rezerwuarem jego nasienia, żywym dowodem na jurność i sprawność. Niepozwalającym przejść obojętnie, bo ciągnącym za sobą intensywną smugę seksualnego zapachu. Kiedy odprowadzał ją do samochodu, jego podniecenie sięgnęło zenitu, a kolejna próbująca się przebić przez dżinsy erekcja sprawiła, że pociągnął ją na tylną kanapę swojego audi i wziął po raz kolejny.

Uśmiechnęła się na wspomnienie samochodowego seksu. Ostatni raz, gdy robiła to na tylnym siedzeniu, miał miejsce w ogólniaku i odbywał się w polonezie caro jej ówczesnego chłopaka. Dziśsejszy seks był o wiele lepszy. Nie dlatego, że tapicerka była przyjemniejsza w dotyku, a wewnątrz

samochodu znacznie bardziej obszerne. Również nie z tego powodu, że z czasem jej seksualna technika poszła do przodu, a obecny kochanek nie był niewprawnym wyrostkiem. Dzisiejszy seks nie wiązał się z żadnym poczuciem winy. Przestał być zakazaną, grzeszną zabawą, ukrywaną przed rodzicami, katechetą i resztą wszechświata. Był czystą fizyczną rozkoszą pozbawioną ukrytych znaczeń, obciążeń i lęków. I nie mogły tego zmienić ani groźne miny Michała, ani żarty zespołu na temat stanu cywilnego Tomasza, ani nawet odebrany przez niego w międzyczasie telefon od żony. Konwenans i norma obyczajowa przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. W seksie z Mejerem liczyło się tylko jego rewelacyjne ciało i przyjemność, jaką z niego czerpała.

Wytarła się i przemaszerowała nago do łóżka, w którego nogach spał zwinięty w kłębek Stefan. Minęła go, zatrzymała się i zawróciła w stronę rzuconej na podłogę torebki. Wyjęła iPhone'a i ze zdumieniem spojrzała na jego wyświetlacz. Siedem nieodebranych połączeń i dwa SMS-y. Przejrzała listę dzwoniących. Pięć telefonów od Kempy i dwa kolejne od Marty. W wiadomościach krótkie „oddzwoń” od przyjaciółki i znacznie bardziej przyjemny, wysłany o trzeciej nad ranem SMS od Tomka: „Wracaj! Chcę Ci to wreszcie powiedzieć po polsku!”. Uśmiechnęła się, ustawiła budzik na ósmą rano i wskoczyła pod kołdrę. Zanim zdążyła przebiec myślą miniony wieczór, już spała.

Obudziło ją wpadające przez okno zimowe światło. Do ósmej brakowało jeszcze kilkunastu minut, więc przeciągnęła się lekko, sięgnęła po leżącą obok łóżka komórkę i uśmiechnęła szeroko na widok nocnej wiadomości od Tomka. Odgoniła z twarzy kota i obróciła głowę w zamiarze sprawdzenia pogody za oknem. Śnieg ciągle padał, a rosnące w ogrodzie tuje zaczynały się powoli uginać pod jego ciężarem. Wzdrygnęła się na myśl o panującym na zewnątrz mrozie, konieczności ubrania się w krępujące ruchy, zimowe ciuchy i perspektywie odśnieżania podjazdu. Już miała naciągnąć kołdrę na głowę, by pograżyć się w kilkunastu rozkosznych minutach drzemania, gdy jej wzrok zatrzymał się na dwóch odbitych na szybie okiennej śladach. Zaciekawiona podniosła się z łóżka i podszła powoli do okna. Na wysokości jej wzroku odcisnięte były zewnętrzne krawędzie dwóch dużych dłoni. Jakby ktoś nachylał otoczoną rękami twarz, próbując zajrzeć do wnętrza. Przechyliła głowę i przyjrzała się śladom dokładniej. Podglądacz miał długie palce i chude nadgarstki. Trudził się jednak na próżno. Jeśli coś ciekawego mogło być wczoraj do oglądania, to z pewnością nie w tej sypialni.

Wzruszyła ramionami i przeszła nago do kuchni.

– Możesz sobie zaglądać do woli – mruknęła pod nosem. – Nie mam nic do ukrycia.

Godzinę później, zadowolona z faktu, że mercedes pokonał bez trudu pokrywającą podjazd warstwę śniegu, przejechała przez bramę i skręciła w stronę Warszawy. Okoliczne pola były pokryte śniegiem, ale szosa w stronę miasta okazała się czarna i pusta. Dopiero na Puławskiej ruch zaczął się nieco zagęszczać, aż w końcu utknęła w przemieszczającym się żółtym tempem warszawskim korku. Dziś rano niezgulstwo kierowców i utrzymująca się od poprzedniego wieczoru zimowa histeria nie były jednak w stanie jej rozstroić. Były tak samo nieważne jak przesuwające się powoli na niebie chmury czy podawane w radiu sensacje o pierwszej Chince, która zdobyła tytuł Miss Świata. Czowała się odprężona, syta i pełna optymizmu. Drobne niedogodności nie mogły wyprowadzić jej

z tego stanu, a zdarzenia, które w normalnych warunkach obracałoby w myślach przez długie godziny, dziś były niczym więcej niż dziecinną błahostką.

Znudzona nieco ślimaczym tempem podróży wyjęła telefon, mając nadzieję, że Marta już nie śpi i będzie skora do plotek. Przyjaciółka odebrała natychmiast.

– Nareszcie oddzwoniasz! – krzyknęła w słuchawkę i nie czekając na jakąkolwiek odpowiedź, nerwowo ciągnęła: – Gdzie wczoraj byłaś? Próbowałam cię łapać, ale nie odbierałaś!

– Byłam w Izabelinie... – Jej głos zdołał się przebić, ale zanim skończyła zdanie, Marta znowu ją zagłuszyła.

– Czy ty dawałaś Kempie mój numer komórki?! Ten świr wydzwaniał do mnie po nocy i twierdził, że musi cię złapać!

Zmarszczyła czoło. Przemek wydzwaniał do Marty? Po jaką cholere?

– Nie dawałam mu twojego numeru. Masz mnie za nienormalną?! – fuknęła zirytowana, czując, że wreszcie się budzi. – Czego chciał?

– Nic mi nie chciał powiedzieć. Poza tym, że nie ma cię w domu i nie może się do ciebie dozwonić.

Prychnęła z irytacją. A więc ręce odbite na szybie należały do niego! Łaził wokół domu i węszył! Nienormalny, nachalny, wścibski mitoman! Dystans i miłosierna tolerancja dla ludzkiej natury wyparowały w ułamku sekundy. Była wściekła. Dopóki odbite na szybie okiennej dłonie nie miały właściciela, mogła podchodzić do nich z protekcyjną rezerwą. Od chwili, gdy zaczęły należeć do Kempy, przestały jej być obojętne. Przed nim chciała mieć tajemnice. Zwłaszcza od chwili, gdy nieproszony pojawił się u niej w domu i bez cienia żenady wmieszał w tłum gości. Odkąd naruszył jej przestrzeń i zaatakował Martę opowieściami godnymi dzielnego wojaka Szwejka. O ile wcześniej miała dla tego człowieka przebłycki współczucia, o tyle teraz nienawistna irytacja wyczerpywała jej stosunek do niego. Oczywiście frapowało ją, jak zamierzał wybrnąć ze wszystkich opowiedzianych jej kłamstw, i dopuszczała do siebie myśl, że pobawi się nim jeszcze, badając naturę notorycznego kłamczucha, ale to miała być jej zabawa. Rozgrywana na jej warunkach i bez jego wiedzy. On miał być tylko okazem do badań, a nie krążącym po jej życiu intruzem. A co najważniejsze – tym razem to ona miała być górą.

– Miałam od niego pięć nieodebranych połączeń. Wyciszyłam wczoraj komórkę, bo i tak będąc z Tomkiem, nie odbierałabym telefonów. Zwłaszcza od Kempy.

– To wciąż nie wyjaśnia, skąd miał mój numer!

– Może zadzwonił do prokuratury i tam mu podali?

– Dzwonił na prywatną komórkę! – Krzyk Marty był teraz histeryczny i pełen gniewu. – To zastrzeżony numer, który zna tylko moja babcia i kilku najbliższych przyjaciół! Jesteś pewna, że mu go nie dałaś?!

– Jestem pewna!

– W takim razie zadzwoń do niego i dowiedz się, jak mnie namierzyl!

– Mam zamiar dowiedzieć się nawet więcej! W nocy łąził dokoła domu. Mam nadzieję, że będzie potrafił to jakoś wyjaśnić.

Marta zamilkła.

– Jesteś pewna, że to był on? – spytała w końcu z wyraźnym skupieniem w głosie. – Bo to się kupy nie trzyma...

– Przecież sama mówiłaś, że wiedział, że nie ma mnie w domu.

– Niby tak, ale to jednak trochę bez sensu. Kempa jest sprytny. Potrafi manipulować, świetnie kłamie i nie ma żadnych oporów. Ale na jednym mu niewątpliwie zależy: nie chce zostać zdemaskowany. Gdyby faktycznie kręcił się wokół domu, to nie wydzwaniałby do nas. Po prostu obserwowałby cię z ukrycia.

Marta miała rację. Z psychologicznego punktu widzenia scenariusz, w którym Kempa odbija rękę na szybach, był niemożliwy. Nie dlatego, że Przemek powstrzymałby się od sforsowania płotu i zadowolił nieodebrany połączeniem telefonicznym. Była absolutnie pewna, że będąc w okolicy, przeskoczyłby ogrodzenie i zajrzał przez wszystkie możliwe okna. Tyle tylko, że on nie zostawiłby śladów.

– W porządku. Porozmawiam z nim i spróbuję się dowiedzieć, kto dał mu twój numer. Ale z pewnością nie będę do niego oddzwaniać.

– Jesteś pewna, że znowu zadzwoni? – W głosie Marty brzmiało powątpiewanie. – Moim zdaniem spróbuję cię teraz dręczyć niepewnością co do powodów nękania mnie w nocy.

– Zadzwoni. Jeśli nie dzisiaj, to jutro. Nie wytrzyma dłużej. Ostatecznie jest przecież facetem.

Zanim zdążyła dojechać do pracy, telefon zadzwieczał, a na monitorze pojawiło się nazwisko Przemka. Uśmiechnęła się do siebie pod nosem i odczekawszy kilka sekund, mruknęła w komórkę:

– Ania Zacharzewska, dzień dobry.

– Cześć, mówi Przemek.

– Och! Cześć, Przemku. Przepraszam, ale nie zapisałam twojego numeru – skłamała gładko, śmiejąc się w duszy, że było to prostsze, niż mogła przypuszczać. – W czym mogę ci pomóc? – W jej głosie brzmiała teraz profesjonalna uprzejmość, z jaką zwracała się zwykle do swoich klientów. Nieszczerólnie usłużna, lecz pełna dobrze odegranego skupienia.

Ton Anki zaskoczył Kempę. Po wejściu do jej domu bez zaproszenia spodziewał się wszystkiego, ale nie uprzejmości. Ich rozstanie nie było przyjacielskie, a wymienione złośliwości zbędne i nie na miejscu. Był na siebie wściekły, że wparował na tę imprezę i nie powstrzymał się przed zwróceniem na siebie uwagi. Zdecydowanie dalej zajechałby, odcinając kupon od udzielonej jej wcześniej pomocy. Włączając nieproszony do domu, zaprzepaścił wszystko, co z trudem wypracował przez ostatnie miesiące. Co prawda dowiedział się przy okazji kilku przydatnych szczegółów, lecz skórka nie była warta wyprawki. Jej życie nie kryło tajemnic, których nie byłby się w stanie domyślić. Żonaty kochanek, wąskie grono przyjaciół i znacznie szersza grupa mniej lub bardziej życzliwych znajomych. Scenariusz, który mógł łatwo odgadnąć. Nie należała do kobiet, które miały szansę na długotrwałą samotność, ale w jej pobliżu nie kręcił się na co dzień żaden mężczyzna. I żaden jej nie

pomagał. Nawet w tak kluczowych sprawach jak zakup domu czy przeprowadzka. W zasadzie od samego początku sytuacja była całkowicie klarowna.

Od chwili, gdy eskortowany przez nadętego, umięśnionego kolegę wyszedł z jej domu, jego wściekłość nie słabła. Był rozjuszony, ale bynajmniej nie tym, jak go potraktowała, ani faktem, że nie odbierała jego telefonów. Jedno i drugie było w pełni uzasadnione. Był zły na siebie. Że znów go poniosło i przestał nad sobą panować. Że po raz kolejny spierdolił sprawę, zanim jeszcze zdołał się zbliżyć do wybranej kobiety. Wszystkie reagowały na niego tak samo: przerażeniem, niesmakiem, niechęcią. Czasem wręcz wstrętem. A on – mimo iż za każdym razem obiecywał sobie, że będzie się posuwał do przodu małymi krokami i przenikał w ich życie w sposób niedostrzegalny – zawsze w końcu ulegał swojej cholernej naturze. Pierdolił jakieś głupoty, nie wiedział, kiedy się zamknąć, opowiadał niestworzone historie. Im większy okazywały opór, tym większy kaliber wytaczał. Chciał je uwodzić, ale przy najmniejszej oznace niepowodzenia zapalał się nagłym gniewem i wykonywał koszmarny numer, którego sam później się wstydził. Wszystko po to, by je ukarać i w myśl zasady, że najgorsza emocja jest lepsza od obojętności.

Kiedy ją poznał, przysiągł sobie, że tym razem się uda. Będzie miły, spokojny, zwyczajny i trochę nudny. Uśpi jej czujność i niechęć siermiężną rzeczywistością, opowieściami o opiece nad dzieckiem i gotowaniu kolejnych obiadów. Zaprezentuje się jako stateczny i ułożony samotny ojciec – bez szans na życiowe ekscesy czy nietuzinkowe przygody. Niegroźny chłopak z sąsiedztwa. Przez jakiś czas to działało. Przyszła do niego na obiad, zaczęła mówić o swoich sprawach, przyjęła pomoc. Powoli stał się kimś więcej niż przypadkowym znajomym. Był kolegą z opcją na przyjaźń. Aż do momentu, gdy pozwolił emocjom, by znów przejęły nad nim kontrolę. Do chwili, kiedy zirytowany faktem, że pominęła go w zaproszeniu, wparował do niej do domu.

Chrząknął coś do słuchawki niegotowy na jej uprzejmość. Zakładał, że jeśli w ogóle odbierze, to będzie na niego krzyczeć. Zarzuci mu chamskie wtargnięcie do domu, prześladowanie i stalking. Tymczasem jej ton był beznamiętnie układny, jak głos z infolinii.

– Chciałem z tobą porozmawiać – wydukał w końcu. – Zachowałem się ordynarnie, włączając do twojego domu i prowokując całą tę scenę.

– Owszem, to było ordynarne – przytaknęła, ale nie powiedziała nic więcej. Jeśli miała się czegoś od niego dowiedzieć, musiała pozwolić mu mówić.

– Chciałem cię za to przeprosić. Nie przez telefon, lecz osobiście. Porządnie...

– Rozumiem.

– Wczoraj chciałem do ciebie podjechać, ale chyba byłaś zajęta...

– Tak, nie było mnie w domu.

Przez moment walczył z pokusą, by zadać pytanie, lecz w końcu ugryzł się w język. Przecież wiedział, gdzie była. A gdyby skłamała, znów wpadłby w furję.

– No właśnie. Było już późno, więc się martwiłem, bo sama w tym domu jednak nie jesteś bezpieczna. Dlatego tak wydzwaniałem.

– Dzwoniłeś? Naprawdę? – Znowu udała zdziwienie. – Muszę w końcu zapisać twój numer!

– Posunąłem się do tego, że zadzwoniłem do Marty. – Postanowił pójść w swojej szczerości za ciosem i uprzedzić nieuniknione pytanie. – Przeprós ją w moim imieniu. Niepotrzebnie zawracałem jej głowę.

– Jasne, przekażę. I naprawdę nie musisz się o mnie martwić.

– Tak, oczywiście.

Zaśmiała się nerwowo i siłą woli powstrzymała od kąśliwej uwagi na temat nocy w bezpiecznych ramionach żonatego kochanka. Nie mogła odkryć, że za nią jeździł, ani się dowiedzieć, że pod pozorem zbierania materiałów do reportażu o żonach polskich muzyków postanowił odwiedzić Tere-sę.

– Marta dała ci swój numer komórki? – Starła się, by jej głos brzmiał bezosobowo i naturalnie, lecz on wyczuł subtelne drżenie w jej tonie i uśmiechnął się szeroko, zadowolony z faktu, że przewidział wcześniej ten wątek.

– Nie. Poprosiłem Marcina Kryskiego.

– Marcina? – Zdziwienie w jej głosie sprawiło mu dużą przyjemność.

– Tak. Znamy się z Kryskim od wieków. Miło go było spotkać u ciebie. A wracając do tych prze-prosin. Możemy się jakoś zobaczyć?

– Tak, jasne. – Zgodziła się machinalnie, wciąż przetrawiając informację o znajomości Kempy z Marcinem. Dlaczego Kryski o niczym nie wspomniał? I czemu dał Kempie prywatny numer do Marty?

– Świetnie! Ja kupię wino. Ty wybierz datę i powiedz, co ugotujesz. Nie chciałbym popełnić gafy z wyborem.

– Przepraszam, możesz powtórzyć? – Ocknęła się nagle niepewna, co padło w rozmowie.

– Że to świetnie, że zjesz ze mną kolację!

– Ach, tak... – Nie kojarzyła wątku wspólnej kolacji, ale może przez myśli o Kryskim umknęło jej więcej, niż z początku sądziła? – Byle nie w tym tygodniu.

– Jasne. Może być po weekendzie. – Kempa zapanował nad głosem, choć myśl o tym, że przez kolejne noce znów będzie się gziła z Mejerem, była nie do zniesienia. – Zadzwonię w sobotę.

– Tak, świetnie, do usłyszenia.

Rozłączyła się odruchowo, wciąż zachodząc w głowę, jakiego rodzaju relacja łączyła Kryskiego z Kempą. Z pewnością zażyła, skoro tak lekko podzielił się z Przemkiem zastrzeżonym numerem do Marty. Przez kilka sekund zastanawiała się, czy od razu do niej zadzwonić, lecz w końcu odłożyła telefon. Uznała, że musi ochłonąć.

Widząc jej gest, Kempa uśmiechnął się z zadowoleniem i oderwał wzrok od tylnej szyby jej mercedesa. Przez moment walczył jeszcze z pokusą zrównania się z nią w korku i zerknięcia na jej twarz choćby z profilu. Ostatecznie uznał, że byłoby to zbędne i ryzykowne – tym bardziej że od miesiący przekonywał ją, że nie stać go na samochód – i na najbliższym skrzyżowaniu zjechał z Puławskiej w prawo. Był zadowolony jak nigdy dotychczas. Rozmowa wypadła naprawdę świetnie. Teraz już nie mógł tego spierdolić.

Po pracy zamiast do domu pojechała do Marty. Zgodnie ze złożoną sobie kilka dni wcześniej obietnicą miała szczerzy zamiar oderwania przyjaciółki od jej ponurej codzienności i zapewnienia jej jakiejś rozrywki, a na dzisiejszy wieczór Michał planował wypad do klubu i reset po pierwszych dniach nagrań. Miała wrażenie, że wspólna zabawa może tylko im pomóc. Po kilku szklankach bourbona panowie objęli się pewnie po twarzach, by później rzucić się sobie w ramiona i uznać, że wszystkie niesnaski – zwłaszcza tyczące się kobiet – nie są warte kończenia ich męskiej przyjaźni. Niezależnie od rozwoju emocji w zespole one z Martą zyskują szansę wspólnego wypadu. A fakt, że w towarzystwie pojawi się już nie jedna, lecz dwie kobiety, wszystkim wyjdzie na dobre.

Stały teraz przed przepastną garderobą przyjaciółki, która w amoku wyciągała ze środka coraz dziwniejsze kreacje.

– Dżinsy i T-shirt wystarczą. Znasz ich już przecież. Nie są przesadnie wrażliwi na metki – zapewniła znużona kolejnymi pokazywanymi jej strojami. – Wciągaj spodnie na tyłek i chodźmy!

– Ale ty jesteś w spódnicy i szpilkach! – Marta omiotła wzrokiem jej mini, które bardziej niż element ubrania przypominało chustkę do nosa.

– Ja zawsze jestem w kiecce i szpilkach. To żaden argument.

– A jednak! Pokażesz nogi i nikt nie będzie na mnie zwracał uwagi!

– Przestań! Wystarczy, że włożysz bluzkę z dekoltem! Przy barze nie widać nóg, tylko cycki.

Zaśmiała się, bo każdorazowo, gdy wychodziły gdzieś razem, rozmowa się powtarzała, a Marta opróżniwszy uprzednio całą szafę, zawsze decydowała się w końcu na którąś z czarnych sukienek z eksponującym piersi wycięciem.

– No dobra. – Zgodnie z przewidywaniami sięgnęła ostatecznie po rzuconą na łóżko czarną kiecę z dekoltem. – Spiąć włosy czy tak zostawić?

Spojrzała na piękne, gęste włosy przyjaciółki, które opadały jej teraz na ramiona w miękkich falach. Włosy, jakie zawsze pragnęła mieć zamiast swoich cienkich kosmyków typowej blondynki.

– Zostaw. Wiesz, że są piękne.

– To dzwoń po taksówkę. Nie zamierzam dzisiaj jechać samochodem. Skoro już z tobą idę, to mogę przynajmniej się upić.

Kiwnęła głową z uznaniem i sięgnęła po telefon. Marta miała absolutną rację: higieniczny tryb życia docenią po sześćdziesiątce. Dziś była pora na wspólną zabawę. Tym lepszą, że męska obstawa zwalniała z myślenia i chroniła przed natarczywością obcych, podpitych mężczyzn.

Kiedy dojechały do klubu, potężny ochroniarz przy drzwiach zatrzymał je w progu.

– Dzisiaj impreza zamknięta. Bardzo panie przepraszam.

– Jesteśmy gośćmi Tomka Mejera – wyjaśniła z udawaną nonszalancją nie do końca pewna, czy jego nazwisko cokolwiek tu znaczy.

– Ach! Oczywiście. – Bramkarz uśmiechnął się do niej szeroko. – Pan Zalewski wspominał, że pani przyjedzie.

Weszła do środka, kątem oka przechwytyjąc uniesione zdziwieniem brwi Marty. Znowu Zalewski. Tak jakby była gościem jego, nie Tomka. Może zresztą faktycznie tak było. Z całej ich piątki tylko nazwisko Michała coś w Warszawie znaczyło. To on był ikoną, jego twarz zdobiła okładki płyt, on udzielał wywiadów, negocjował z wytwórnią i był powodem zapraszania ich na koncerty. Zazdrość Tomasza była całkowicie uzasadniona. Michał miał więcej doświadczenia, dorobku i, co tu ukrywać, talentu. Nadawał ton, komponował i aranżował. Bez niego żaden z pozostałych muzyków nie byłby pewnie nikim więcej niż przygrywającym do weselnego kotleta klezmerem. Choć może była zbyt okrutna w ocenach.

Zostawiły płaszcze w szatni i weszły do mrocznego wnętrza, rozglądając się za znajomymi twarzami. W najbardziej oddalonym od drzwi kącie klubu grupa mężczyzn śmiała się właśnie rubasznie z jakiegoś knajackiego zapewne dowcipu. Gdy były w połowie drogi, siedzący pod ścianą Michał podniósł się, przebił przez zajmujących miejsca wokół niego kolegów i wyszedł im naprzeciw.

– Świetnie, że już jesteście! – Cmoknął ją lekko w policzek i z uśmiechem wysunął rękę do Marty. – My się już znamy. – Skinął głową uprzejmie. – Choć nie tak dobrze, jak tego bym chciał. – Jego głos był frywolny i rozbawiony, a ramię objęło Martę pełnym kurtuazji i równocześnie flirciarskim gestem. – Czego panie sobie życzą do picia? – Prowadził je w stronę stolika, wykonując równocześnie delikatny ruch głową w stronę kelnera.

– Dwa razy mojito. – Marta zdecydowała za nie obie i poddała się jego silnemu ramieniu.

Mężczyźni przy stole podnieśli się, przywitali i przesunęli na kanapie, robiąc im miejsce. Tomasz nie było.

– Mejer poszedł zadzwonić do żony. – Piotrek przechwyił jej niespokojne spojrzenie i z nieskrywanym zadowoleniem psuł właśnie koledze szyki. – Kocha ją teraz szczególnie namiętnie i dzwoni do domu dwa razy na dzień. – Zaśmiał się sardonicznie. – Zawsze na stacjonarny, aby mieć pewność, że klawisz wciąż jeszcze jest w domu.

Poczerwieniała lekko, ale zanim zdążyła się odciąć, Marta spojrzała już na niego złowrogo i cyzelując słowa, odparła:

– I bardzo dobrze! Żonaci faceci powinni się umieć ogarnąć. Spotkania z żonami są ostatnią rzeczą, na jaką miałybyśmy ochotę. Och, nie! Przepraszam! Listę zamyka widok kochanka z zestawem walizek. Poznanie żony plasuje się oczko wyżej.

Piotrek przełknął jej uwagę bez słowa, pozostali zachichotali i tylko Michał przyglądał się teraz Marcie z wyraźnym zaciekawieniem.

– Czyli nie chcecie mieć nas na własność?

– Ani na stałe.

– Więc po co to wszystko? Bo chyba nie jest to miłość?

– Dla przyjemności. Hedonizm jest znacznie lepszą pobudką do bycia z mężczyzną niż chęć posiadania, nie sądzisz?

Spojrzał na nią ze śmiechem i skinął głową.

– Zdecydowanie.

Obserwowała ich potyczkę słowną, wciąż próbując zapanować nad zmieszaniem, które wywołała w niej uwaga na temat Teresy. Wszyscy oni robili to samo. Zdradzali żony, rozwodzili się, podrywali dziewczyny w klubach i chodzili do łóżka z wielbicielkami. Żaden z nich nie był bez skazy, lecz tylko jej związek z Tomaszem wzbudzał w nich takie emocje. O co w tym wszystkim chodziło? Byli hipokrytami czy może kryło się za tym coś jeszcze? Coś, czego nie dostrzegą, a może nie potrafiła zrozumieć. Spojrzała na przyjaciółkę, zastanawiając się, czy ona również widzi absurd tej sytuacji, Marta zdawała się jednak całkowicie ukontentowana wygraniem dysputy i z zaangażowaniem mieszała postawionego przed nią na stole drinka. Uniosła wzrok dopiero wówczas, gdy Michał na nowo podjął rozmowę.

– A co robicie, kiedy żonaty kochanek w końcu się zakochuje? – Spoglądał na nią spod oka pewien, że złapie przynętę.

– Kończymy znajomość.

Marta wzruszyła beznamiętnie ramionami, siorbnęła przez rurkę mojito i dopiero po chwili zauważyła, że dała odpowiedź, na jaką czekał. Nie było już jednak odwrotu, a każda próba wybrnięcia byłaby w tej chwili fatalna. Przez krótki moment rozważała rzucenie uwagi, że żonaci się nie zakochują, ale szybko doszła do wniosku, że zrobiłaby tym Ance niepotrzebną przykrość. Osobiście tak właśnie sądziła, ale nie był to moment na dowodzenie tego rodzaju faktów. Żonaci faceci mogli się w nich durzyć, ale ich nie kochali. Dogadzało im ryzyko, dreszczyk emocji, chwilowa odmiana. Chcieli świeżego ciała, przygody, odskoczni. Z reguły gardzili swoimi żonami lub ich nienawidzili. Co nie zmieniało faktu, że nie byli gotowi na przeskoczenie z jednego małżeństwa w drugie. Perspektywa budowania nowych rodzin, tworzenia kolejnych zobowiązań i komplikowania sobie życia formalnościami zdecydowanie ich przerażała. Kochanki były popularne tylko dlatego, że nie były żonami. Że nie trzeba było jeździć z nimi do marketów budowlanych i sklepów meblowych, słuchać zrzędzenia, odwiedzać teściów ani płacić rachunków. Kochanki zawsze były piękne, zadbane oraz w nastroju. Nie chorowały, nie sprzątały toalet w dresach i nie śmierdziały dziecięcą kupą. Nawet nie krwawiły. Były znakomite aż do chwili, gdy przypadkowo zdarzyło im się pokazać, że mimo wszystko są ludźmi.

Nieraz rozmawiały z Anią na ten temat i miały w tym obszarze zbliżone poglądy. A jednak nie był to moment na roztrząsanie tego wątku. Nie po tym, jak Tomek wyskoczył ze swoim miłosnym wyznaniem. Gdyby ta rozmowa odbywała się dzisiaj bez Anki, wygarnęłaby Michałowi, co sądzi o sercowych deklaracjach żonkosi. Lecz Ania tu była, a ona zaczynała gorzko żałować, że przez swoją własną głupotę sprowokowała dyskusję, dzięki której każdy obecny rozważał teraz, czy wyznanie Mejera jeszcze nie padło, czy może Anka marzyła, by wziąć go sobie za męża.

Niezręczną ciszę przerwało nadejście Tomka, który nieświadomy toczącej się przy stoliku rozgrywki opadł na Anię niczym jastrząb i bez skrupowania zaczął całować ją w szyję.

– Cudownie, że jesteś. Musiałem zadzwonić. Teraz jestem już cały twój!

Odwróciła głowę w jego stronę i uśmiechnęła się z ulgą, przekonana, że po jego powrocie wątek zdrady małżeńskiej musi umrzeć, a temat zostać natychmiast zmieniony. Michał uśmiechnął się

jednak prowokacyjnie i z satysfakcją w głosie zapewnił:

– Tak, teraz jest cały twój. Aż do momentu, gdy będzie musiał pojechać do domu. Lub, nie daj Boże, poczyni wyznanie miłosne.

Mężczyźni zachichotali, a Marta spojrzała na nią przepraszająco. Tylko Tomasz zdawał się nie zauważać wiszącego w powietrzu napięcia, zbyt zajęty gładzeniem jej uda oraz własną erekcją.

– Chodź ze mną! – szepnął, a ona podniosła się machinalnie. Niezależnie od tego, co planował, odłączenie się od reszty grupy było dobrym pomysłem.

– Dokąd idziemy?

– Pokażę ci coś – mruknął znacząco i oficjalnym głosem rzucił do reszty: – Przeprosimy państwa na moment.

Złapał ją za rękę i pociągnął w stronę stojącego na środku klubu wagonu tramwajowego. Poszła za nim posłusznie, wiedząc, że Michał uśmiecha się teraz złośliwie i świdruje wzrokiem ich plecy.

– Robiłaś to kiedyś w tramwaju?

Zajrzała do środka i pozwoliła się wprowadzić po małych schodkach do wnętrza. To był najgorszy moment na seks, ale nie czuła się na siłach, by mu to teraz tłumaczyć. W tej kwestii też miały rację: kochanki zawsze były gotowe, nawet jeśli akurat tak nie było. Niestety, nie zawsze stała za tym erotyczna atrakcyjność mężczyzny. Czasem po prostu nie miały ochoty rozmawiać, tłumaczyć, wyjaśniać. Czasami nabranie penisa w usta było zwyczajnie łatwiejsze. Tak jak teraz, gdy w szoferce starego tramwaju zaczęła rozpinać mu spodnie.

Kiedy wrócili do stolika, atmosfera była znacznie bardziej przyjazna i lekka. Towarzystwo poszerzyło się o ściągających z miasta muzyków, będących zapewne znajomymi Michała. Część z twarzy rozpoznawała, pozostałe osoby były nieznanne, lecz traktowała je z życzliwością, bo nie drażyły drażliwych tematów i nie poruszały się w skomplikowanym systemie napięć, które wywoływała w zespole. Marta, znieczulona kilkoma drinkami, zdawała się nie pamiętać o swojej wcześniejszej potyczce z Zalewskim i pozwalała mu teraz na gładzenie swojego uda oraz obcesowe spojrzenia w dekolt. Każdy odnalazł już swoje miejsce w klubowym ekosystemie, a panujący nastrój był wolny od pochopnych ocen i bigoterii. Znów było tak samo, jak w czasach, gdy zaczynała się spotykać z Tomkiem. Życzliwe uśmiechy i całkowita obojętność dla łączącego ich seksu.

Odetchnęła głębiej i usiadła mu na kolanach. Podobnie jak reszta towarzystwa on też był teraz zrelaksowany, choć przyczyn bardziej niż w alkoholu upatrywała w samczym zadowoleniu z orgazmu. Pocałował ją w usta i podsunął szklanekę wymieszanego z colą bourbona. Za każdym razem, gdy to robił, zastanawiała się w duchu, kiedy w końcu zrozumie, że ona woli pić coś innego. On jednak zdawał się nie przyjmować do wiadomości wysyłanych mu w tej kwestii sygnałów. W jego świecie mężczyźni pili amerykańskie whisky, a oddane im kobiety rozcieńczały ten trunek colą. Gdyby poprosiła o kieliszek szampana, spojrzalby na nią jak na kosmitkę i skwitował życzenie dziwkim rechotem.

Zmoczyła usta i przyjrzała się Marcie, na którą zdecydowanie zaczęły już działać alkohol i urok Michała. Prowadzona przez nich obecnie dyskusja była bardziej przekorna niż konfrontacyjna. Za-

lewski śmiał się głośno, wyraźnie rozbawiony wygłaszanymi przez Martę tezami, a ona wtórowała mu swoim najbardziej flirciarskim chichotem. Obserwowała ich grę aż do chwili, gdy Michał uniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

– Skąd ty ją wytrzasnąłeś? – zapytał z rozbawieniem. – Zawsze sądziłem, że księgowo są nudne, a tu proszę! Taki gagatek!

Uśmiechnęła się niepewnie i przesunęła wzrok na Martę w poszukiwaniu ratunku i podpowiedzi.

– Przecież mówiłam ci, że pracuję razem z Anią. – Marta wtrąciła się, zanim przerwa w rozmowie zdążyła zasugerować, że coś się nie zgadza. – Jest moją szefową. Najlepszą, jaką dotychczas miałam. A teraz wybaczyć, ale musimy poprawić makijaż.

Podniosła się z sofy i strząsnęła z siebie usiłujące zatrzymać ją w miejscu ramię Michała, po czym złapała Ankę za rękę. Kiedy znalazły się w toalecie, uśmiechnęła się tajemniczo i uniosła lekko ramiona.

– Przecież nie mogłam mu powiedzieć, że jestem prokuratorem! Żaden facet, zwłaszcza żonaty, nie chce iść do łóżka z oskarżycielem. – Zaśmiała się głośno i weszła do kabiny, zza której drzwi ciągnęła wątek. – A ja zamierzam się z nim przespać. Jeśli nie masz nic przeciw temu, rzecz jasna.

– Ja? – Anka spojrzała w lustro, przed którym poprawiała właśnie szminkę na ustach, i ściągnęła czoło w zdziwieniu. – A co ja mam z tym wspólnego?

– Facet ewidentnie na ciebie leci. Jeśli nie poszedł jeszcze z tobą do łóżka, to tylko ze względu na Tomka. – Dobiegający zza drzwi głos Marty był teraz całkiem poważny. – Z Mejerem nie może się równać, jeśli chodzi o ciało, ale jest dość ciekawy. I bardzo inteligentny.

– Myślę również, że bardzo odpowiada mu twoja koncepcja hedonistycznych romansów.

Anka zaśmiała się głośno, choć perspektywa Marty sypiającej z Zalewskim wcale jej nie cieszyła. Gdyby chodziło o jednorazową przygodę, nie miałyby nic przeciwko temu. W pewnym sensie ułatwiłoby to Tomkowi życie. Podejrzewała jednak, że Michał planuje inny rozwój wydarzeń, który więcej wspólnego niż z Martą ma z jego grymasem zapamiętanym z Izabelina. Powiedzenie tego na głos nie wchodziło jednak w rachubę. Ostatecznie przyprowadziła tu Martę właśnie po to, by się bawiła. Wyciągnięcie teraz wątku dziwnego stosunku Michała do jej seksu z Mejerem nie tylko byłoby egoistyczne, lecz także naraziłoby ją na podejrzenie, że wszystkich mężczyzn pragnie zatrzymać dla siebie.

– Tak czy owak, baw się z nim dobrze. – Odwróciła się od lustra dokładnie w momencie, gdy Marta wyszła z kabiny. – Tylko pamiętaj o zabezpieczeniu.

Marta zarechotała i pokazała jej język.

– Gdyby cię pytał, to jestem starszą księgową. Skończyłam rachunkowość i robię właśnie ACCA. Urodziłam się w Giżycku, mam brata i rozwiodłam się kilka lat temu. Mój były mąż jest przedstawicielem handlowym w firmie farmaceutycznej i porzucił mnie dla ginekolożki, którą poznał w trakcie wyjazdu na Dominikanę organizowanego przez jego koncern dla korumpowanych w ten sposób lekarzy. W ramach rekompensaty za zdradę zostawił mi moje obecne mieszkanie. Po roz-

wodzie zmieniałam pracę – w nadziei, że w nowym miejscu poznam jakiegoś faceta – i w ten sposób trafiłam do wydawnictwa. Niestety, pracują u nas prawie same kobiety, więc wciąż jestem samotna, choć oczywiście nie narzekam na brak powodzenia i liczbę żonatych kochanków.

– Chryste! Skąd ty bierzesz takie pomysły?

– Mówiłam ci już, że nie mogę się przyznać do bycia prokuratorem. To moja stała historia randkowa.

Popatrzyła na Martę z zaskoczeniem. Nigdy wcześniej nie rozmawiały na ten temat, a ona była przekonana, że wszystkie kobiety są równie szczerze w mówieniu o sobie, co ona. Myśl, że może być inaczej, była zaskakująca. Zwłaszcza w kontekście Marty, która jawiła jej się teraz jako dorównująca Kempie oszustka. Tym bardziej niebezpieczna, że nikt nigdy nie podejrzewałaby jej o tworzenie równoległych rzeczywistości.

Zalewski zachowywał się dziwnie, lecz darzyła go dużym szacunkiem. Nie tylko dlatego, że miał dorobek i sławne nazwisko, ale przede wszystkim z uwagi na jego talent, inteligencję oraz bezkompromisowość w tym, co robił i mówił. Niezależnie od sytuacji i trendów rynkowych, Michał przez lata walczył z muzyczną tandetą. Nie poddawał się, a jego nieprzejednanie z roku na rok przynosiło coraz lepsze efekty. Inni muzycy odchodzili w niepamięć, a on trwał i powoli piął się na szczyt. Niezatapialny i wierny swojej życiowej ścieżce. Wolny od kompromisów i jednoznaczny w zawodowych wyborach. Budzący szacunek samozaparciem oraz utrzymywanym od lat azymutem, którego nie zmieniał nawet w trudnych okresach, gdy zamiast jazzu publiczność słuchała boys bandów. Podziwiała go za to i znosiła jego przytyki nie tylko dlatego, że dzięki niemu Mejer miał pracę. W głębi duszy wiedziała, że w swojej ocenie Tomasz Michał miał rację. Że zauważał jego powierzchowność, niedojrzałość i egocentryzm z tą samą jaskrawością, z jaką ona to dostrzegała. Że dziwił się, dlaczego trwała przy Tomku przez ostatnie miesiące, i zastanawiał, co chciała przy nim osiągnąć. Nie rozumiał jej pobudek, uważał, że stać ją na więcej, i pewnie miał rację.

Niezależnie od złośliwości pod jej adresem, od niewątpliwej zazdrości o jej romans z Tomaszem czy cynicznej oceny, którą im dzisiaj wystawił, Zalewski nie zasługiwał na kłamstwa. W przeciwieństwie do Tomka, przed którym zdarzało jej się odgrywać beztroskę, Michała nigdy nie oszukała. Szczerze mówiąc, nie przyszło jej nawet do głowy, że może to zrobić. Jego spojrzenie było mądre i przenikliwe, a ona zawsze miała wrażenie, że gdyby skłamała, on bez trudu zdemaskowałby jej oszustwo.

– W porządku. Nie musisz kłamać. – Marta przyglądała jej się teraz z zaciekawieniem, zaskoczona faktem, że pomysł z okłamywaniem jakiegokolwiek mężczyzny mógł budzić jej sprzeciw. – Nie rozumiem, dlaczego tak cię to rusza, ale w porządku. Już raczej nie będzie dociekał. – Umyła rękę i przejechała opuszką palca pod okiem, ścierając drobinki rozmazanego na dolnej powiece tuszu. – Tak czy owak, zamierzam dziś w nocy zabrać go z sobą – dodała i się wyprostowała, co miało zasygnalizować, że jest gotowa do wyjścia. – Mam nadzieję, że przynajmniej to nie budzi twojego sprzeciwu.

W jej głosie pobrzmiwało teraz kąśliwe rozdrażnienie. Uniosła brew i z buńczucznością oczekiwania na potwierdzenie. Anka po raz pierwszy widziała ją w takim nastroju.

– Mówiłam ci już.

– Mówiłaś. Nie wspominałaś jedynie, że będziesz mnie za to oceniać.

– Nie oceniam zamiaru pójścia z Zalewskim do łóżka. Uważam, że to fajny gość, który z pewnością wart jest zachodu. Nie podoba mi się tylko historia z księgową, Giżyckim i bratem. Mogłaś to sobie darować.

Marta zmrużyła oczy i spojrzała na nią ze złością, po czym odwróciła się na pięcie i wyszła z łazienki. Gdy dogoniła ją przy stoliku, Zalewski podnosił się właśnie i objąwszy przyjaciółkę ramieniem, skierował się wraz z nią do wyjścia. Odprowadziła ich wzrokiem do połowy parkietu i już miała wrócić do Tomka, kiedy dostrzegła, że Marta odwraca głowę. W jej oczach wciąż była stalowa wrogość.

Zrobiło jej się przykro. Marta była jedyną osobą, na której mogła polegać. Nie powinna jej była oceniać. Ostatecznie kłamstwo o wykonywanym zawodzie było całkiem niewinne, nawet jeśli sama uważała je za kompletnie zbędne. W jej ocenie prokuratura nie wywoływała aż tak negatywnych emocji, jak deklarowała to Marta. Przeciwnie, praca w wymiarze sprawiedliwości mogła stanowić przynętę na inteligentnych facetów, którzy cenili silne dziewczyny. Mitologia, którą dzięki amerykańskim serialom obrosły kobiety walczące ze światem przestępczym, działała na korzyść Marty. Wypieranie się siebie nie miało sensu. Przynajmniej w jej oczach. Ale może nie chodziło wcale o przerażenie, jakie myśl o prokuraturze mogła wzbudzić w żonatyh kochankach? Może to Marta nie chciała pamiętać o pracy? Może na randkach chciała się odciąć od swojego zawodu, by uniknąć nachalnych pytań o miejsca zbrodni, przestępstwa i podejrzanych? Może ucieczka za bezpieczne biurko księgowej była ucieczką dla Marty?

Czuła się podle i tylko jedna osoba mogła poprawić jej nastrój. Wyjęła komórkę i ruszyła w stronę wyjścia, wybierając po drodze numer. Kiedy znalazła się w szatni, dźwięk dochodzącego ze słuchawki sygnału przedarł się przez wypełniającą klub, dudniącą muzykę. Odczekała chwilę i gdy włączyła się poczta głosowa, przerwała połączenie. Dotknęła ikony wiadomości i wklepała w SMS jedno słowo: „Przepraszam!”. Zanim zdążyła odłożyć telefon do torebki, komórka zawibrowała i na monitorze pojawiła się odpowiedź od Marty: „To ja cię przepraszam. Widzimy się jutro!”. Odetchnęła z ulgą i wróciła do środka, gdzie Tomek właśnie zaczynał jej szukać. Pomachała mu ręką i z uśmiechem na ustach ruszyła w stronę parkietu. Wieczór zaczynał się dopiero rozkręcać, a fakt, że nie musiała kontynuować go pod czujnym okiem Michała, sprawiał, że oddychała teraz znacznie bardziej swobodnie.

Kiedy kilka godzin później taksówka odwiozła ich do domu, zmęczenie wciąż jeszcze nie zaczęło im się dawać we znaki, a rozbawienie, w jakie wprowadziła ich wspólna wyprawa do klubu, utrzymywało się przez całą drogę i nie zniknęło nawet wówczas, gdy w ubraniach rzucili się wspólnie na łóżko. Po raz pierwszy od początku znajomości byli na tyle syci, że seks stanowił tylko jedną z wielu dostępnych opcji. Równie dobrze mogli obejrzeć film, napić się wina albo zapalić w kominku.

Fakt, że rozważali w ogóle inne niż łóżko alternatywy na wieczór dla obojga, był zaskakujący. Nawet jeśli nie do końca wiedzieli, czy jest to efekt miłosnych wyznań Tomasza, czy naturalnej dynamiki ich związku, zmiana, jaka w nich nastąpiła, była cudownie odprężająca. Dawała szansę na bliskość, intymność i wspólny relaks.

Leżąc w ciemnościach, poddała się męskim dłoniom, które gładziły jej ciało wolne od dwuznaczności i erotycznych podtekstów. Miękkie, czułe, łagodne. Było jej ciepło i błogo w stopniu, którego nie mogła sobie przypomnieć z żadnego z wcześniejszych wspólnych wieczorów. Delikatność Tomka zaskakiwała, a sposób, w jaki głaskał ją po ramionach, bardziej niż dotyk mężczyzny przypominał subtelność dbającej o dziecko matki. Była tym zaskoczona, bo nigdy dotąd nie okazywał jej takiej czułości. W każdym poprzednim dotyku chodziło mu zawsze o własną przyjemność. Jej ekstaza była wyłącznie skutkiem ubocznym. Tym razem było inaczej.

Westchnęła i uśmiechając się do siebie, mruknęła:

– Cudownie! Gdybym wiedziała, że posiadasz takie talenty, już dawno zaczęłabym tego wymagać.

– Jestem mężczyzną o wielu talentach. Powinnaś była to wiedzieć.

– Spodziewam się zatem śniadania do łóżka i rozpieszczania przez cały weekend – dodała.

Dotyk zelżał i jego dłonie oderwały się od jej ciała. Przez moment leżał obok w bezruchu, a kiedy uniosła głowę, chrząknął i lekko speszony wydukał:

– Muszę jutro pojechać do domu... Jest weekend i chłopaki wracają do rodzin. Teresa na pewno zadzwoni do żony Michała i dowie się, że on wrócił...

Westchnęła zniecierpliwiona i odwróciła się szybko na plecy. Rozmowy o Teresie i szczegóły ich życia były jej zbędne, choć z innego powodu, niż mógł podejrzewać. Świadomość, że miał żonę i dziecko, nie była przykra. Dyskomfort brał się z faktu, że za każdym razem próbował jej to po raz kolejny wyjaśniać, zapewniając równocześnie o swoim oddaniu. Tak jakby nie potrafił pojąć, że rola kochanki może jej odpowiadać, i podejrzewał o dobrze skrywaną nadzieję na wspólną przyszłość.

– Nie musisz się tłumaczyć, kochanie. Rozumiem. – Mimo starania przez ton jej głosu przebiła się irytacja.

– Nie bądź zła... – wymruczał dudniąco i przełknął ślinę. – Naprawdę nie mam ochoty tam jechać.

Uniosła się na łokciu i spojrzała na niego z uwagą. Tym razem nie usiłował zadbać o jej uczucia czy osłodzić niechlubnej roli kochanki. Wyglądał rozpaczliwie i przez sekundę bała się nawet, że może się przy niej rozpląkać.

– Nie jestem zła – zaczęła raz jeszcze, próbując nadać głosowi wyraz pogodnej obojętności. – To normalne, że musisz pojechać do domu. Nie mówiłeś mi o tym, więc nie wiedziałam. Teraz już wiem. Nie musisz mi się z niczego tłumaczyć.

– Muszę! I naprawdę nie chcę jechać do domu!

W jego głosie była teraz nieznaną jej wcześniej desperacja, historyczne nuty i bardzo kobiecy dramatyzm. Zmarszczyła czoło i spojrzała na niego z uwagą. Coś się zmieniło i wcale jej się ta

zmiana nie podobała. Wolą, gdy był pogodny, seksualnie drapieżny i niefrasobliwy. Lubiła jego egocentryzm, bezpośredniość i brak skomplikowania. Ze zboloną miną nie było mu do twarzy, a teatralne westchnienia, które jej teraz serwował, nie budziły bynajmniej ciepłych uczuć czy romantycznych uniesień. Irytowały. Nie spotykała się z nim, aby przeżywać miłosne wzloty, tylko orgazmy. Miało być intensywnie i bardzo zmysłowo. Bez plecionych nocami dyrdyma, perfumowanych listów i rzewnych wierszy. Bez komplikacji. Lubiła go bardzo, może nawet durzyła się nieco, ale z prawdziwym kochaniem nie miało to wiele wspólnego. Taki zresztą był plan i napisany do tego romansu scenariusz. Sądziła, że jego wyznania są tym, czym w ich sytuacji powinny i mogły być – komplementem dla jakości spędzanego z nią czasu. Miłym przerywnikiem w rozmowie, pretekstem do pocałunku lub poprawiającym humor tekstem na pożegnanie. Nie traktowała ich serio. Aż do tej chwili. Do momentu, gdy w jego oczach pojawiły się nagle niebezpieczne błyski odbitego we łzach światła.

Przetoczyła się po łóżku i sięgnęła po leżącą na stoliku paczkę papierosów oraz popielniczkę.

– Chcesz? – zaproponowała, podsuwając mu pudełko, ale on pokręcił tylko głową. – To może włączę muzykę...?

Zapaliła slima i podeszła do stojącego w sypialni odtwarzacza. Było zbyt ciemno, by wybrać płytę, poświeciła więc sobie płomieniem trzymanej w ręce zapalniczki i ze stosu płyt wyciągnęła AC/DC. To powinno zagłuszyć romantyczne westchnienia i wyrwać go z łzawego nastroju. Przez chwilę słuchała ochryplego wokalu Briana Johnsona odwrócona do niego plecami, dając mu szansę na zebranie się w sobie i powrót do normalności. Musiał wrócić do formy. Jeśli tego nie zrobi, wszystkie złości Michała okażą się trafione, a ona będzie musiała się pożegnać z Tomaszem na zawsze. Nie chciała, żeby do tego doszło, bo od początku było jej z nim wspaniale. Nie tylko w łóżku. Równie dobrze jak w roli kochanka sprawdzał się jako partner do zabaw. Rozmowy z nim były przyjemne i nieskomplikowane, jego grono znajomych interesujące, a wybierane kluby i restauracje znakomite. Odpowiadały jej jego szalone, choć czasem dziecinne wybryki, kompletny brak zahamowań i pełna gotowość wywoływania towarzyskich skandali. Najbardziej jednak pasował jej fakt, że miał dokąd wrócić. Że jego wizyty miały ustalony z góry termin ważności i nie kolidowały z jej życiem. Że nie musiała znosić jego rozrzuconych po domu ubrań, pozostawionych na blacie brudnych talerzy ani całodziennych prób, którym oddawał się we własnym domu. Jak długo ich relacja pozostawała romanssem na odległość, każde z nich mogło czerpać z zalet, nie odczuwając wad tego związku. Chciała utrzymać ten stan jak najdłużej, bo z jej perspektywy żaden inny rodzaj więzów z Mejerem zwyczajnie nie był możliwy. Tomasz nie był mężczyzną, którego pragnęła na całe życie. Z całą sympatią oraz uznaniem dla jego urody. Po prostu nie był.

Czasem zastanawiała się, czy jej stosunek do mężczyzn nie jest zbyt samczy i gruboskórny. Czy fakt, że traktuje ich jak jednorazowe produkty, nie jest dowodem na jakąś wewnętrzną skazę. Ostatecznie kobiety powinny ulegać romantycznym porywom, zakochiwać się bez pamięci, marzyć o wzajemności, stabilnym związku oraz domowym ognisku. Powinny zabiegać o monogamię i męską deklarację w postaci ślubu i dziecka. Ona tego nie czuła. A może raczej oduczyła się czuć po

wcześniejszych zawodach miłosnych. Kiedyś bardzo pragnęła, aby mężczyźni w jej życiu kochali ją miłością bezkresną, dozgonną i uświęconą. Niestety, doświadczenie uczyło, że taka miłość rzadko się zdarza, a jeśli w ogóle, to tylko w zdeformowanej i nie do końca pasującej jej formie. Westchnienia, egzaltacja i pompatyczne gesty ją drażniły, podobnie jak męskie próby wtłaczania jej w pokrytą lukrem foremkę. Nie była Świtezianką i nie aspirowała do tego. Nadmiar słodczy przyprawiał ją o mdłości i lęki o stan uzębienia. Podobnie jak myśl, że znowu miałaby dzielić swój dom z mężczyzną i wrócić do roli niańki, kucharki, sprzątaczkę, jaką pełniła w swoim pierwszym małżeństwie. Mężczyźni nie mogli tego pojąć – podobnie jak większość kobiet – ale bycie kochanką zaspokajało chwilowo jej życiowe ambicje. Była wolna, niezależna i nieskrępowana ustawiczną obecnością drugiej osoby. Cudzymi oczekiwaniami czy konwenansem społecznym. Brała od mężczyzn wyłącznie to, czego pragnęła: zainteresowanie, seks, adorację. I tyle samo gotowa była zaoferować im w zamian. Zrobienie dla kogoś miejsca we własnej szafie nie wchodziło w rachubę. Na pewno nie w dającej się objąć myślą perspektywie czasowej. A jeśli już kiedyś, to z pewnością nie facetowi pokroju Tomasza.

Miała nadzieję, że jego dzisiejszy dramatyzm był jedynie chwilową słabością. Skutkiem ubocznym kolejnej zarwanej nocy oraz dwóch kresek, które wciągnął w klubowym tramwaju. Nie zachwycała jej obecność białej torebki w jego kieszeni ani fakt, że na każdej imprezie pociągał nosem, ale nie potępiała go za to. To był jego nos i jego decyzja. Był dorosły i jak długo nie namawiał jej do odkurzania szklanych blatów lub masowania długaś, wszystko było w porządku.

Odwróciła się powoli w jego stronę i przez moment przyglądała w milczeniu, jak leżał z zamkniętymi oczami pochłonięty słuchaną muzyką i wybijanym dłonią na pościeli rytmem. Zadziałało. Odetchnęła z ulgą, podeszła bezszelestnie do łóżka i zanim zdążył zareagować, klękła nad nim, przywarła wargami do jego ust i zaczęła rozpinać mu spodnie. Jęknął z zachwytem, chwytając ją mocno w pasie, a ona zaśmiała się radośnie i jeszcze raz pochyliła nad jego twarzą. Znowu byli kochankami i łączyła ich jedynie czysta, hedonistyczna namiętność.

Tomasz wyszedł z domu o siódmej rano. Nie pytała, jak zamierza dotrzeć do Elku po wypitym w nocy alkoholu ani nie sugerowała, że może powinien jeszcze poczekać. Wcześniej niejednokrotnie zdarzało mu się prowadzić samochód po sporej dawce bourbona i wiedziała dokładnie, że ma na to swoje sposoby. Kiedy przy pożegnaniu pociągał nosem, była pewna, że tym razem nie jest to efekt otartej w sekrecie łzy pożegnania. Pomachała mu ręką i gdy samochód wyjechał za bramę, weszła do domu z zamiarem powrotu do łóżka. Pora była nieludzka, biorąc pod uwagę fakt, że właśnie zaczął się weekend, a oni imprezowali praktycznie do rana. Nawet Stefan nie podniósł się jeszcze i nie biegał za nią w nadziei na pełną miskę. Zatrzymała się na środku holu i zastanowiła przez chwilę. Coś tu nie pasowało, ale nie była w stanie stwierdzić, o co chodziło. Czy miało to coś wspólnego z kotem, o którym myślała, czy z miejscem, gdzie przystanęła? Skupienie nie przychodziło jej łatwo, a myśli były chaotyczne i nieszczególnie lotne. Powinna się przespać. Rozejrzała się wokół siebie raz jeszcze w nadziei na jakąś podpowiedź i nie znalazłszy jej, ruszyła w stronę sypialni. Pościel wciąż była ciepła i nadal pachniała Lacoste Essential. Zieloną, świeżą nutą, która zawsze unosiła się wokół Tomka. Wciągnęła powietrze głęboko w płuca, zrzuciła pantofle i opadła na prześcieradło. Zapach był upojny, podobnie jak Tomasz. Pełen słonecznych, kojarzących się z młodością, upalnym latem i świeżo skoszoną trawą akcentów. Relaksujący i dający poczucie spełnienia. Uśmiechnęła się do myśli, że może czuje do Tomka coś więcej niż tylko fizyczny pociąg, ale zanim zdołała się uważniej przyjrzeć tej refleksji, zasnęła. Trzy godziny później obudził ją dzwoniący telefon, po który sięgnęła, nie otwierając oczu. Głos Marty po drugiej stronie był przytomny, energiczny i niezwykle z siebie zadowolony.

– Chyba cię nie obudziłam? – zaczęła zastępującym przeprosiny pytaniem i nie czekając na odpowiedź, ciągnęła: – Zalewski zmył się w środku nocy, więc ja się przynajmniej wyspałam. Gdyby został do rana, pewnie nie zmrużyłabym oka. Nie potrafię spać przy obcym facecie.

– Jak było? – Uniosła się na łokciu, otworzyła powoli oczy i sięgnęła po stojącą przy łóżku butelkę z wodą.

– Dość miło.

– Dość miło?! – Sarkazm przebił się w jej głosie przez rozespanie i sprawił, że usiadła prosto na łóżku. – Dzwonisz do mnie o świcie, żeby powiedzieć, że było ci miło? Miłe bywają szczeniacki, a nie mężczyźni.

– Odmawiam ujawniania szczegółów. – Marta zachichotała, dając tym samym do zrozumienia, że zastosowany poprzednio eufemizm był dość niefortunny. – Był zaskakująco uroczy i nawet post factum gładził mnie pół godziny po plecach. Więc było miło. I dziwnie zarazem.

– Dziwne było to, że cię głaskał? – Rozbawienie Anki sięgnęło zenitu i nie potrafiła powstrzymać parsknięcia.

– Przecież nie musiał. Zakładałam, że pójdzie ze mną do łóżka, a potem po prostu wyjdzie. Smyrania po plecach nie miałam w planach.

Uniosła brwi i przewróciła oczami, ciesząc się, że przyjaciółka nie widzi w tym momencie jej miny. Poziom oczekiwania Marty co do mężczyzn był zastraszająco niski, co w pewnym sensie uzasadniało opowiadanie im farmazonów o wydumanej pracy i sytuacji rodzinnej. Jeśli z założenia mieli ją tylko przelecieć, odkrywanie jakiegokolwiek prawdy o sobie rzeczywiście nie miało sensu.

– Może jemu też było miło. Nie przyszło ci to do głowy?

– No właśnie mi przyszło. Dlatego dzwonię, by skonfrontować tę wywrotową tezę z twoim sarkazmem.

– Mój cynizm nie sięga aż tak daleko, więc wybaczone, lecz nie pomogę.

Zaśmiały się równocześnie. Marta potrzebowała utwierdzenia w przekonaniu, że jakiś mężczyzna mógł ją polubić, a Anka wierzyła, że w przypadku Michała istotnie jest to możliwe. Jej zdaniem pasowali do siebie nie tylko pod względem wyglądu, ale również ciętego języka, żywej inteligencji i stosunku do świata. Nie było niczego zaskakującego w tym, że po dwóch godzinach rozmowy Zalewski docenił mózg Marty. Dziwne było to, że zajęło mu to aż dwie godziny.

– I co teraz? – spytała, mając nadzieję, że Michał wykazał się minimalną przyzwoitością i wziął od przyjaciółki numer telefonu.

– Pojechał na weekend do żony. Wraca w niedzielę wieczorem i zabiera mnie na kolację. Tak mi przynajmniej powiedział.

Pokiwała głową w uznaniu dla tempa fabuły. Sprawy zaszły dalej, niż mogła się tego spodziewać i nawet jeśli było to nieco dziwne, to rozwój wydarzeń naprawdę ją cieszył. Przede wszystkim ze względu na Martę, która musiała się w końcu przekonać, że nie wszyscy mężczyźni traktowali dziewczyny instrumentalnie. Miała nadzieję, że następnym razem Zalewski zostanie do rana, obalając kolejny z prześladowających ją mitów.

– W czym zatem mogę ci pomóc?

– Nie możesz, bo wszystko jest super. – Marta nie była w stanie ukryć rozpierającego ją zadowolenia. – Jak poszło u ciebie?

– Mejer się prawie popłakał na myśl, że ma wracać do żony. Co, szczerze mówiąc, było dla mnie dość trudne do przetrwania.

– A co w tym dziwnego? Widziałaś zdjęcia Teresy. Każdy normalny facet by płakał. Zresztą Mejer idealnie do ciebie pasuje i widać, że się zakochał. Powinien zostawić żonę i się do ciebie sprowadzić. Ty byś robiła tę swoją karierę, on by brzdąkał na kontrabasie i wszyscy by byli szczęśliwi.

Anka tylko się zachnęła i nie skomentowała tego pomysłu. Noc z Zalewskim faktycznie musiała być niezła, skoro wprawiła Martę w taki huraoptymizm i wiarę w miłość. Lekkość, z jaką mówiła o porzuceniu żony i wspólnym mieszkaniu, świadczyła o tym, że wciąż jest pod wpływem seksualnej endorfiny. Inne wytłumaczenie nie było możliwe, bo pomysł był niedorzeczny. Pasowali do siebie z Tomkiem, ale nie jako para na stałe. Niezależnie od tego, co Marta czy nawet sam Mejer sądzili na temat ich związku, on nie był dla niej kandydatem na męża czy nawet partnera. Miała w tej kwestii zupełną pewność i tym bardziej dziwił ją fakt, że Marta zmieniła nagle pogląd na

sprawę. Szczerze mówiąc, poczuła się też nieco rozczarowana. Zawsze sądziła, że przyjaciółka zna ją najlepiej i wszystko rozumie. Aż do tej chwili.

- Nie rozwijajmy już tego wątku – ucięła. – Masz ochotę przyjechać na obiad?
- Dzisiaj nie mogę. Muszę pojechać do babci. Może wpadnę w niedzielę?
- Super, to do zobaczenia.

Pożegnała się z Martą i odłożyła telefon. O co im wszystkim chodziło? Rozmazgajony Tomek, nagła zmiana frontu u Marty i Zalewski, którego cyniczne uwagi jednoznacznie potwierdzały wiarę w wielką miłość rzekomo łączącą ją z Mejerem. Czy cała trójka odkryła coś, czego ona nie dostrzegła? Czy faktycznie – w sposób dla siebie nieodczuwalny – straciła głowę, a odrzucając szansę na wspólną przyszłość, łamała życie obojgu? Brzmiało to nonsensownie. Wzruszyła ramionami i zamiast rozważać cudze rojenia, postanowiła się napić kawy. Zeszła powoli z łóżka, narzuciła na siebie szlafrok i przechodząc przez drzwi sypialni, dostrzegła na futrynie odbity kształt męskiej dłoni. Parsknęła zdegustowana, wracając myślą do zakończonej przed momentem rozmowy. Bałaganiarstwo i kompletna abnegacja Tomka w sprawach domowych całkowicie dyskwalifikowały go jako potencjalnego partnera. Jeśli Marta sądziła, że jest inaczej, to może choć raz powinna po nim posprzątać? Westchnęła i postanowiwszy, że wyczyści framugę po kawie, ruszyła korytarzem do kuchni. Podłoga jak zawsze była przyjemnie ciepła, ale tym razem zamiast idealnej kamiennej gładkości poczuła pod stopami ziarenka piasku i grudki ziemi. Owszem, nie odkurzała ostatnio, ale skąd się wzięło tutaj błoto? Coraz bardziej zirytowana przypomniawszy sobie wysokie martensy Tommasza i jego niechęć do wycieraczek. Zanim doszła do holu, ślady na podłodze stały się wyraźniejsze, a piasek zaczął układać w wyraźny wzorek traperskiej podeszwy.

– Nie wierzę! – odezwała się sama do siebie, spoglądając na ubłoconą białą posadzkę. – Po czym on chodził?!

Jej wzrok pobiegł do drzwi wejściowych, ale przy wejściu do domu podłoga była zaskakująco czysta. Odbicia podeszew prowadziły w stronę pomieszczenia gospodarczego. Zmarszczyła czoło, podeszła powoli do drzwi kotłowni i stanąwszy w progu, dostrzegła, że ślady urywają się na parapecie, a wyłamane okno stoi oparte o wykusz w ścianie. Na tynku, po obu stronach ziejącej teraz zimnem pustej framugi były odbite dwie męskie dłonie, których wielkość i kształt aż nazbyt dobrze zapamiętała z sypialnianej futryny.

Skupiła wzrok, zaskoczona własnym opanowaniem i brakiem historycznej reakcji. Tak jakby atak paniki po znaleziskach w garażu był skuteczną szczepionką przeciwko kolejnym napadom strachu. Wyzuł ją z emocji, znieczulił i zdystansował. Pozbawił możliwości przeżywania czegokolwiek i sprawił, że patrzyła na rzeczywistość z zainteresowaniem typowym dla widza, nie uczestnika wydarzeń. Spoglądała na wyważone okno i czuła się pusta. Wyzwolona od jakichkolwiek uczuć czy lęków. Impregnowana na rzeczywistość i oddzielona od niej magiczną szybą, przez którą nie przedzierały się żadne naruszające jej spokój impulsy. Jakby każde kolejne zdarzenie wylewało się poza nią i nie było w stanie wsiąknąć w jej nabrzmiały strachem organizm.

Przyjrzała się pomieszczeniu z uwagą, jaką poświęciłaby mu, stojąc za kamerą filmową. Podłoga, ściany, ustawione przy wejściu regały, lekki zaciek na zlewie, kombinacja rur i przewodów na ścianie, bryła pieca, zasobnik na wodę. Pralka, suszarka, kilka wiszących na sznurkach wieszaków, kosz na brudną bieliznę, odkurzacz, mop, ścierka. Wszystko widziane w najdrobniejszych szczegółach. Wyraźne i przerysowane. Obce. Jakby zobaczyła własne przedmioty i sprzęty pierwszy raz w życiu. Jak gdyby dopiero teraz odkrywała kształt pomieszczenia, rysy na plastikowym szarym wiaderku i plamy na sznurkach mopa. Wystrzępione brzegi wyschniętej szmaty i kamienny osad u nasady baterii. Wszystko zdawało się obce i nieprzystępne, a dzielący ją dystans zbyt wielki, by kilka kroków mogło pokonać drogę do okna. Oswojone przez kilka ostatnich tygodni ściany sprawiały wrażenie nieznanymi i wrogimi niczym miejsca, w które trafiała pierwszy raz w życiu. Drgały lekko pod jej spojrzeniem, jakby miały się zamiar osunąć, grzebiąc wszystko, na co patrzyła. Zauważała ich obcość i przejawianie, ale emocje z tego płynące rozbijały się na soczewce kamery, nie mogąc się przebić do wnętrza. Były karykaturą rzeczywistości, nie faktem. Przerysowaną scenografią dla filmu, który oglądała z pozycji widza. Podeszła powoli do parapetu i wzięła grudkę ziemi w dwa palce. Obraz z kamery zyskał trójwymiarowość, a zbliżona do twarzy ręka zdawała się przez moment zbyt wielka, by mogła należeć do niej. Roztarta błoto, patrząc z uwagą, jak rozpada się na mniejsze bryłki i przywiera do opuszków jej palców. Wciąż było mokre, lepkie, maziste. Pachniało gliniastą nieurodzajną ziemią i śniegiem. Skupiła myśli i spojrzała na palce raz jeszcze. Jeśli glina spod butów intruza wciąż była wilgotna, to musiał się pojawić w domu w czasie, gdy byli z Tomaszem w sypialni. Kiedy była sama, alarm był zawsze włączony. Przemknęła myślą po wydarzeniach ostatniej nocy. AC/DC? Zapewne. To był jedyny moment, kiedy nie usłyszeli z Tomkiem żadnego dochodzącego z reszty domu hałasu. Płyta trwała niecałą godzinę, więc tyle mniej więcej intruz miał czasu na wyłamanie okna i spacer po domu. Dotarcie do drzwi sypialni i zaglądnienie do wnętrza...

Roztarte pomiędzy palcami błoto rozsypało się po podłodze, a dystans, z jakim obserwowała jego powolną dezintegrację, prysnął, rozbity w drobny mak w zderzeniu wspomnień ostatniego wieczoru z wizją stojącego w drzwiach podglądacza. Poczula, że zalewa ją fala mdłości i z trudem dobiegła do zlewu. Jej pusty żołądek wykręciła seria jałowych, duszących spazmów, a trzęsące się ręce z trudem odkręciły kurek z zimną wodą i gubiąc zbyt wiele kropel, przetarły lepkie od potu czoło. Wciąż jeszcze wydawało jej się, że jest dosyć spokojna, choć jej ciało miało na ten temat wyraźnie odmienną opinię. Zebrała myśli i torsje wróciły. Tak jakby organizm odrzucał myśl o stojącej w drzwiach jej sypialni osobie. Obserwującej ją w łóżku z Tomaszem, patrzącej, jak siada na nim okrakiem, rozpina mu spodnie i całuje go w usta. Gapiącej się na nich przez cały czas, kiedy się kochali, niczym jeden z tych pozbawionych wigoru i pewności siebie mężczyzn, których widywała niekiedy wychodzących ukradkiem z mało dyskretnie oznakowanych przybytków wzrokowej rozkoszy. Zawstydzonych własną słabością, pełnych skruchy i wyrzutów sumienia, a równocześnie pewnych, że wcześniej czy później wrócą w to miejsce na kolejny *peep-show*. Wzdrygnęła się i przez moment widziała pod powiekami oglądany przez wojerystę występ. Swoje pośladki i masywne uda

Tomasza. Jego dłonie trzymające jej talię i rozpuszczone włosy, których końce łaskotały ją po łopatkach. Scenę, która byłaby ładna, gdyby nie czający się przy framudze cień obcego mężczyzny.

Pomysł, że ktoś mógłby ich obserwować, był niedorzeczny i chory. Po co? Chyba nie dla pokazu ich seksualnej techniki? Ani nie dla emocji czy podniecenia, które skuteczniej dostarczyłby dobry film porno. Par uprawiających miłość przy świetle i rozsuniętych zasłonach zapewne nie brakowało. Nie trzeba było docierać na to odludzie, czaić się w krzakach, wyważać okien. Wystarczyło mieszkanie w wieżowcu na Ursynowie i zwykła lornetka.

Wyprostowała się, potarła czoło wierzchem dłoni, a następnie odwróciła się w stronę holu. Jej torebka leżała przy wejściu, a na podłodze wciąż stała torba ze służbowym laptopem. Podeszła powoli do drzwi wejściowych i zajrzała do wnętrza teczki. Komputer oraz zabrane z biura papiery były nietknięte. Podobnie jak kilkaset złotych i zestaw kart kredytowych w portfelu. Przesunęła wzrokiem po domu i przeszła w stronę salonu. Obraz Maciejowskiego wciąż wisiał na ścianie, a na kominku obok kluczyków do mercedesa leżał spokojnie zegarek Cartiera i złoty pierścionek po babci. Nie zniknęły również płótna Bujnowskiego ani pozostawiony na blacie kuchennym iPod. Brakowało jedynie szminki, którą zawsze trzymała na półce pod mikrofalówką. Poza tym nic nie zginęło.

Wróciła do sypialni, pozwalając, by poczucie odrealnienia wróciło i opanowało ją w stopniu zapamiętanym z chwil, gdy stała przy parapecie. Tak było łatwiej. Nic się nie działo, a ona znów grała w filmie. Bezpieczna, oddzielona od myśli o intruzie, pewna, że to, na co patrzy, jest fikcją. Bo przecież nie mogło być prawdą. Machinalnie sięgnęła po leżącą w szufladzie bieliznę i dres do biegania. Tak zrobiłaby każda bohaterka thrillera, nieprawdaż? Wyszłaby z domu, obeszła ogród, sprawdziła ślady. Upewniając siebie i widza, że nic gorszego się nie zdarzyło. Czy miała alternatywę? Nawet jeśli, to w tym momencie nie przychodziła jej ona do głowy. Obejście domu od zewnątrz wydawało się jedyną sensowną rzeczą, jaką mogłaby zrobić. Wróciła do holu, wsunęła nogi w kalosze i po sekundzie wahania wyszła na zewnątrz.

W ogrodzie było zimno i wilgotno, a pokrywający podjazd śnieg topniał powoli, spływając na trawniki i tworząc przypominające żelatynę błotniste kałuże. Dociągnęła suwak bluzy i kurcząc się z chłodu, ruszyła wzdłuż ściany domu w stronę wyłamanego okna kotłowni. Na zapadającym się śniegu pomiędzy drzewami nie było żadnych śladów poza tymi, które kilka dni temu pozostawił biegający za sikorkami Stefan. Dopiero przy samym oknie dostrzegła głębokie odbicia dużych, sportowych butów o wyraźnym wzorze mocno żłobionej podeszwy. Intruz przemieszczał się wzdłuż bryły domu – przyszedł ze wschodniej strony posesji i wrócił po własnych śladach. Przeszła kilkaset metrów, otrząsając z głowy odrywające się od gałęzi grudki mokrego śniegu. Ślady szły krętą linią, omijając gdzieś pnie drzew i manewrując pomiędzy krzewami. Znikały w miejscach, w których śnieg się wytopił, i powracały na białych połaciach, nierozpuszczonych jeszcze przez jesienne słońce. Gromadziły w swoich wyżłobieniach małe kałuże stężałej od zimna wody, tracając powoli swój kształt i czytelność. W końcu dotarły do otaczającego ogród kordonu krzewów i przedarły się przez jego zaporę. Zatrzymała się na ułamek sekundy przed ścianą mokrych zielonych gałęzi i zebrawszy resztki odwagi, prześlizgnęła przez tuje w tym samym miejscu, w którym

przebrnął przez nie włamywacz. Ostatni ślad jego butów roztopiał się właśnie na grubej warstwie pokrywającej podłoże kory.

Uniosła głowę i się zatoczyła. Klaustrofobiczna przestrzeń pomiędzy parkanem a linią krzewów ciągnęła się w obie strony niczym korytarz jakiegoś potwornego labiryntu, do którego nigdy wcześniej nie zagłębiała. Napierając na nią swoimi ścianami, falując i przytłaczając. Odbierając szansę na spokój i głębszy oddech. Przytrzymując się jedną ręką parkanu, próbowała przez moment zapanaować nad wstrząsającymi jej ciało dreszczami, uspokoić oddech i rozluźnić przeponę. Bez skutku. Jej kark był mokry od potu, dłonie drżały, a zawroty głowy nie pozwalały odzyskać ostrości widzenia. Tunel zdawał się nie mieć końca. Tak jakby ogród rozrósł się nagle do niebotycznych rozmiarów, a dzieląca jego krawędzie odległość nie poddawała się racjonalnej ocenie. Resztką sił nabrała powietrza w płuca i wspięła się na betonowy postument, próbując wyjrzeć na zewnątrz. Rozciągający się za ogrodzeniem widok bezkresnych hektarów przywracał spokój. Na polach nie było nikogo, a ciągnące się po horyzont bruzdy jesiennej orki kołysały nerwy swoją powtarzalnością. Gdzieś w dali widać było zabudowania sąsiedniego sołectwa, nad którymi snuły się cienkie nitki unoszącego się z kominów dymu, oraz krążące nad polami gawrony. Nic więcej. Westchnęła z ulgą i czując, że ścisnąca gardło histeria minęła, przełknęła ślinę, po czym ostrożnie, w obawie przed tym, co może zobaczyć, zaczęła przesuwając wzrok bliżej. Sto metrów, pięćdziesiąt, dwadzieścia. Rozmokłe błoto, ślady opon i znane jej już podeszwy. Dwa niedopałki, pusta puszka po piwie i opakowanie po chipsach.

A zatem czekał tu na nich spokojny i zrelaksowany. Racząc się papierosem i ulubioną przekąską kibica w ciepłym oczekiwaniu na występ ulubionej drużyny. Niezrażony opóźnieniem w ramówce. Pewien, że sportowe emocje są tego wieczoru nieuniknione. Jego samochód musiał być duży i ciężki, bo w miejscu, w którym stał, ziemia się bardzo głęboko zapadła, a opony pozostawiły na polu cztery okazałe rynny wypełnione obecnie wodą. Może spędził tutaj godzinę, a może cztery. Słuchając radia i zagryzając wieczorną audycję prażonym kartoflem o smaku bekonu. Nie, to nie było możliwe. Gdyby tkwił tu tak długo, petów na śniegu byłoby znacznie więcej.

Omiotła teren ostatnim spojrzeniem, zeskoczyła z ogrodu i zdecydowanym ruchem przedarła się z powrotem przez barykadę roślin. Tropienie śladów w ogrodzie było pomysłem równie niemądrym, co zbędnym. Nie dowiedziała się niczego nowego poza tym, że podglądacz miał duży samochód, palił i lubił piwo. Jak większość znanych jej mężczyzn. Tego, że był cierpliwy, mogła się wcześniej domyślić z systematycznej precyzji, z jaką planował kolejne kroki. Z godzin, które musiał poświęcić na napełnienie ponad setki balonów i rozmieszczenie ich w równych szpalerach w ogrodzie, oraz czasu, który spędził w garażu, karmiąc się sardynkami i pociągając niespiesznie z butelki. Był metodyczny, wytrwały i potrafił czekać na swoją nagrodę. Stanowił przeciwieństwo psychologiczne Mejera i w przeciwieństwie do niego nie zdobywał tego, co pragnął, urokiem osobistym oraz impertynencką bezpośredniością. Pracował na swój życiowy sukces latami. Nie ścinając narożników, nie chodząc na skróty, nie odziewając się od zapobiegliwej staranności prymusa. Nie

był ślicznym, genialnym dzieckiem, któremu wszystko przychodziło z łatwością. Miał tyle, ile zdołał wyszarpać ciężką harówką i manipulacją.

Przebiegła myślą po swoich kolegach ze szkoły. Ilu takich chłopców spotkała? Dziesiątki. Brzydkich, pryszczatych, niepewnych siebie. Bojących się odezwać do koleżanek, podpierających ściany na korytarzach i budujących swoją przewagę nad resztą klasy poprzez wykuty na blachę wierszyk i przepisane starannie zadanie domowe. Niezbędnych w chwilach, gdy przerażeni perspektywą klasówki koledzy skupiali się wokół, licytując, który z nich może usiąść obok niskiego, pokrytego trądzikiem kujona. Na tę jedną godzinę lekcyjną, po której wszystko wracało do normy i znów nikt nie zwracał na nich uwagi. Aż do kolejnej kartkówki. Co się stało z tymi chłopcami? Czy ostatecznie urosli i założyli rodziny? Czy stali się atrakcyjni, pożądana i zajmujący? A może wciąż stukali gdzieś pilnie w klawiatury swoich laptopów, starając się nadrobić braki w urodzie i niedostatki talentów swą tytaniczną pracą i skrupulatnością? Może pracowali teraz w zawodach wymagających precyzji i alienacji, a może dokładnie na odwrót? Może zebrali się na odwagę i wyszli w końcu do ludzi, wybierając wbrew sobie zawody wymagające ustawicznego kontaktu z innymi i bycia lubianym? Może po wyleczeniu trądziku stali się kochanymi przez starsze panie prezenterami w telewizji publicznej? Uczesanymi, grzecznymi i przezornymi? A może ich drobiazgowość przynosiła owoce bankom i ubezpieczycielom, którzy rekrutowali ich do działów analiz i aktuariatu? Czy mieli żony, uprawiali seks i płodzili dzieci, czy raczej nadal wzdychali do dawno wydanych już za mąż pierwszych miłości? A może podkochiwali się skrycie w zbyt atrakcyjnych jak na nich kobietach? Krążyli wokół nich, osaczali, obserwowali, ścigali? Pewni, że ich uczucie przebiję w końcu skorupę obojętności, a ofiara zrozumie skalę swojej pomyłki? Może nadal sądzili, że w miłości – jak na klasówce z fizyki – wystarczy wykuć twierdzenia na blachę, wdrożyć żelazną logikę, a następnie linia po linii rozwiązać zadanie? Nie miała pojęcia.

Wbiegła do domu, zamknęła za sobą drzwi i ignorując fakt, że zostawia na podłodze mokre, błotniste ślady, ruszyła w stronę sypialni. Była przemoczona, zziębnięta i choć portret psychologiczny sprawcy rysował się teraz wyraźniej, ani trochę nie bliższa rozwiązania zagadki. Jedyne, co ją obecnie cieszyło, to perspektywa gorącego prysznicza i myśl, że wciąż jeszcze nie zaczęła wpadać w panikę. Zatrzymała się na linii wyścielającego sypialnię dywanu i zdjęła kalosze. Co za szaleństwo! Po co w ogóle postanowiła wychodzić z domu? Nie spodziewała się chyba, że podglądacz zostawił jej jakąś wiadomość? Nie było też raczej szansy, że wciąż siedzi zaszyty w ogrodzie. Po co miałby to robić? Jeśli chodziło wyłącznie o podglądanie, dostał tej nocy wszystko, czego tylko zapragnął. W zasadzie nie musiał nawet wchodzić do środka. Rolety nie były spuszczone, a widok przez okna byłby o niebo lepszy niż obserwowanie ich z korytarza.

Stojąc pod gorącym strumieniem, zastanawiała się chwilę, czy wezwać policję, ale szybko zarzucała te rozważania na rzecz bezmyślności. Wniosków miała w głowie aż nadto, a jednak nic z nich nie wynikało. Zdecydowanie lepiej było wyprzeć je z głowy. Pozwolić, by woda płynęła po ciele, kojąc nerwy i zmywając piekące w gardle wspomnienia. Klaustrofobiczny epizod i suche torsje. Wizję patrzącego na jej pośladki zboczeńca i myśl, że traktował jej życie jak własny teatr. Ekskluzywny,

bo grany wyłącznie dla niego i z prawem wejścia na scenę. Show, którego jednoosobowa widowia mogła się raczyć w trakcie spektaklu chipsami, a aktorzy nie wiedzieli, że nie są na próbie.

Potrząsnęła głową, próbując odpędzić natrętne myśli, ale bez rezultatu. Obrazy napływały jej pod powieki i przypominały uporczywie o swoim istnieniu. Niepodatne na próby odcięcia się od nich i wyparcia z pamięci. Obsesyjne, natarczywe, nachalne. Niezmordowane w swoim biegu, nie-poddające się i systematyczne niczym jej psychopatyczny inwigilator. Poddała się i sięgnęła po szampon. Skoro musiały ją prześladować, to może przynajmniej uda się złożyć je w całość? Wyciągnąć wnioski, które przybliżą prawdę? A zatem? Czy są jakieś konkluzje?

Z pewnością osoba, która odwiedziła ją w nocy, była tym samym intruzem, który rozwiercił uprzednio zamki i porozwieszał w ogrodzie balony. Bezspornie nie była to również Teresa. Gdyby chodziło o zdobycie dowodów na niewierność Tomasza, zdjęcia zrobione przez okno by wystarczyły. Zresztą żaden detektyw, którego mogłaby nasłać, nie poważyłby się na włamanie do domu. A zatem kto chciałby ich obserwować? Nie pozorując zwykłego włamania i nie próbując tuszować faktu, że jedyne, o co chodziło, to oglądanie ich nago w sypialni? Fakt, że nie mogła podejrzewać Teresy, nie czynił całej sytuacji ani trochę łatwiejszą. Może kierowała nią nieco przesadna megalomania, jeśli sądziła, że chodzi wyłącznie o widok jej seksu z innym mężczyzną, ale póki co żaden lepszy scenariusz nie przychodził jej jakoś do głowy. Tak jakby jej życie erotyczne i romans z Mejerem były główną osią ostatnich wydarzeń i wiązały się bezpośrednio z intruzem. Poczynając od rozwieszonych w ogrodzie balonów, a na podglądaniu kochanków kończąc. Oczywiście nie mogła wykluczać, że dewiant zagląda jej w okna również wtedy, gdy jest w domu sama, ale jeśli tak było, to widok ten nie prowokował go do żadnego gwałtownego działania. Akcja nabierała tempa dopiero wtedy, kiedy w domu pojawiał się Tomek.

Splukała z siebie resztki piany, zakręciła wodę i zawinęła się w ręcznik. W szufladzie nocnego stolika wciąż były notatki zrobione wraz z Martą. Wyjęła je i rzuciła obok siebie na łóżko w nadziei, że odgrzebana lista podejrzanych pozwoli na łatwiejsze uporządkowanie kompletnego myślowego chaosu. Kempa? Kryski? Teresa? Wszyscy troje wydawali się teraz mało prawdopodobni. Nie była w stanie wyobrazić sobie, by Przemek lub Marcin zakradali się nocą do jej sypialni. Zwłaszcza ten drugi. Kempa pasował psychologicznie i pewnie z chęcią zająłby miejsce Mejera, ale czy wszedłby przez okno? Był zbyt ostrożny, by tak szarżować. Cwany, cyniczny, drapieżny – owszem. Ale nie brawurowy. Nie miał też samochodu.

Poczuła, że ręce znów jej się trzęsą, a świeżo umyte ciało zaczyna się pocić. Musiała przestać grzebać w notatkach i analizować tę sprawę. Dalsze dywagacje i tak były całkiem jałowe, a niepokój, jaki budziły, był ponad jej siły. Nie mogła po raz kolejny dostać torsji ani ataku paniki. Nie w sytuacji, gdy w ścianie zionęła dziura po oknie, a zamki wciąż były zepsute. Nie w perspektywie kolejnej nocy, którą miała spędzić w domu samotnie. Nie teraz. Dzisiaj musiała być silna. Panować nad sobą i trzymać się w pionie. Nie ulegać uporczywym myślom i paranoicznym stanom, w jakie ją w końcu wpędzały. Zacząć coś robić. Cokolwiek, co zajmie jej myśli i da choć iluzję panowania nad sytuacją.

Sięgnęła po telefon i zaczęła przeglądać internet w poszukiwaniu numeru. Pogotowie zamkowe, usługi ślusarskie. Głos młodego mężczyzny i obietnica, że przyjedzie w godzinę. Ubranie, makijaż, kawa, świeża woda dla kota, wyczyszczona z brudu futryna sypialni i ślady dłoni wytarte starannie ze ściany w kotłowni. Domofon, znany jej głos i sympatyczny facet ze skrzynką narzędzi, zestawem wkładek oraz pełnymi troski oczami. Jej uśmiech i jego znaczące milczenie. Ruch głową, śrubokręt, ponowne skinienie. Nie ma żadnego problemu. Typowy zamek, który łatwo zastąpić. Okno też jej naprawi. Jeśli zechce, rzecz jasna. Dwa nowe zamki, sześć kluczy. Sprawne dłonie i kojące uśmiechy. Spokój płynący z obecności drugiego człowieka i wolna od lęków głowa. Głębokie oddechy, umykające błyskawicznie minuty. Jego wizyta w najbliższym markecie i nerwowe odkurzanie podłogi. Powrót mężczyzny i kolejna fala spokoju. Triumfalny gest pokazujący jej trzymane w ręce zawiasy do okna i szerokie uśmiechy ulgi. A potem już tylko spokój. Kilkaset złotych i uścisk dłoni. Krzepiące spojrzenie na pożegnanie i machająca jej jeszcze spod furtki ręka. Tempo wydarzeń i ukojenie płynące z życzliwości obcego człowieka. Z jego dyskretnego milczenia i dodających otuchy uśmiechów. Z ciepłego dotyku jego dłoni, która ujęła jej rękę silniej i dłużej, niż czynią to nieznajomi.

Świadomość, że w końcu zrobiła coś, by się ochronić przed włamywaczem, dodała jej siły i sprawiła, że zamiast strachu zaczęła odczuwać krążącą przyjemnie w żyłach niepokorną agresję oraz pierwsze nuty niezakłóconej lękiem wrogości. Stojąc przy blacie i krojąc warzywa, uśmiechała się do siebie zadowolona z naprawionego okna, nowych zamków oraz własnego samopoczucia. Jeśli ktokolwiek uważał, że da się tak łatwo zaszczuć, to mocno się mylił. Nie zamierzała się poddać, zrezygnować z romansu z Tomkiem, swojego życia czy tego domu. Fakt, że jakiś zdeprawowany oszołom traktował ich romans jak własny film porno, w żaden sposób nie mógł Tomkowi zagrozić. Przeciwnie, utwierdzał ją tylko w przekornym postanowieniu drażnienia podglądacza znakomitym nastrojem, wyuzdanym, namiętym seksem oraz rzeszą kolejnych orgazmów. Nawet jeśli miałyby je zacząć udawać.

Odłożyła nóż i pochyliła się, by wyjąć z szafki garnek, kiedy przy drzwiach odezwał się dzwonek domofonu. Przekonana, że spec od zamków zapomniał któregoś ze swoich narzędzi, pobiegła do holu i bez wahania wcisnęła guzik. Głos w interkomie chrząknął niewyraźne „dziękuję”, a rozmazana twarz nieznanego mężczyzny przesunęła się po ekranie i zniknęła, zanim zdołała cokolwiek powiedzieć. Zuchwała pewność siebie, która zaczynała już w niej kiełkować, zdechła w ułamku sekundy, przywracając ją do stanu nerwowego rozchwiania, w jakim zastał ją ślusarz. Rozejrzała się w panice dokoła, wiedząc, że za pół minuty ktoś zapuka do drzwi, a ona będzie musiała podjąć decyzję, czy wpuścić nieznanego do środka. Wciąż nie mogąc się zdecydować, ruszyła biegiem do kuchni i wsunęła do jednej kieszeni leżący na blacie pilot antynapadu, a do drugiej gaz pieprzowy, który dostała na urodziny od Marty. Zanim zdążyła wrócić, w holu rozległo się donośne pukanie, a przez mleczną szybę zaczęły przebijać dwie rosłe, męskie sylwetki. Podeszła powoli i kładąc rękę na kłamce, spytała drżącym ze strachu głosem:

– Kto tam?

– Policja. Proszę otworzyć!

Głos męczyzny zamiast ją uspokoić, tylko spotęgował histerię, ale posłusznie przekręciła klucz w zamku i uchyliła drzwi. W szparze dostrzegła dwóch mężczyzn, z których każdy trzymał przed sobą odznakę. Stojący bliżej spojrział jej w oczy i uśmiechnął się uspokajająco.

– Młodszy inspektor Grzegorz Wojnowicz i starszy aspirant Jarosław Magiera, Druga Komenda Rejonowa Policji w Warszawie. – Wysunął w jej stronę legitymację i pozwolił, aby chwyciła ją w palce i obejrzała dokładnie. – Czy możemy z panią pomówić?

Otworzyła drzwi szerzej i wskazała ręką drogę do środka.

– Zapraszam.

Mężczyźni weszli i przez moment rozglądali się po imponującym holu, po czym ruszyli zgodnie we wskazanym przez nią kierunku.

– Możemy usiąść? – Starszy policjant skłonił się z kurtuazją, czekając na zaproszenie.

– Oczywiście. Jak mogę pomóc?

– Czy zna pani Marka Woźniaka?

Otworzyła szeroko oczy zaskoczona takim obrotem wydarzeń i milczała, licząc, że może powie-
dzą coś więcej. Niestety, żaden z mężczyzn się nie odezwał. Patrzyli tylko na nią w skupieniu, a starszy sięgnął po postawioną na podłodze aktówkę i zaczął z niej wydobywać długopis i notes.

– Marka tu nie ma. Sprzedał mi dom kilka tygodni temu.

– Kiedy dokładnie? – Mężczyzna popatrzył na nią spokojnie i zaczął notować w małym czar-
nym zeszycie.

– Umowę podpisaliśmy dziewiętnastego listopada.

– Czy ma pani odpis aktu notarialnego?

– Oczywiście! – Uniosła się lekko w przekonaniu, że będą chcieli niezwłocznie zobaczyć doku-
ment, ale aspirant uspokoił ją dłonią, dając jednoznacznie do zrozumienia, że to może poczekać.

– Czy wtedy widziała go pani po raz ostatni?

– Nie. Wydawał mi przecież dom i był tu w dniu przeprowadzki. A potem jako mój gość. – Po-
czuła, że czerwienieje po cebulki włosów, tak jakby fakt, że zaprosiła Marka do siebie, mógł rzucić
na nią jakieś złe światło. – Czy mogę zapytać, dlaczego panowie o to pytają? Czy coś się stało?

– Kiedy dokładnie widziała go pani po raz ostatni? – Inspektor zignorował jej pytanie, ale
uśmiechnął się miękko, jakby chciał w ten sposób złagodzić zasadniczy ton głosu.

– Ósmego grudnia. Dokładnie rzecz biorąc, z ósmego na dziewiątego grudnia. Urządzałam pa-
rapetówkę.

– W tym domu?

– Innego chwilowo nie mam. Czy coś się stało?

– Czy wie pani, gdzie może teraz przebywać? – Mężczyźni wciąż ignorowali zadawane przez nią
pytanie. Inspektor skrobał coś w swoim notesie, a młodszy od niego aspirant Magiera nie odrywał
od niej swoich błękitnych oczu. – Może zostawił pani swój adres?

– Wiem, gdzie może przebywać – parsknęła zirytowana – ale nie mam pojęcia, w jakim celu jest panom potrzebna ta informacja. Ani czy jestem przesłuchiwana, czy może wpadliście tutaj panowie z miłą, towarzyską wizytą.

Starszy mężczyzna oderwał wzrok od notesu i przestał pisać. Przez moment lustrował ją wzrokiem, aż w końcu uśmiechnął się lekko, odłożył długopis i nachylając się do przodu, powiedział spokojnie:

– Prowadzimy postępowanie sprawdzające w związku z zawiadomieniem o popełnieniu przestępstwa. Czy pani pracuje dla Marka Woźniaka?

Przez długą chwilę nie była w stanie zapanować nad rozchylonymi ze zdumienia ustami. Marek był mężczyzną, którego mogła podejrzewać o wiele, ale jej hipotezy szłyby raczej w stronę grzechu nieumiarkowania w konsumpcji niż przestępstw zagrożonych ograniczeniem czy pozbawieniem wolności. Myśl, że mógłby być pensjonariuszem więziennym, zwyczajnie nie mieściła się w głowie. Ten Marek? Wielbiciel szampana, nowoczesnej architektury, drogich ciuchów i ostentacyjnych zegarków? Marek, który rozmawiał z nią zawsze z taką galanterią, imponował swoją hojnością i manierami? Który flirtował z nią, nie przekraczając nigdy granic dobrego smaku, i sprawiał, że czuła się przy nim nie dość światowa i elegancka? Ten Marek Woźniak? Spojrzała w oczy inspektora Wojnowicza i aspiranta Magiery, poszukując jakichś dodatkowych wyjaśnień, ale oni siedzieli tylko spokojnie, nie odzywali się ani słowem i śledzili teraz każdy jej gest i reakcję.

– To chyba jakaś pomyłka...? – zaryzykowała niepewnie. – Może chodzi o innego Marka Woźniaka?

Starszy mężczyzna uśmiechnął się z lekkim politowaniem i pochylił w jej stronę.

– Nie ma żadnej pomyłki. Czy pani dla niego pracuje? A może coś panią z nim łączy? Jeśli tak, proszę nam o tym powiedzieć. Jest pani całkowicie bezpieczna.

– Co proszę?! – Jego słowa zamiast oczekiwanego uspokojenia wywołały strach. – Jak to jestem bezpieczna? O czym pan mówi?!

Inspektor przestał się uśmiechać i teraz to on spoglądał na nią z wyraźnym zdumieniem. Jej reakcja na pytanie o to, kiedy widziała ostatnio Woźniaka, wskazywała, że coś faktycznie było na rzeczy. Zarumieniła się wtedy i wyraźnie zmieszala. Ale gdy zaczął ją przypierać do muru, sytuacja się odwróciła. Był niemal pewien, że nie wiedziała, o co pytają ani jaki kontekst ma w jego ustach sugestia zatrudnienia w tym domu. Jedynym zdaniem, na które zareagowała nerwowo, było to o bezpieczeństwie. Tak jakby od dawna nie czuła się pewnie, ale dopiero teraz zaczęła wiązać ten stan z Woźniakiem.

– Proszę pani – zaczął powoli, ostrożnie dobierając słowa i obserwując uważnie jej reakcję – proszę się uspokoić. Z tego, co wiemy, pan Woźniak nigdy nie stosował przemocy. Nie powiedziałem nawet, że był za cokolwiek skazany...

Zawiesił głos, mając nadzieję, że teraz powie coś więcej, ale ona zdążyła się już opanować i tylko kiwnęła głową.

– Nie, nie powiedział pan nic takiego.

– Czy zatem wie pani, gdzie moglibyśmy go znaleźć?

– Proszę chwileczkę poczekać.

Wstała od stołu i nie czekając na jego reakcję, ruszyła przez hol do gabinetu. Skoro i tak miała im pokazać akt notarialny, był to właściwy moment, żeby go przynieść. Chciała zyskać na czasie i zastanowić się przez chwilę spokojnie. Wiedziała, że od policji nie dowie się dzisiaj nic więcej, ale to nie stanowiło żadnego problemu. Marta z pewnością bez większych oporów sprawdzi historię Marka i wyłuszczy jej, dlaczego teraz go szukali. Martwiło ją coś zupełnie innego. Pełne namysłu spojrzenie mężczyzny, kiedy zapewniał ją przed momentem, że nic jej ze strony Woźniaka nie grozi. Tak jakby nie wierzył w prawdziwość tej tezy. Jakby z jakiegoś powodu podejrzewał, że może być w niebezpieczeństwie.

Sięgnęła po stojący w szafie segregator i machinalnie wyjęła z niego papiery, po czym powoli wróciła do stołu.

– Proszę. – Wyciągnęła rękę w stronę Magiery i wręczyła mu odpis umowy. – Niech pan przeczyta.

Aspirant rozłożył przed sobą dokument i zaczął przebiegać go wzrokiem. W końcu trącił lekko łokciem siedzącego obok starszego mężczyznę i pokazał mu fragment dotyczący zamiany domów i finansowanej kredytem nadwyżki ceny. Inspektor skinął i Magiera zaczął coś znowu notować w kajecie.

– A zatem oddała mu pani swój poprzedni dom w rozliczeniu?

Kiwnęła głową.

– To bardzo dogodne.

– Tak, oszczędziłam sobie trudów sprzedaży. – Uśmiechnęła się lekko, wiedząc dokładnie, że jego uwaga dotyczy czegoś innego.

– No właśnie. Sprzedaż domu w dzisiejszych czasach nie jest znowu aż taka prosta. Wygląda na to, że obojgu wam się udało. Czy sądzi pani, że Marek Woźniak może obecnie przebywać w pani poprzednim domu?

– Nie mam pojęcia. Nie dyskutowałam z Markiem jego planów, nie wiem, gdzie mieszka, ani nie mam z nim romansu, jak raczył pan insynuować.

– Nic takiego nie dawałem do zrozumienia. Pytałem natomiast, czy pani dla niego pracuje.

– Nie, proszę pana, nie pracuję dla Marka. Nie zajmuję się sprzedażą nieruchomości, nie znam na budowlanca ani na aranżacji ogrodów. Jestem członkiem zarządu w wydawnictwie prasowym, co z łatwością jesteście panowie w stanie potwierdzić, zaglądając w rejestr sądowy.

– W porządku. – Wojnowicz skinął głową i podniósł się z krzesła.

– Nie, proszę pana, to nie jest w porządku. Przychodźcie tu panowie wieczorem w sobotę, przepytujecie mnie o Woźniaka i sugerujecie, że coś mnie może z nim łączyć. A na osłodę dodajecie, że nic mi się raczej nie stanie. Nie wyjaśniając w żaden sposób, o co chodzi i jakie niebezpieczeństwo mogłoby potencjalnie mi grozić. To zdecydowanie nie jest w porządku.

– Ma pani rację, to nie jest w porządku. – W głosie policjanta po raz pierwszy od wejścia do domu zabrzmiało lekkie napięcie. – Jedyne, o czym mogę panią zapewnić, to fakt, że nie mamy żadnych powodów, by podejrzewać, że może coś pani grozić. Przykro mi, że nie mogę powiedzieć nic więcej.

– Rozumiem, lecz wcale mi to nie pomaga.

Wojnowicz popatrzył na nią w skupieniu, postawił aktówkę na stole i zaczął chować swój czarny zeszytek.

– Nie przesłuchiwałam pani. W żadnym charakterze. Po prostu sprawdzamy fakty. Gdyby jednak cokolwiek panią niepokoiło, zawsze może pani do mnie zadzwonić.

Wydobył z teczki wizytówkę, wysunął w jej stronę, a gdy nie wzięła jej od niego, położył kartonik na blacie.

– Gdyby się działo cokolwiek, co wzbudzi pani niepokój, proszę zadzwonić. To nie jest, co prawda, nasz rejon, ale zawsze staram się pomóc.

Ruszył w stronę drzwi, a Magiera z ociąganiem poszedł za nim, rozglądając się jeszcze dokoła.

– Piękny dom. – Uśmiechnął się do niej łagodnie.

Kiwnęła głową i zrównała z nim w drodze do drzwi.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – zatrzymał się na moment i zaczął szeptać, tak aby przełożony nie mógł usłyszeć, co mówi – ale największą przyjemnością, jaką mamy z tej sprawy, jest oglądanie rezydencji Woźniaka. Wszystkie są imponujące.

Uśmiechnął się przepaszająco i ponaglany twardym spojrzeniem drugiego mężczyzny, ruszył do wyjścia.

– Do widzenia. I przepraszamy za najście.

Wojnowicz uklonił się, otworzył drzwi i przepuścił Magierę przed sobą, jakby chciał zyskać pewność, że kolega nic więcej nie powie. Poczekała, aż dojdą do furtki, otworzyła im bramę, a potem starannie zamknęła drzwi wejściowe i wróciła do kuchni. Na blacie wciąż leżały pokrojone w kostkę warzywa, ale gotowanie było ostatnią rzeczą, na jaką miała w tej chwili ochotę. Odstawiła garnek z powrotem do szafki i podeszła do lodówki w poszukiwaniu czegoś, co nie wymagało stania przy kuchni. Na wysokości jej oczu chłodziła się ostatnia z pozostawionych jej przez Marka butelek szampana.

Przez całą noc nie kładła się do łóżka. Chodziła po ciemnym domu i nasłuchiwała dochodzących z ogrodu odgłosów. Stefan, który przez pierwsze godziny towarzyszył jej wiernie, w końcu skapitulował i zwinięty w kłębek spał na najwyższej części kominka, strzygąc niespokojnie uszami i nawet przez sen ulegając jej nerwowości. Wszędzie panował spokój, a światło wpuszczonych w taras i chodniki lamp oświetlało bryłę budynku, rzucając jasne plamy na rosnące najbliżej domu drzewa. Gdyby ktokolwiek się skradał, z pewnością by go zauważyła. Nikt się jednak nie pojawił, a jedynymi słyszаныmi przez nią dźwiękami był własny oddech, szuranie stóp po podłodze i kapanie topniejących na dachu resztek pierwszego śniegu. W swoim obchodzie po domu wypracowała w końcu marszrutę omijającą, co prawda, garaż, ale pozwalającą na kontrolowanie każdej strony posesji. Gabinet dawał pełny widok na frontową część działki oraz prowadzący od bramy chodnik. Okna kuchni i spiżarni, podobnie jak te na południowej ścianie salonu, wychodziły na spokojną, porośniętą niższymi drzewami część terenu, a pozostała flanką szyb – na wschód, skąd spodziewała się nadejścia intruza. Dalej było okno w garderobie oraz wychodzące na północ sypialnie, łazienki i pokoje dla gości. Powrót do gabinetu i kolejna inspekcja ogrodu.

Przy każdym oknie skupiała wzrok na kilkadziesiąt sekund, śledząc uważnie poruszające się cienie i poszukując ukrywającej się za pniami sylwetki. Aż do momentu, gdy w oczach zaczynało jej ciemnieć i musiała spuścić powieki, pod którymi natychmiast zaczynały wirować jaskrawe płatki neurotycznego confetti. Wtedy ruszała dalej – porażona myślą, że w czasie, gdy ona obserwowała ten skraj ogrodu, intruz mógł właśnie przeskoczyć przez ogrodzenie i skradać się z innej strony.

Chwilami zastanawiała się, na ile cała ta sytuacja ją denerwuje, ale zawsze dochodziła do przekonania, że panuje nad wszystkim. Była sprytna, naprawiając tak szybko okno, zmieniając zamki i decydując się na czuwanie, którego prześladowca z pewnością nie był w stanie przewidzieć. Do tej pory wchodził na jej teren bez przeszkód, a ona nigdy nie zrobiła niczego, aby mu w tym choć trochę przeszkodzić. Nie było najmniejszych powodów, by mógł sądzić, że tym razem będzie inaczej. A nawet jeśli była w swym toku myślenia naiwna, to i tak ona miała teraz nad wszystkim kontrolę. Jak długo nie spała, on nie mógł się tutaj przedostać. Wyłamać kolejnych okien i wejść do środka. Nie mógł tego zrobić, bo podobnie jak ona nie chciał tej konfrontacji. Pragnął ją tylko widzieć, nie skrzywdzić. Gdyby było inaczej, już dawno temu leżałaby w prosektorium. Sama lub w towarzystwie Mejera. A jednak było inaczej. Podglądacz nie był mordercą, złodziejem ani zasadzającym się na jej ciało sadystą. Był nieszkodliwym w gruncie rzeczy zboczeńcem. Smutnym mężczyzną wychodzącym z peep-show. Niemającym przyjaciół pracowitym kujonem. Z aspiracjami, lecz bez talentu. Godnym politowania, ulegającym słabości dewiantem.

O czwartej nad ranem bolały ją nogi, a oczy łzawiły, postanowiła więc przerwać swój obchód i usadowiła się w fotelu z twarzą zwróconą w stronę okien i wzrokiem wbitym w miejsce, w którym włamywacz sforsował płot dobie wczesniej. Nieporuszona tkwiła tak do momentu, gdy świt zaczął rozjaśniać horyzont, a niebo nad linią tuj zmieniło kolor na jasnoszary. Jak w malignie pod-

niosła się powoli z fotela i z trudem panując nad zdrętwiałymi nogami, ruszyła w stronę sypialni. Ktokolwiek był tu poprzedniej nocy, odsypiał dzisiaj trudy wczorajszej wyprawy.

Dotarła do łóżka, nacisnęła przycisk pilota i obserwowała, jak rolety opuszczają się bezszelestnie, odcinając ją od poruszających się za oknem drzew i padającego z zewnętrznych lamp światła. Dopiero gdy w pokoju zapanowała całkowita ciemność, sięgnęła po budzik i ustawiła go na dziesiątą. Zamknęła oczy i spróbowała się trochę rozluźnić, ale jej mięśnie wciąż były napięte, a pod powiekami nieustannie krążyły świecące jaskrawo płatki. Potarła twarz wierzchem dłoni i spojrzała w ciemność, walcząc z totalną pustką, jaka po wizycie policji zapanowała w jej głowie. Marek popełnił jakieś przestępstwo, ale ona nie musiała się go obawiać. On był przestępcą, a ona była bezpieczna. Powtarzała to zdanie, ale nie potrafiła wyciągnąć żadnego wniosku. Marek był przestępcą. Była bezpieczna. Jedno zdanie nie pasowało do drugiego, a jednak miała wrażenie, że się ze sobą nie kłóca. Fakt, że Woźniaka szukała policja, nie miał z nią przecież niczego wspólnego. Ani przez moment nie uwierzyła, że mógłby jej kiedykolwiek zagrozić. Kempa, Zalewski, Kryski – tak, Marek – nigdy.

Przetarła oczy i ponownie sięgnęła po pilota. Rolety zaczęły się powoli unosić, odsłaniając dolną część podświetlonego reflektorami okna i ciemniejące za szybą pnie drzew. Obserwowała ich powolny ruch, a w jej skołatanej zmęczeniem głowie zaczynało się powoli krystalizować zrozumienie, dlaczego podglądacz – zamiast zaglądać przez okno – wybrał ryzyko włamania do domu. Gdyby pozostał w tym miejscu, jeden rzut oka na szybę pozwoliliby im na demaskację intruza. Co oznaczało, że jego twarz była im znana. A przynajmniej jednemu z ich dwojga.

Otrzeźwiała i znów wstała z łóżka. Była prawie siódma, a trzy godziny snu nie mogły jej w niczym pomóc. Powlokła się z powrotem do kuchni i otworzyła lodówkę w poszukiwaniu red bulla. Przesunęła butelki z winem, poczuła w dłoni przyjemny chłód puszki, otworzyła ją bez wahania i stojąc w otwartych wciąż drzwiach, wypila połowę. Sięgnęła po kolejną i uzbrojona w odpowiednią dawkę tauryny wróciła do łóżka. Katalog sprawców znów się wydłużył. Tak jakby wszystkie godziny poświęcone uprzednio na rozważanie, kto stoi za tą zagadką, nie miały żadnego znaczenia. A zatem Teresa lub jej wysłannik, Kempa, Kryski i... Marek. Ktoś jeszcze? Może Zalewski? Odrzuciła tę tezę, przypomniawszy sobie, że spędził noc z Martą, a potem na powrót dodała do listy. Ostatecznie wyszedł z klubu sporo przed nimi, a przyjaciółka twierdziła, że rozstał się z nią na długo przed świtem. Potencjalnie zatem miał szansę tu dotrzeć, korzystając z idealnego alibi, jakie dawał mu seks z koleżanką. Westchnęła i sięgnęła do szuflady po listę gości imprezy. Poza wymienionymi już wcześniej nikt więcej nie rzucał się w oczy. Zgniotła puszkę i otworzyła kolejną. Kempa. Wciąż otwierał szpaler domniemanych sprawców ze swoimi kłamstwami, wynaturzoną potrzebą epatowania agresją i tajemniczą relacją z Kryskim. Czy powiedziała już o tym Marcie? Chyba nie. Miała zdać jej relację w drodze do klubu, ale przeglądana zawartość szafy i późniejsza scysja z Michałem kompletnie ją rozproszyły. Musi jej o tym powiedzieć. O tym, o wczorajszej nocy oraz wizycie policji. Może Marta coś z tego zrozumie. Rozluźniła się wreszcie i przekonana, że po dwóch porcjach red bulla nie ma szans na zaśnięcie, opadła na prześcieradło. Zamknęła oczy w nadziei, że

dzięki temu da im choć trochę odpocząć, i zaczęła robić zapamiętane z lekcji jogi ćwiczenia oddechowe. Zanim skończyła pierwszą dziesiątkę, zasnęła.

Marta dotarła wczesnym popołudniem w szampańskim nastroju i ze świeżo ułożonymi przez fryzjera włosami. Jej cera lśniła, a na ustach błąkał się bardzo dwuznaczny uśmiezek. Rozsiadła się na fotelu, podciągając kolana pod brodę, i przyjęła podaną przez Ankę filiżankę z herbatą.

– Koszmarnie wyglądasz! – zagaiła ze szczerością, którą w tym właśnie momencie powinna była sobie darować. – Co ci się stało?

Machnęła dłonią, dochodząc do wniosku, że nie może psuć Marcie wieczoru.

– Chyba nie przeżywasz tak wyznań Tomasza? Już ci mówiłam, co o tym sędzę: powinnaś się przyznać, że kochasz Mejera. On czeka tylko na gest z twojej strony, żeby porzucić Terenię.

Spojrzała na przyjaciółkę zmęczonym wzrokiem, zastanawiając się, jak długo jeszcze będzie jej wpierać uczucie, którego nie było. Przez ostatnią dobę jedyne myśli w jej głowie, które dotyczyły Mejera, były rozważaniami na temat możliwego uczestnictwa jego małżonki w nocnym włamaniu. O nim nie myślała w ogóle – ani w kategoriach ewentualnego sprawcy wydarzeń, ani nawet potencjalnego obrońcy. W całej tej chorej sprawie nie było dla niego miejsca. Nie zastanawiała się, czy może jej pomóc, jakie wnioski wysnułby z szeregu dowodów i poszlak ani kogo uznałby za podejrzanego. Jego opinie były bez znaczenia, podobnie jak nieistotna powoli stawała się trwałość jego małżeństwa. Jeśli istniała jakakolwiek szansa, że za włamaniem stoi Teresa bądź Michał, gotowa była zakończyć znajomość z Tomaszem w zamian za odzyskanie spokoju.

– Dlaczego brniesz w to wyparcie? – Marta fałszywie odczytała jej przygnębienie i dalej zapuszczała się w tezę, którą uznała za jedyną właściwą. – Przecież widzę, jak na siebie patrzycie...

Przerwała i spojrzała wnikliwie na Ankę.

– Nie chodzi o Tomka?

– Chodzi o coś zupełnie innego. Ale naprawdę nie chcę ci dzisiaj zawracać tym głowy. Powiedz, jak było z Michałem.

– Chyba sobie ze mnie żartujesz! Mów, o co chodzi!

Jej autorytarny głos nie dawał pola do dalszych dyskusji, a szanse na skierowanie teraz rozmowy na inne tory były zerowe, więc z ociąganiem zaczęła zdawać relację z ostatnich wydarzeń. Znając analityczny umysł i trzeźwość Marty, starała się nie pomijać żadnych szczegółów i nie nadawać im znaczeń, których nie była pewna. Przyjaciółka milczała, skupiona na wysłuchiwanej właśnie historii i wyjątkowo jak na nią niezdolna do wtrącenia jakiejś prawniczej uwagi. W którymś momencie wstała i zaczęła się przechadzać po salonie, próbując ułożyć opowieść Anki w jedną, logiczną całość. Wątki wymykały jej się jednak niesfornie, sprawiając wrażenie niepodatnego na jakąkolwiek syntezę chaosu. Lata pracy w prokuraturze nauczyły ją, że za takimi sprawami stoi zwykle ktoś dla ofiary najbliższy. Osoba dobrze jej znana, częstokroć członek rodziny. W przypadku Anki sprawa nie była tak prosta, bo jej rodzice mieszkali w Kanadzie, rodzeństwa nie miała, a były mąż wiódł teraz stateczne życie przy drugiej żonie i dwójce zrobionych jej dzieci. W puli pozostawali zatem mężczyźni aspirujący do roli kochanków oraz kompletne szajbusy. Psychopaci, na których wywołała

mimowolne, lecz piorunujące wrażenie. Kempa był idealnym, ale nie jedynym przykładem. Równie dobrze za sprawą mogli stać: Zalewski, Woźniak czy Mejer. Oraz osiemdziesiąt procent facetów, z którymi randkowała lub spała przez ostatnie dwa lata. A powodów straszenia mogło być mnóstwo.

Tak, osobiście wierzyła, że chodzi o zastraszenie. O złamanie psychiki, zaszczucie ofiary i satysfakcję płynącą z jej strachu. Każdy z panów mógł czerpać z tego korzyści. Mejer, bo osłabiona dawała szansę, że w końcu ulegnie. Zalewski – po to, by osiągnąć skutek dokładnie odwrotny. Marek – aby przekonać ją, że kompletne odludzie nie jest miejscem dla kobiet, oraz wybawić z kłopotu, przejmując z powrotem posiadłość po drastycznie zaniżonej cenie. I w końcu Kempa. Dla chorej satysfakcji, a może również roli potencjalnego wybawcy. Te same pobudki mogły kierować innymi. Osobiście wątpiła, by za sprawą stała Teresa. Nie wskazywała na to ani subtelna aluzja rozwieszonych w ogrodzie balonów, ani narastająca z dnia na dzień groza kolejnych wydarzeń. Zdradzana kobieta nie działała z premedytacją, tylko w afekcie. I z pewnością dążyła do skanalizowania swojej frustracji w sposób mniej od włamania drastyczny, lecz bardziej spektakularny. Po niej mogły się spodziewać awantury, pojawienia się w biurze lub nieudolnej próby śledzenia wiarołomnego małżonka. I nawet gdyby Terenia zdecydowała się ostatecznie – w co nie wierzyła – na detektywa, włamanie nie miałoby prawa zaistnieć.

Przez dłuższą chwilę rozważała jeszcze rolę Marcina w tej sprawie, ale o ile poprzednio pasował do układanki, to teraz wypadł poza krąg podejrzanych. Kryski był świetny w makiawelicznych, dworskich rozgrywkach, sianiu plotek i knutych przez siebie intrygach. Nie wątpiła, że dostrzegając w tym korzyść dla siebie, sprzedałby ich sekrety za marnych trzydzieści srebrników. Był nędzną, zazdrosną kanalią, lecz psychologicznie nie pasował do nocnych włamań i skoków przez ogrodzenia. Lubował się w scenariuszach wymagających czasochłonnego sączenia jadu i śnieżnobiałych rękawic. Ubłocone buty i forsowane nocami płoty nie wchodziły w jego przypadku w rachubę. Uznałby je za niefinezyjne, zbędne, a nawet szkodliwe dla jego wypielegnowanych dłoni, którymi musiałby później zmyć z butów błoto. Co więcej, jako jedyny w tym gronie Kryski nie palił.

Anka skończyła i przyglądała się miarowym krokom Marty, nie wrywając jej z zamyślenia. Twarz przyjaciółki – nawet bez zadawania na głos pytania – dawała jednoznaczną odpowiedź. Marta też nie wiedziała, co ani kto może się kryć za włamaniem. Nie była w stanie powiązać wątków i podać sprawcy na tacy. Zatem ciągle kręciły się w kółko. A jednak fakt, że mogła podzielić swój problem z kimś bliskim, sprawił, że poczuła się lepiej. Nawet jeśli wciąż nie znalazły rozwiązania zagadki, nie była z nią sama. Jej ręce przestały w końcu drżeć, a mózg znowu zaczynał pracować normalnie. Wychodziła z szoku i dopiero teraz zaczynała rozumieć, jak wielki stres niosła na swoich barkach. Przerzucenie połowy ciężaru na Martę pozwoliło ocenić wagę tego, co przytłaczało ją przez ostatnie godziny, i choć na chwilę podnieść się z kolan.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła na sofie, obserwując swoje długie nogi w obcisłych dżinsach i kolorowe skarpetki w romby. Ich widok skojarzył jej się z Markiem, nad którego czarnymi sneakersami od Prady dostrzegła kiedyś identyczny wzór w barwne kwadraty. Marek. Ostentacyjny, obnoszą-

cy się ze swoim bogactwem, wolny od wstydu z powodu demonstrowanej światu fortuny. Marek, który popchnął ją do kupienia tego domu, który ułatwił jej każdy etap transakcji, który nie przekraczał granic platonicznej adoracji i rozpieszczał ją nawet po przeprowadzce. Marek, który przez ostatnie miesiące okazał jej tyle dobrych uczuć i cierpliwie tłumaczył konieczność uzbrajania alarmu. Który chodził w otoczeniu stadka wytresowanych do walki amstaffów...

Uniosła się na kanapie opanowana nagłą myślą i przerwała przemarsz Marty wzdłuż i w poprzek salonu:

– Jak myślisz, dlaczego szukają Woźniaka?

Marta wzdrygnęła się lekko i spojrzała na nią z pytaniem we wzroku.

– Do czego zmierzasz?

– Marek ma paranoję. Psy, alarm, czujka na każdym oknie... To nie jest do końca normalne.

– Przeciwnie, to całkiem normalne. Dziwne, że nie ma goryla.

Spojrzała na przyjaciółkę zdziwiona jej twardym tonem i wolnym od wątpliwości stwierdzeniem. W jej świecie nikt nie dbał przesadnie o swoją prywatność, majątek czy bezpieczeństwo. Reakcje Marka wydawały się – na tle reszty znajomych – przerysowane i nierzeczywiste. Do tej pory sądziła, że niebezpieczeństwa omijają szerokim łukiem jej klasę. Że są zastrzeżone dla setki najbogatszych Polaków oraz nizin społecznych, na których konkubenci-alkoholicy tłuką swoje kobiety, a bieda popycha ludzi do mordowania dzieci i przechowywania ich w beczkach na tyłach sławojki. Dziś zrozumiała, że była w błędzie, ale wciąż – niezależnie od ostatnich wydarzeń – nie podzielała pesymizmu, który cechował Martę.

– Zmierzam do tego, że to, co się dzieje, może mieć związek z Woźniakiem, nie ze mną. Może to jego ktoś szuka? Ktoś poza policją?

Marta kiwnęła głową.

– Całkiem możliwe.

– Masz jakiś pomysł? Jakie przestępstwo mógłby popełnić?

– Przede wszystkim nie zakładałabym, że koledzy z policji powiedzieli ci prawdę. – Ramiona Marty uniosły się lekko i opadły na swoje miejsce. – Musieli jakoś uzasadnić swoją wizytę w tym domu, a z tego, co mówisz, nie wynikało, że szukają podejrzanego. Zresztą w takim wypadku pojawiłby się u ciebie lokalny policjant, a nie oficer z komendy w Warszawie. Pamiętasz jego nazwisko?

Oczy Anki były teraz szeroko otwarte, a usta rozchyliły się lekko w zdumieniu. Ani przez moment nie zakładała, że przedstawiona jej przez policję wersja wydarzeń mogła się różnić z prawdą. W konfrontacji ze sceptycznym spojrzeniem Marty czuła się teraz jak pensjonarka. Czy zawsze była taka naiwna?

– Młodszy inspektor Wojnowicz i starszy aspirant Magiera. Druga Komenda Rejonowa w Warszawie.

Marta spoglądała teraz na nią z nieukrywanym politowaniem.

– I ty naprawdę sądziłaś, że dwóch panów w tej randze chodzi po domach, szukając Woźniaka?

– Jak ciebie słucham, to już nie wierzę.

– I słusznie. Widziałaś legitymacje?

– Tak, pokazali odznaki.

– Pytam, czy je widziałaś. Bo po dziesięciu latach w prokuraturze powinnam chyba znać ich nazwiska?

– Chcesz mi powiedzieć, że rozmawiałam z przebierańcami?

– Tego nie twierdzę. Sprawdzę, czy funkcjonariusze o takich nazwiskach istnieją, ale dopiero jak wrócę do domu. Na razie jedynie wątpię, czy powiedzieli ci prawdę. Jeśli faktycznie byli z komendy przy Malczewskiego, to powinnam kojarzyć nazwiska. Co chcieli wiedzieć?

– Kiedy ostatnio widziałam Marka.

– Coś jeszcze?

– Starszy powiedział, że nie mam się czego obawiać. I sugerował, że pewnie sypiam z Woźniakiem.

– To wszystko?

– Tak. Obejrżeli akt notarialny i sobie poszli. Magiera powiedział mi tylko, że wizytują wszystkie nieruchomości, które Marek sprzedawał.

– Ciekawe...

– Tak, dosyć ciekawe.

– Ciekawe jest to, że pokazałaś im akt notarialny. Masz go gdzieś tutaj?

Anka podniosła się z sofy i podała przyjaciółce pozostawiony na stole dokument.

– Chciałam im tylko pokazać, że to umowa zamiany. Więc jeśli szukają Woźniaka, to jest spora szansa, że mieszka pod moim poprzednim adresem.

Marta kiwnęła głową, przeskanowała wskazaną stronę i bez słowa ruszyła do kuchni. Sprawa robiła się coraz dziwniejsza. Może faktycznie Wojnowicz z Magierą istnieli, a fakt, że nie знаła ich nazwisk, był tylko wynikiem przypadku? Miała nadzieję, że tak właśnie było, bo myśl, że Ania pokazała nieznanym facetom umowę ujawniającą warunki zamiany domów, kwotę kredytu i wszystkie jej dane przyprawiała ją o ból głowy. Czy wszyscy ludzie byli równie naiwni? Zajrzała do lodówki i zdegustowana ziejącą w niej pustką wyciągnęła kilka marchewek. Zanim Anka dotarła do kuchni, stała przy blacie, szatkując warzywa na cienkie jak papier plasterki.

– Nie wiem, skąd taki pomysł, ale pytali jeszcze, czy dla niego pracuję.

– Dla Marka? – Nóż w rękach Marty zatrzymał się, a jej wzrok przesunął na wciąż zdumioną twarz Anki. – Jako kto? prostytutka?

Ania skrzywiła usta i zachnęła się lekko.

– A czy ja wyglądam na ulicznicę?

Marta przyjrzała się jej z namysłem.

– Nie. Raczej na utrzymankę lub luksusową eskortę. W tych kategoriach miałybyś szanse.

Zaśmiała się z niedorzeczności pomysłu, spodziewając, że przyjaciółka także wybuchnie śmiechem, wzrok Marty był jednak całkowicie poważny. A zatem w profesjonalnych prawniczych oczach wyglądała na kurwę. Miała szanse w tej branży. Woźniak – zamiast przyjaznym facetem – był zwy-

czajnym bandziorem i powinien zatrudniać goryla. A funkcjonariusze policji, co do których nie było nawet pewności, czy są nimi faktycznie, przyszli tu, żeby zebrać dowody. Przeciwno niej i Markowi.

Przytrzymała się blatu i jeszcze raz popatrzyła na Martę, która znowu kroїła marchewki. Czy jej świat naprawdę w ten sposób wyglądał? Każdy był zwyrodnialcem, przestępcą i podejrzanym? Nawet jej przyjaciele? Czy trzeba było prostego w gruncie rzeczy impulsu, by wydobyć tę mroczność i usłyszeć prawdę o sobie? Odartą ze złudzeń, bezwzględna i potwornie krzywdzącą ocenę własnej osoby. Już teraz nie przyjaciółki, lecz kandydatki na utrzymankę zbierającego haracze mafiosa. Ścisnęła usta i powstrzymując płacz, poszła w stronę sypialni. Jej głowa pulsowała nieznośnym uciskiem, żołądek falował, a ręce znowu się trzęsły. Tym razem nie z obrzydzenia czy strachu, tylko z osamotnienia i rozczulenia nad sobą.

Przez dłuższą chwilę leżała na łóżku i słuchała rytmicznego stukania noża o deskę, szurających po kuchni garnków, lejącej się wody i krzątanimy. Marta gotowała jej obiad, ale czy naprawdę robiła to z troski? Gotowanie ją uspokajało. Zawsze gdy przegrywała sprawę, rzucał ją facet albo obrywała od szefa, stawała przy garnkach. Teraz było tak samo. Pocięty w plasterki kilogram marchwi nie był posiłkiem, tylko terapią. Próbą uspokojenia myśli i oderwania się choć na chwilę od dręczących ją wątpliwości. Z nią, Anką, nie miał nic wspólnego.

Przewróciła się na bok, czując, że ucisk w głowie przechodzi powoli w migrenę, oczy zaczynają pulsować, a przepona drętwieje w napadzie histerycznego lęku i sprawia wrażenie, jakby za moment miała obumrzeć i pozostawić na środku jej tułowia wielką, ziejącą dziurę. Myśli o Marcie zniknęły, podobnie jak te dotyczące Woźniaka, wyważonego okna i jedzącego chipsy pod płotem intruza. Wszystko to w konfrontacji z głuchym łoskotem w czaszce i przerażającą pustką za mostkiem było nieważne. Chciała tylko, by ból zniknął. A jeśli by to nie było możliwe, to żeby sama mogła się teraz rozpląnąć. Zdezintegrować, rozsypać na pojedyncze atomy i rozwiać w próżni. Zapaść w poduszki i już się z nich nie podnieść. Zasnąć. Choć na chwilę trafić do świata bez lęku, obciążeń wynikających z romansu z Mejerem, złośliwych spojrzeń Michała oraz zawiści Marcina. Świata, w którym nikt nie oceniał kobiet po ich wyglądzie i nie szacował ich szans na karierę w zawodzie dziwki. Gdzie byłeś niewinny, jak długo dowody nie świadczyły bezsprzecznie, że jest inaczej, a ludzie nie wskakiwali ci nocą do domu, by zajrzeć pod prześcieradło.

Gula w gardle piekła ją coraz bardziej, nieznośnie hamując oddech i coraz wyżej podnosząc ciśnienie. W końcu nie wytrzymała, a z jej ust wyrwał się rozpaczliwy, dziecięcy szloch. Bardziej niż płacz przypominający ostatni skowyt zaszczutego, rannego zwierzęcia. Dramatyczny, wysoki, urywający się bezdechem w połowie. Krzyk bólu, desperacji, rozpacz i strachu. Lament, jakiego dotąd nie znała.

Marta przybiegła, stanęła w drzwiach i spojrzała na nią pełnym przerażonego współczucia wzrokiem, po czym podeszła powoli i przysiadłszy niepewnie na krawędzi łóżka, uniosła rękę w próbie ukojenia jej płaczu dotykiem. Kiedy dostrzegła wyraz twarzy Anki, jej dłoń zawisła w powietrzu i wycofała się powoli na skraj materaca.

– Przepraszam. To, co powiedziałam ci w kuchni, było kurewskie. Jestem suką, a nie kobietą. Głupią pizdą, która nie zasługuje na przyjaźń.

Ania uniosła twarz, spojrzała na nią i znowu załkała skowytem złapanego we wnyki zwierzęcia. Po policzkach Marty potoczyły się duże, gorące łzy. Nie sądziła, że jest jeszcze zdolna do płaczu, ale widok Anki w tym stanie zwyczajnie ją przerósł. Nie była na niego gotowa i znów czuła się jak mała, uczesana w porządne, zakończone kolorowymi gumkami warkocze dziewczynka. Trzymana przez babcię za rękę i prowadzona przez cmentarz za niesionymi przez obcych mężczyzn trumnami rodziców. Jak sierota, która mogła liczyć wyłącznie na siebie, a nocami łkać cicho w poduszkę, w nadziei, że nikt nie usłyszy jej dziecięcej rozpaczki. Była sama aż do chwili poznania Anki. Anki, którą teraz traciła tylko dlatego, że była zbyt głupia, by rozwiązać zagadkę.

Przez kolejny tydzień nic się nie działo. Tomek przyjeżdżał i odjeżdżał, nocując teraz w Izabelinie, gdzie cyzelował kolejne kawalki na płytę. Marta dzwoniła regularnie, dopytując, czy wszystko w porządku, i usiłując bez skutku przekonać ją, by się do niej przeniosła, a Marcin dwukrotnie próbował wyciągnąć ją gdzieś na kawę, celem streszczenia swojego romansu z nowo poznanym dyrektorem sprzedaży dużej sieci handlowej. Zbywała oboje. Niezdolna ani do pełnych beztroski plotek, ani dalszego roztrząsania hipotetycznych powodów nękania ją przez kogoś. Rada z chwil, kiedy telefon milczał i nikt niczego od niej nie oczekiwał. Niechętna jakimkolwiek spotkaniom, rozmowom czy interakcjom z drugim człowiekiem. Zadowolona z faktu, że Tomek nie naciska, by znów zrobiła z nim rundę po klubach, a Kaśka bardziej niż jej sprawami interesuje się uwodzeniem Mariusza i koniecznością porzucenia pięknego trenera fitnessu. Przepelniona prawdziwą ulgą, gdy Kempa zawiadomił ją, że wyjeżdża z Warszawy i jest zmuszony przenieść ich spotkanie o dwa tygodnie.

Po pracy wracała teraz prosto do domu, nie oczekując od życia żadnych atrakcji czy fajerwerków. Wizyty Tomka przyjmowała bez entuzjazmu, kojarząc je obecnie nie z fantastycznym seksem, beztroską i wygłupami, lecz raczej z wiszącym nad ich głowami mieczem dworskiego pochlebcy. Tomasz wyczuwał rezerwę w jej tonie, lecz nie dociekał przyczyn i powstrzymywał się od pytań, które jeszcze bardziej mogłyby ją pozbawić nastroju. Była mu za to wdzięczna. Nigdy nie potrafiła kłamać, a on był ostatnią osobą, jaką chciałaby wikłać w niezrozumiałą wciąż dla niej historię. Oповідzenie mu o tej sprawie mogło się skończyć tylko jednym: wspólnym wnioskiem o konieczności prewencyjnego zakończenia ich związku. Decyzją, na którą nie była gotowa.

Paradoksalnie ich seks nabrał teraz niezwyklej intensywności. Tak jakby oboje przeczuwali, że każdy kolejny raz może być ich ostatnim. Wpijali się w siebie z dramatycznym wprost głodem i przeżywali orgazmy, jakie wcześniej nigdy nie były im dane. Mroczne i pełne napięcia, znane im przedtem wyłącznie z czytanej w młodości Hemingwayowskiej powieści. Potem leżeli w milczeniu, wpatrując się w żarzące końcówki wypalanych po seksie papierosów, lub rozmawiali o sprawach, które wcześniej nie były obecne w ich związku. O jego kłopotach z synem, przedwczesnej wpadce, przez którą poprowadził Teresę przed ołtarz, małżeńskiej frustracji i próbach ucieczki z domu. W pracę, do klubów, na emigrację wewnętrzną. O jej pierwszym małżeństwie, dzieciństwie i osamotnieniu. Widywanych raz w roku rodzicach i ciągłych napięciach w pracy. Czasem o perfekcjonizmie i lęku przed dorosłością.

Każda kolejna rozmowa zbliżała ich coraz bardziej. Patrzyli sobie w oczy ze smutkiem i zrozumieniem, po raz pierwszy od dnia poznania zaczynając dostrzegać w sobie coś więcej niż tylko ekscytujące dla zmysłów ciała. Odkrywając kolejne warstwy rozczarowania i niepewności – zrodzone z nieudanych związków i wiecznego zwątpienia we własne siły. Tomasz zdradzał jej teraz budzące go nad ranem czarne myśli o braku talentu, a ona zaczynała powoli rozumieć, dlaczego tak chętnie rzucał się w wir romansów oraz znieczulał swe lęki porcjami bourbona i kokainy. Jej ucieczka od rzeczywistości była w gruncie rzeczy podobna. Przez ostatnie lata tłumiała poczucie beznadziei, od-

dając się pod ocenę przypadkowych mężczyzn, w których oczach zdarzało jej się niekiedy znajdować niezbędne do życia uznanie. Jeśli go brakowało, otwierała butelkę wina i pogrążała się w wielogodzinnych dyskusjach z Martą albo włączała laptop, by marnotrawić kolejne godziny przy idiotycznych, choć jakże kojących nerwy grach komputerowych.

Tomek był pierwszym mężczyzną, któremu przyznała się do wyhodowanych po rozwodzie obsesji i dziwactw. Do palenia papierosów w wannie i uzależnienia od unoszącego się nad kuchennym blatem zapachu chloru. Do dramatycznych prób kontrolowania rzeczywistości w najdrobniejszym szczególe i zaufania, jakie pokładała wyłącznie we własnych siłach. Do panicznego lęku przed ponowną utratą budowanego z mozołem majątku i życia. Strachu przed bezrobociem i niemożnością spłacenia zaciągniętego na dom kredytu. Nie obawiała się, że zdradzi komuś jej skrzętnie ukrywane dotychczas sekrety, bo w zamian oddawał jej własne. A ona, słuchając go, dochodziła do przekonania, że łączy ich znacznie więcej, niż na początku sądziła. Podobna wrażliwość, niepewność i neurotyczne stany lękowe. Powtarzane od lat schematy, co do których początkowo sądzili, że będą ich wybawieniem, by z czasem zrozumieć, że są kolejną życiową pułapką. Desperacka chęć ułożenia sobie życia na nowo i równoczesny paraliż, który czynił to niemożliwym. Jak również fakt, że byli dla siebie odskocznią i znieczuleniem.

Kiedy Tomek wyjeżdżał, żegnając ją teraz nie namiętym pocałunkiem, lecz dramatycznym uściskiem oraz smutkiem w oczach, podnosiła rolety, gasiła światła i po omacku wracała na sofę w salonie. Opanowawszy do perfekcji umiejętność przemieszczania się po domu w całkowitych ciemnościach i wyławiania z ciszy najdrobniejszych, niepasujących do szumu drzew dźwięków, siadała na białej skórce kanapy i bez wahania sięgała po czekającą już na nią butelkę chianti, korkociąg oraz kieliszek. Dwa łyki i odpalany pospiesznie papieros koiliły nerwy. Sprawiały, że godziny nocnego czuwania były znośniejsze. Czyniły nagły krzyk przebudzonego na polu bażanta i poruszające się pod wpływem wiatru cienie zarośli mniej potwornymi, a wstrząsające jej ciałem nerwowe tiki łatwiejszymi do wytrzymania.

Siedząc w ciemnościach, starała się nie myśleć o niczym, tylko koncentrować na szmerach i cieniach ogrodu. Myśli napływały jednak niepostrzeżenie, zaczynały galopować, zbijać się w chmary, krążyć wokół jednego tematu, a potem znowu rozpraszać niczym spłoszone stada antylop. Nim się orientowała, osaczały ją w stopniu uniemożliwiającym jakiegokolwiek skupienie. Chaotyczne, rozedrgane, wymagające jej nieustannej uwagi i niepodatne na próby odegnania ich na dłużej niż ułamek sekundy. Absorbujące i natrętne. Prześlizgujące się po powierzchni i pozbawione głębi, maniakalne. Bardziej niż proces myślowy przypominające zbyt często skandowaną mantrę. Wyzutą z głębi i intensywną zarazem. Smakującą jak truizm czy banał, a jednak nieoczywistą i budującą najbardziej mroczne emocje. Nieznośną.

Przez dwie pierwsze noce zapętlala się w wymykających się logice rozważaniach o Marku i policjantach, którzy – jak w końcu doniosła jej Marta – nie byli przebierańcami. Marek nie figurował na liście poszukiwanych, ale miał związek z jakąś prowadzoną akurata sprawą, której kulis nie udało się Marcie wyświecić. A może po prostu nie mogła ich zdradzić. Myśl, że nie wykazała się naiwno-

ścią, o jaką oskarżyła ją przyjaciółka, była krzepiąca, lecz nie posuwała sprawy do przodu. Poczła częściową ulgę i ponowną ufność we własną zdolność oceny faktów, ale komfort trwał krótko i był powierzchownym placebo. W porządku, nie była może kompletną, pozbawioną umiejętności oceny ludzi idiotką, ale czy to cokolwiek zmieniało? Ciągłe coś przegapiała. Jakiś niuans wciąż jej umykał i sprawiał, że nie potrafiła odkryć, co kryje się za całością zagadki. Ani czy ma ona związek z nią, czy z jakąś inną osobą. Może z Tomaszem, a może właśnie z Woźniakiem.

Po dwóch nocach jałowych rozważań uznała w końcu, że jeśli ktoś szuka Marka, to jedynym sposobem na pozbycie się z domu intruza jest powiadomienie go o miejscu pobytu Woźniaka. Walcząc z poczuciem winy, wstrętem do siebie i świadomością, że zdradza człowieka, który zawsze był dla niej życzliwy, wydrukowała na kilkunastu kartkach papieru uprzejmy donos z jego nowym, a swoim dawnym adresem. W obawie, że rano może zmienić zdanie, ubrała kurtkę i uzbrojona w taśmę klejącą obeszła dom dookoła, mocując arkusze A4 na wszystkich oknach i kilku rynnach. Tak aby każdy, kto przeskoczy przez ogrodzenie, mógł zerwać kartkę i sprawnie trafić do celu, a równocześnie w ten sposób, by komunikat nie był widoczny dla przypadkowych, choć bardzo tu rzadkich przechodniów. Zdegustowana własną podłością wróciła do środka, dopiła kieliszek wina i poszła spokojnie do łóżka. W nadziei, że może się myli i jej karczemny postępek nie ściągnie na Marka grupy pruszkowskich zbirów.

Gdy następnego dnia rano weszła do kuchni, na oknie powiewał już tylko urwany róg kartki. Wiadomość do prześladowcy zniknęła, a ona poczuła ulgę i druzgoczące wyrzuty sumienia. Więc jednak... Sprawa nie dotyczyła jej, tylko Marka. Koszmar się skończył. Ktoś był tutaj w nocy, ale tym razem nie wtargnął do środka. Nie łąził po domu, gdy spała, nie podglądał jej w łóżku i nie dotykał jej rzeczy. Zamknęła sprawę. Niestety kosztem Woźniaka.

Przez cały dzień dręczyły ją myśli o własnym zaprzaństwie, ale starała się je wypierać, racjonalizując swoją decyzję i budując argumentację samoobrony, jakiej nie powstydzilby się rasowy adwokat. W końcu wyczerpana psychiczną katorgą ostatnich tygodni uniosła tylko ramiona i postanowiła, że zaraz po powrocie do domu zdejmie wszystkie porozwieszane na nim arkusze papieru. Owszem, zdradziła Marka, ale nie była chciwym Judaszem. Wydała go w zamian za spokój i bezpieczeństwo.

Kiedy wieczorem weszła do domu, jeden rzut oka na salon wystarczył, by zauważyć, że druga z kartek zniknęła. Na szybie pozostały tym razem cztery przyklejone taśmą klejącą narożniki, obok których poruszała się teraz na lekkim wietrze dużo mniejsza żółta karteczka. Podeszła powoli do okna i przyjrzała się znalezisku. Niestety, za oknem panowała już ciemność, a ona – w wypracowanym ostatnio odruchu – nie włączyła światła. Odczytanie wiadomości od włamywacza nie było możliwe. Przez moment rozważała, czy nie poświecić sobie latarką, ale uznała to w końcu za bzdurę. Jeśli ktoś obserwował jej ruchy, to wiedział dokładnie, że właśnie wróciła. Podeszła do ściany, nie odrywając wzroku od żółtej karteczki, wcisnęła przycisk, a następnie krzyknęła. Z małego kwadratu papieru uśmiechał się do niej emotikon z przymkniętym okiem.

A zatem ktoś się nią bawił niczym drapieżnik upolowaną już i bezbronną ofiarą. Bez sensu ani powodu igrając z jej strachem, skracając oddech, wywołując jaskrawe confetti i podnosząc ciśnienie w tętnicach. Może w nadziei, że kiedy wreszcie ukąsi, spektakularność krwawienia wynagrodzi mu wszystkie wysiłki. Wzdrygnęła się, zgasiła światła i próbowała się uspokoić, powtarzając argumenty, które wielokrotnie wcześniej obracała w głowie jak mantrę. Gdyby chciał zrobić jej krzywdę, już dawno byłaby martwa. Była w tym domu bezbronna, a on doskonale poruszał się po terenie. Potrafiłby przemknąć za jej zderzakiem, kiedy samochód wtaczał się wolno za bramę garażu, nie zostawiając najmniejszych śladów włamania. Torturować, katować i dręczyć, aż do momentu, gdy zaalarmowana jej nieobecnością Marta użyłaby w końcu trzymanego w kuchennej szufladzie zapasowego kompletu kluczy. Mógł dopaść ją w każdej chwili. Gdy rozwieszała kartki na oknach, wypuszczała Stefana lub wychodziła na moment, by przynieść drwa do kominka. Mógł w końcu wyłamać kolejne okno, gdy alarm był wyłączony, a ona siedziała z Mejerem na sofie, snując ponure zwierzenia. Z łatwością mógł zrobić jej krzywdę, lecz najwidoczniej nie o to chodziło. Nie pragnął pieniędzy, obrazów ani kosztownych drobiazgów. Zawartości jej sejfów, biżuterii czy samochodu. Nie chciał również jej śmierci czy nawet fizycznego cierpienia. Pożądał wyłącznie jej strachu. Widoku zgaszonych świateł, pobladłej twarzy i podwiniętych na sofie kolan, nad których drzeniem przestawała powoli panować. Delektował się jej zmęczeniem i żartował sobie z histerii. Puszczal oczko i śmiał się w kulak. Zachwycony osiąganym efektem, olśniony własną potęgą i siłą. Panowaniem nad nią, zdominowaniem jej życia i trzymaniem ofiary w uścisku nałożonej na kark kolczatki.

Przez kolejne noce nie rozważała moralnych dylematów związanych ze zdradą Marka ani powodów bawienia się z nią przez psychopatycznego podglądacza w kotka i myszkę. Obie te kwestie nie miały znaczenia, podobnie jak stworzona wraz z Martą lista dowodów i podejrzanych. Żadna z tych rzeczy nie była w tej sprawie istotna. Prześladowca miał nad nią przewagę, a im dłużej grał na jej strachu, tym pewniej czuł się w swej roli. Z dnia na dzień przeskakiwał przez płot i poruszał się po ogrodzie z rosnącą wprawą, coraz mniej speszony swoją obecnością. Był u siebie. Nieskrępowany jej nocnym czuwaniem czy szansą na demaskację. Co zresztą mogła mu zrobić? Nawet gdyby dostrzegła jego sylwetkę lub przyłapała go, kiedy zagląda do środka. Co wtedy? Wcisnęłaby przycisk antynapadu i czekała przez cztery minuty, aż dwóch ochroniarzy dotrze w końcu na miejsce? Do tego czasu jego już dawno by tutaj nie było. A może wybiegłaby z domu, próbując go złapać? Mocno wątpliwe. Nie byłaby zdolna wykonać ruchu. Zrobiłaby zdjęcie celem zgłoszenia włamania? Zwyčajnie nie do wykonania.

Wiedziała, że jest jego zakładnikiem i on również miał tego świadomość. Delektował się obserwowaniem jej żalonych prób uzyskania we własnym domu choćby namiastki prywatności i śmiał się głośno, gdy po powrocie z pracy włączała światło wyłącznie na krótki moment, by przygotować sobie posiłek. Rechotał z satysfakcją, kiedy po omacku szukała w łazience ręcznika, kiedy w garażu ryglowała samochód, zanim otworzyła bramę, i wtedy, gdy przerażona kładła pogrzebacza przy łóżku. Uważał jej strach za zabawny, a własną przewagę za bezdyskusyjną. Może czerpał z tej demonstracji siły sadystyczne zadowolenie, a może do pełni szczęścia brakowało jeszcze masturbacji w gąszczu

czu choinek lub zaciskania klamerek na sutkach? Może rekompensował sobie w ten sposób trudne relacje z matką, a może mścił za to, że nie zwracała na niego uwagi? Niezależnie od przyczyn oraz rodzaju osiąganego spełnienia był psychopata. Inteligentnym, pewnym siebie, egocentrycznym i pozbawionym skrupułów. Władającym jej życiem i delektującym się myślą, że grała w zaczęte przez niego podchody. Że z dnia na dzień coraz bardziej popadała w syndrom sztokholmski, podejmując próby racjonalizowania jego dewiacji trudnym dzieciństwem, młodzieńczym trądzikiem oraz zdobywaniem wszystkiego systematyczną pracą i dyscypliną. Usiłując skomunikować się z nim poprzez pozostawione na szybach kartki i chroniąc przed interwencją policji, którą tyle razy proponowała jej Marta. Wiedział dokładnie, że z każdą kolejną nocą czuwania jej więź z nim zacieśnia się coraz bardziej. Że pragnie do niego dotrzeć, zrozumieć sedno problemu i jakoś mu pomóc. Jemu, nie sobie. Bo przecież ona nie miała problemu – kłopot tkwił w nim. Niezależnie od tego, czy był zdradzaną przez męża Teresą, sprzeciwiającym się stylowi jej życia Michałem czy w końcu poszukującym Marka bandytą. Za każdym razem cierń wbity był w kogoś innego. Ona jedynie dzierżyła lekarstwo. Patent na uwolnienie nieszczęśnika od bólu. Czy to poprzez zerwanie znajomości z Tomaszem, czy zdradę Marka, czy jeszcze inną, niewymyśloną dotąd metodę.

Siedziała nocami na sofie, rozmawiała godzinami z Martą i nieustannie poszukiwała rzekomych rozwiązań zagadki, lecz ani razu nie spróbowała się przeciwstawić. Tłumaczyła sobie, że napastnik nie ma morderczych intencji i klarowała to samo Marcie, broniąc się przed interwencją policji z obawy, że narazi ją ona na jeszcze większe kłopoty. Nie zgłaszała powtarzających się incydentów ochronie, nie montowała zewnętrznych czujek alarmu czy kamer i u nikogo nie szukała pomocy. Tak, rozważała to wszystko, ale nic nie robiła. Nic poza usprawiedliwianiem kolejnych osób. Czy nie ona przekonała w końcu Martę, że zdradzana żona zasługuje na cień empatycznego uczucia? Czy nie podsunęła Zalewskiemu przyjaciółki, próbując zmniejszyć jego irytację jej związkiem z Mejerem? Czy nie obiecała Kempie wspólnej kolacji i nie odbierała telefonów Kryskiego? Czy w końcu nie była gotowa narazić Marka na niebezpieczeństwo tylko dlatego, że nie chciała powiedzieć policji o incydentach w jej domu? Jak to się stało? I czemu tak szybko? Dlaczego od chwili, gdy odkryła przed domem balony, tuszowała całą sprawę przed światem? Czy naprawdę była tak słaba, że potrafiła sobie radzić z zagrożeniem, wyłączając się z agresorem? To był mechanizm adaptacyjny, który dla siebie wybrała? Bezpieczna ścieżka ewolucyjna?

Przez kilka kolejnych nocy próbowała się uporać z postawioną diagnozą i znaleźć dość sił, by w końcu zawalczyć o siebie. Kolejne kartki z adresem Marka znikwały, zastępowane zostawianymi przez podglądacza kolorowymi świstkami, na których za każdym razem rysował tę samą puszczającą perskie oko twarzyczkę, ale nie zwracała już na to uwagi. Mijała je obojętnie, nie próbując nawet sprawdzać, czy za którymś razem oprawca nie zmienił miny. Siłą woli powstrzymywała się od obchodzenia ogrodu, sprawdzania, czy arkusze rozwieszane na rynnach zniknęły, i przyglądania pozostawionym na śniegu śladom, których z każdym dniem było więcej. Skupiona w stu procentach na sobie, własnej psychice oraz dalszym planie działania, który zakładał zero tolerancji i koniec zabawy w podchody. Nawet za cenę goszczenia codziennie policji i ujawnienia romansu Teresie. Nie-

zależnie od tego, ile ostatecznie miałyby kosztować instalacja kamer, ochrona fizyczna i kij bejsbolowy. Oraz od sankcji, która mogła ją spotkać, gdyby ktokolwiek doszedł do wniosku, że nie działała w samoobronie. Była we własnym domu, za który co miesiąc płaciła bankowi sporą część swojej pensji. Domu, który miał być azylem. Miejscem beztroskich spotkań z Tomkiem i przyjaciółmi. Czymś więcej niż więzieniem, w jakie go przez ostatnie tygodnie zmieniała. Ale nie chodziło tylko o dom, lecz również o nią. O prawo do swobodnego oddechu, do chodzenia nago przy załączonych światłach, o możliwość cieszenia się życiem, seksem, Tomaszem. O normalność, zdrowie psychiczne i sen bez koszmarów. Bycie kobietą, której cera nie jest zdewastowana bezsennością i robionym po ciemku demakijazem. Która uwielbia kochać się w świetle, nie boi za każdym razem, gdy kot buszuje w ogrodzie, i śmieje na głos z nazbyt namolnych facetów. Silną, trochę cyniczną i bez wahania sięgającą po swoje.

Z godziny na godzinę, najpierw powoli, lecz z każdą kolejną minutą szybciej, w postępie geometrycznym, narastał w niej gniew. Zwierzęca, agresywna, pozbawiona hamulców wściekłość. Furia, która groziła nagłym, niekontrolowanym wybuchem i zaciskała jej dłonie w pięści, aż zbieleły od napięcia kłykcie zaczynały boleć, a na opuszkach pojawiały się krwawe, głębokie bruzdy po wbitych w ciało paznokciach. To już nie była zwyczajna niechęć czy irytacja, tylko czysta, nieposkromiona nienawiść. Atawistyczna, zawzięta wrogość w stosunku do zwyrodnialca, dla którego nie miała już teraz cienia litości czy wytłumaczenia. Któremu życzyła śmierci. Nie tylko za to, że naruszał jej terytorium, obserwował z ukrycia i śmiał się z niej, umieszczając na szybach nabazgrołone długopisem idiotyczne uśmiešky. Że czerpał satysfakcję z jej strachu i bawił się jak drapieżnik zbyt łatwo zdobytą ofiarą. Przede wszystkim dlatego, że udało mu się ją zdominować. Zawładnąć jej umysłem, zaszczuć, pozbawić wolnej woli, siły i zdolności myślenia. Że przez kilka tygodni z sukcesem uczynił z niej niewolnika.

Sklep polecony im przez będącego znawcą tematu kolegę Marty znajdował się w nieoznaczonym w żaden szczególny sposób mieszkaniu na Ursynowie. Żółta elewacja budynku, betonowa klatka schodowa z wymalowaną farbą olejną beżową lamperią i winda z wczesnych lat dziewięćdziesiątych nie wyróżniały się niczym szczególnym, podobnie jak prowadzące do środka drzwi, na których nie było nawet oznaczenia numerem. Niepewne, czy powinny zapukać, nacisnęły ostrożnie klamkę i weszły do środka. Wnętrze było obszerne i sprawiało wrażenie kilku połączonych ze sobą mieszkań, w których wybito ściany. W środku kręciło się kilkunastu mężczyzn, którzy oglądali zawartość ustawionych wzdłuż ścian ład oraz regałów, komentując półgłosem kolejne przedmioty i ze skupieniem na twarzach sięgając po nie. Pomiędzy nimi krążyło dwóch młodych facetów, obserwujących uważnie klientów i podchodzących za każdym razem, gdy któryś z nich zaczynał się rozglądać wokoło w poszukiwaniu pomocy. Zauważywszy je, jeden z nich porzucił swojego rozmówcę i podszedł energicznym krokiem, uśmiechając się życzliwie i wyciągając rękę na powitanie.

– Dzień dobry! Sylwek uprzedzał mnie, że przyjdziecie. Jestem Adam.

Marta wyciągnęła do niego rękę i otworzyła usta, ale zanim zdążyła mu się przedstawić, chłopak przerwał jej gestem i dodał:

– Dyskrecja to w naszej branży podstawa.

– W porządku. – Skinęła głową. – Nam też to pasuje.

– Powiedźcie, czego szukacie.

– Przyjaciółka ma mały kłopot. – Marta wskazała na stojącą obok Ankę, która przyglądała się całej scenie w milczeniu. – Tajemniczy wielbiciel...

Adam kiwnął głową i poprowadził je w stronę stojącego kilkanaście metrów dalej regału.

– Zdalne kamery termowizyjne zintegrowane z rejestratorem. Duży dysk zapewnia nagrywanie przez tydzień w modelu dwadzieścia cztery na siedem. Ale ponieważ kamery reagują na ruch, w domu prywatnym można w praktyce zarejestrować miesiąc, nie kasując poprzednich zapisów.

Podał im do ręki owalne srebrne przedmioty, które bardziej niż kamery przypominały wielkością i kształtem jajka z antenką.

– Z łatwością możecie je ukryć w domu lub na parapecie, skierowane na zewnątrz. Mimo niewielkich rozmiarów jakość nagrania jest znakomita.

Wskazał na stojący na biurku monitor i odwrócił ekran w ich stronę. Pulpit był podzielony na cztery sekcje, z których każda wyświetlała obecnie inny fragment pokoju. Kiwnęły głową z uznaniem i spojrzały po sobie.

– Coś jeszcze?

– Czy wielbiciel jest agresywny?

– Na tyle, by wyłamywać okna, wchodzić do domu, rozwiercać zamki i pomieszkiwać w garażu.

– W zachrypniętym milczeniem głosie Anki pobrzmiwały nuty zirytowania. – Potrzebuję czegoś lepszego.

– Chcesz go odstraszyć, zebrać dowody czy się skutecznie obronić?

– Chcę zetrzeć kanałą z powierzchni ziemi.

Chłopak spojrział na nią wnikliwie i przestał się w końcu uśmiechać, co przyjęła z wdzięcznością. Nie miała ochoty wprowadzać go w szczegóły swojego planu ani ujawniać oczekiwań, które wiązała z tym sklepem. Chciała natomiast, aby traktował ją serio.

– Kamery przydadzą się tak czy owak. Choćby po to, żebyś wiedziała, kto za tym stoi. Bo rozumiem, że nie znasz człowieka. Do tego dobry taser, nie wymagający kontaktu bezpośredniego. Wykrywacz podsłuchów i kamer, bo mógł coś do domu podrzucić. Może zagłuszcacz, choć to już droższa zabawka. Google noktowizyjne do rozważenia.

– Coś do obrony poza taserem?

– Szczerze? Nie polecam. Żadne pałki, pistolety hukowe ani inne podobne bzdety nie mają większego sensu. Lepiej nie doprowadzać do bezpośredniego kontaktu.

– Nie mówię o pałce...

– Nie mogę ci sprzedać nic nielegalnego.

– A odpowiedzieć?

– Ochronę fizyczną kogoś z licencją.

Rzuciła okiem na Martę, wykrzywiła usta i uniosła ramiona.

– Po diabła mi taser? Przecież nie będzie czekał, aż do niego podejde. A ja nie mam zamiaru czaić się nocą w ogrodzie.

– Co mam ci powiedzieć? – Ton Marty był cierpki, a jej twarz wyrażała zdegustowanie. – Trzeba to było zgłaszać policji, a nie pozwalać, żeby tak się panoszył.

Przysłuchujący się ich rozmowie Adam uśmiechnął się i spuścił wzrok. Stojąca przed nim dziewczyna była szczupłą blondynką ubraną w obcisłe dżinsy, golf oraz sportową kurtkę. Wyglądała na dwadzieścia parę lat, choć podejrzewał, że może być starsza. Ale tego bardziej niż z jej wyglądu domyślał się z determinacji w głosie i stalowego spojrzenia, którym go lustrowała. Ewidentnie ktoś jej dokuczył i zamierzała mu za to odpłacić. Problem polegał na tym, że jak długo była tak wściekła, nie miała najmniejszych szans, by się zemścić. Musiała poczekać, aż emocje opadną, i załatwić sprawę na zimno. Patrząc na nią, był pewien, że ta faza w końcu nastąpi. Jej blada cera, platynowe kosmyki i skośne oczy sprawiały, że wyglądała jak rozjuszona królowa śniegu. Wkrótce jednak gorączka minie, a on nie chciałby się znaleźć w skórze tamtego mężczyzny, kiedy to wreszcie nastąpi. Z doświadczenia wiedział, że kobiety są zdecydowanie bardziej okrutne od mężczyzn i nigdy nie przebaczą. Podniósł powieki i zerknął na nią dyskretnie. Jeśli facet nie skończy zabawy, to wyląduje w pudle albo pod jej trawnikiem. W najlepszym razie laska zatruje mu życie.

Jej przyjaciółka wyglądała na rozsądniejszą i zatroskaną. Bujna, włoska uroda przemawiała do jego wyobraźni i przez chwilę żałował nawet, że nie pozwolił jej się przedstawić. W przeciwieństwie do blondynki sprawiała wrażenie bardziej przystępnej, a jemu brakowało kobiety. Całe dni spędzane w towarzystwie prywatnych detektywów, wielbicieli militariów i chuliganów poszukujących dającej się ukryć w rękawie pałki nie sprzyjały romansom. Kobiety, jeśli w ogóle zdarzało im

się tutaj zapuszczać, były zainteresowane wyłącznie kontrolowaniem własnych mężów lub pozyskaniem dowodów ich zdrady. Nie zwracały na niego uwagi, a on – szczerze mówiąc – też nie miał na nie ochoty. Z tymi dwiema było inaczej i chętnie by się z nimi umówił. Zwłaszcza z brunetką, której potężne piersi falowały teraz tuż przed nim.

– Co mogę zrobić legalnie? – W głosie blondynki zabrzmiał wyraźny sarkazm. – Może zasieki, okopy i wnyki? Drut kolczasty na ogrodzeniu, wieżyczki strażnicze na rogach...?

– Wystarczy rottweiler.

Uśmiechnął się przepaszająco, mając nadzieję, że nie zauważyły jego wzroku wbitego w cycki brunetki ani że żadna z nich nie ma kota, choć z góry zakładał, że akurat to drugie nie jest możliwe. Prawie wszystkie dziewczyny w Warszawie miały kocury. Wykastrowane, wdzięczne za gładzenie po grzbiecie i niewychodzące z domów idealne namiastki prawdziwych facetów. Zerknął na nie raz jeszcze i z min odczytał, że pies nie wchodzi w rachubę.

– Czasem wystarczy pożyczyc... – dodał niepewnym głosem. – Jeśli któryś znajomy lub sąsiad ma Burka. Nie musi być pies obronny. Wystarczy zwykły, domowy szczekacz. To dosyć skutecznie odstrasza intruzów.

Spojrzały na niego jak na przybysza z kosmosu. Czy naprawdę sądził, że ktoś pożyczyc psa do całonocnego stróżowania w ogrodzie? Zwłaszcza zimą? A może Anka miała trzymać go w domu?

– Wezmę kamery, wykrywacz podsłuchów i taser, skoro nie macie niczego lepszego... – W głosie Ani pobrzmiwało teraz pełne irytacji rozczarowanie. – Proszę wystawić fakturę. – Sięgnęła do torebki po wizytówkę, podała ją Adamowi i odwróciła się do niego plecami. – Zapłacę kartą – rzuciła przez ramię i odeszła w stronę studiujących coś z uwagą przy szklanej witrynie mężczyzn.

Marta odprowadziła ją wzrokiem i spojrzała na sprzedawcę. Był młody, napalony i w zasadzie nawet w jej typie. Wystarczyłoby, żeby zostawiła swój numer. Tylko po co? Michał był niezły w łóżku i zapewniał wystarczającą rozrywkę. Co ciekawe, również dbał o nią. Pisał maile i nie krępował się dzwonić. Nawet gdy spędzał weekend z rodziną. Nie rozumiała, dlaczego to robi i w imię czego ryzykuje przyłapanie przez żonę, ale chwilowo nie miało to znaczenia. Najistotniejszy był fakt adoracji. Nie przez jakiegoś podrzędnego sprzedawcę, lecz przez faceta z nazwiskiem. Wzruszyła ramionami i poszła wolno za Anką, która oglądała teraz leżące na szklanych półkach pluskwy wielkości szpilek. Bardziej niż mikrofony przypominały oporniki, które kiedyś przyszywali do swoich ubrań rodzice. W czasach, gdy jeszcze mieszkali z nią w Polsce.

– Widziałaś? – Obróciła głowę w stronę Marty i pokazała na zawartość witryny.

– Policji na takie nie stać. – Marta pochyliła się nad gablotą. – Śliczne maleństwa.

Spojrzały po sobie i wybuchnęły śmiechem.

– Śliczne maleństwa?

– A nie? Popatrz na nie! Ściągają pewnie z kilkuset metrów. Wyobrażasz to sobie? – Marta przestała się śmiać i przyglądała teraz maleńkim drucikom z prawdziwym szacunkiem. – Można zostawić je wszędzie...

Anka stężała. Wizyta w mieszkaniu na Ursynowie przestała ją rozczarowywać. Dawała do myślenia. Rozejrzała się wkoło i przeszła do sekcji noktowizyjnej. Skoro ona tutaj trafiła, to równie dobrze z dobrodziejstw techniki mógł sprawnie korzystać jej stalker. Ceny nie były drastycznie wysokie. W zasadzie w zasięgu każdej dobrze zmotywowanej osoby. Wzdrygnęła się i odwróciła zmrożoną twarz ku nadchodzącemu w ich stronę Adamowi. Niósł dwa pudełka, kartkę papieru i zdalny terminal.

– Niestety, nie mamy już nagrywarek. Czy mogę dosłać kamery w przyszłym tygodniu?

– Niewiarygodne... – jęknęła.

– Bardzo mi przykro.

Chłopak wyglądał na zaszczutego. Spojrzała na niego i poczuła się podle.

– Nic się nie stało. Proszę je wysłać na adres biura.

Uśmiechnęła się, podała mu kartę i powstrzymując kolejne jęknięcie, które narosło jej w gardle na widok wbijanej w terminal kwoty, wstukała PIN na klawiaturze. Intruz robił się drogi. Wymiana zamków, zamówienie montażu zewnętrznej bariery alarmu, a teraz to. Ponad dwadzieścia tysięcy. Nie licząc zszarganych nerwów.

– Cholera jasna! – Zamknięta w ciasnej przestrzeni windy spojrzała na Martę. – Jak dalej tak pójdzie, ten świr mnie puści z torbami!

– Daj spokój, ile wydajesz na buty? – Marta spojrzała na nią drwiąco i przejechała wzrokiem po nowych sztybletach od Prady. – Zresztą, nie płacą ci miską ryżu.

Popatrzyła na przyjaciółkę i oblała się mocnym rumieńcem. Prokuratorska pensja Marty wystarczyłaby jej pewnie na jedne zakupy. W najlepszym wypadku na weekend. Na co dzień nie zauważała dzielącej je dysproporcji, ale temat powracał za każdym razem, gdy proponowała wspólny wyjazd na narty do Aspen, wakacje na Mauritiusie albo inną atrakcję, o której sądziła, że przypadnie Marcie do gustu. Nie oczekiwała, że przyjaciółka zapłaci za hotel, ale dla Marty nawet koszty przelotu były potężnym problemem. A ona zawsze czuła się w końcu winna, że po raz kolejny proponowała coś, co przekraczało pensję prokuratora. Szczerze mówiąc, każda taka rozmowa budziła w niej bunt. Po latach studiów i aplikacji, wycieraniu sobą korytarzy sądowych, kostnic i posterunków Marta zasługiwała na więcej. Za swoją kurewską, podłą, wyniszczającą psychikę pracę, oglądanie denatów, zarwane noce i wieloletnie batalie przed sądem. Za wstrętne uwagi oskarżonych i ciągły niepokój, że któryś w końcu zrobi jej krzywdę. Za psychozę, w jakiej na co dzień żyła, oglądając się ustawicznie za siebie w ciemnych zaułkach, zaciągając ściśle zasłony w swoim mieszkaniu na ósmym piętrze i raz na pół roku zmieniając numer komórki.

– Och! Ja ci chyba nie powiedziałam, skąd Kempa wytrzasnął twój numer! – Złapała się za usta zdziwiona, że zapomniała o sprawie.

– Nie szkodzi, sam mi powiedział. – Marta wyglądała na nieporuszoną. – Zresztą miałaś za dużo na głowie, żeby o wszystkim pamiętać.

– Co ci powiedział?! Kiedy?!

– W zeszłym tygodniu.

– W zeszłym tygodniu?! Przecież miało go nie być... – Urwała w pół słowa, dostrzegając własną naiwność.

– Był w Warszawie. Widziałam na własne oczy. – Marta skrzywiła się z politowaniem. – Czy ty się nigdy nie nauczysz, że to notoryczny mitoman? Nawet się przesadnie nie spieszył, gdy mnie zobaczył.

– Gdzie go widziałas?

– Nie uwierzysz, ale umówił się na rozmowę z Zalewskim. W ramach przygotowań do jakiegoś wywiadu. Michał chciał potem iść na kolację, więc poszliśmy razem. I na miejscu się okazało, że ten sławny dziennikarz to Kempa.

– Sławny dziennikarz? – Anka zachnęła się głośno. – Zalewski ci tak powiedział?

– Redaktor Kempa jest ponoć znany w branży muzyczno-filmowej. Robi wywiady z tuzami.

– Serio?

– Tak, serio. Tak mi powiedział Michał. Był strasznie zadowolony, gdy Kempa poprosił o wywiad na temat ich nowej płyty.

Anka spojrzała na nią z namysłem, ściągnęła czoło i przepuściła ją przodem przy wyjściu z klatki schodowej, po czym ruszyła w stronę stojącej na ursynowskim parkingu toyoty. Przyjaciółka otworzyła jej drzwi, wsiadła za kierownicę i ruszyła powoli do centrum, zbyt zajęta manewrowaniem, by zauważyć mroczne skupienie w oczach swej pasażerki. Ania zapięła pas i przez dłuższą chwilę wyglądała przez okno, bojąc się cokolwiek powiedzieć. Jakaś nieuchwytna jeszcze myśl, informacja albo przecucie kielkowały w jej głowie i wiedziała, że zaledwie włos dzieli ją od uchwylenia sensu i rozwikłania chociaż części zagadki. Kempa skłamał co do swojego wyjazdu, który do tychczas dawał mu alibi na wydarzenia ostatniego tygodnia. Podobno zależało mu na tym, by ją przeprosić, więc bez pardonowo wprosił się na kolację, lecz kilka dni później zmienił zdanie i odsunął spotkanie w czasie. Czy tylko dlatego, że potrzebował przykrywki dla swoich poczynań, czy może z innego powodu? Musiał przecież zakładać, że w końcu się dowie o jego spotkaniu z Zalewskim. Ale czy gdyby nie Marta, to miałyby szansę ułożyć to wszystko chronologicznie? I skąd Kempa wiedział o płycie? Przecież chłopcy nie mówili o tym nikomu z wyjątkiem najbliższych znajomych. Zalewski był nieco przesądny i nie wypuszczał plotek, żeby nie zapeszyć nagrania. Przynajmniej tak twierdził Tomasz. A zatem?

– Michał nie był zdziwiony propozycją wywiadu? – Spojrzała na Martę, licząc, że przyjaciółka dostarczy jej brakujący klocek do puzzli.

– Był. I to bardzo. – Marta przytaknęła, nie odwracając wzroku od drogi. – Podobno Kempa nie robi w jazzie, a stacja jest mainstreamowa. Lecz z drugiej strony bardzo się ucieszył, bo jak długo można grzęznąć w radiowej Trójce?

Anka kiwnęła głową zadowolona z wyciągniętej konkluzji.

– Wiesz co? – Marta ponownie przerwała milczenie. – Jedna rzecz mnie zdziwiła w tej sprawie. Że znakomicie znał całą historię Michała. Wszystkie płyty, nagrody, koncerty. Dzieci i żony. Wie-

dział nawet, że ta obecna miała rok temu złamaną nogę. Akurat gdy byli w trasie po Stanach. Zalewski był zachwycony, ale mnie to jednak zdziwiło.

– Czyżbyś wątpiła w jego profesjonalizm? – Anka uśmiechnęła się szerzej pewna, że wreszcie złapała osnowę. – W końcu jest dziennikarzem...

– Nie kpjij! Wiesz, co mam na myśli! – Marta ofuknęła ją głośno i skręciła na parking pod wydawnictwem. – To nie był wywiad, tylko wstępne spotkanie. W normalnych warunkach dziennikarz ustaliby listę pytań i termin nagrania audycji. Nie popisywałyby się znawstwem tematu oraz biegłością w wątkach rodzinnych.

– Chyba że nie miałby o Zalewskim bladego pojęcia i chciał się uwiarygodnić... – Anka podsunęła jej usłużnie konkluzję, rozpięła pas i wyskoczyła na zewnątrz. – Dzięki za podwiezienie! Zadzwonię wieczorem!

Zebrała leżącą w nogach pasażera torbę z akcesoriami dla szpiegów i pomachała Marcie na pożegnanie, zadziwiając ją swoim niezwykle pozytywnym nastrojem i uśmiechem, którego nie miała na ustach od ponad tygodnia. Wbiegła lekko po schodach i zniknęła w budynku, a Marta zamiast odjechać do pracy, wciąż stała z włączonym silnikiem oraz głębokim namysłem na twarzy. Anka złapała nitkę, która jej umykała. Z pewnością chodziło o Kempę, lecz o co właściwie? Wcześniej też go podejrzewały, więc co się nagle zmieniło?

Przyjaciółka nieustannie ją zaskakiwała. Tak jakby znały się od tygodnia i wciąż były dla siebie nowością. Anka była inteligentna, przebojowa i świetnie radziła sobie w pracy, ale w życiu prywatnym wciąż nie nauczyła się jeszcze odpowiedniej dawki dystansu. Wchodziła w znajomości, przyjaźnie i związki z otwartością nielicującą z jej wiekiem i doświadczeniem. O wszystkich nowo poznanych myśląc dobrze do czasu, aż ją sromotnie zawiedli. Obdarzała ich z góry wielkim kredytem swojej naiwnej ufności, której z reguły nie potrafili albo nie chcieli udźwignąć. Jeszcze dziwniejsza jednak od tej dziecięcej wiary w człowieka była jej zdolność uzasadniania wpadek i złych intencji. Bezprecedensowa wręcz łatwość szukania usprawiedliwień dla ludzkiej podłości i wystawiania własnego tyłka na garbowanie kolejnymi ciosami.

Wzruszyła ramionami i po raz kolejny doszła do wniosku, że nigdy jej nie zrozumie. Choć może tak było lepiej dla ich przyjaźni, w której jedna stanowiła przeciwwagę dla drugiej. Może właśnie dlatego przetrwały ze sobą najgorsze chwile, wyciągając się z tarapatów, pocieszając i przywracając nawzajem sens życia. Ona strzegła ich bezpieczeństwa, a Anka chroniła przed ostateczną utratą nadziei. Równoważyła jej defetyzm swoją pogodą ducha i była niezatapialna niczym rzucone rozbitkom tratwy. Nigdy jej tego nie powiedziała, ale gdyby nie przyjaciółka, już dawno wisiałaby na lampie w swoim mieszkaniu, pokonana przez strach przed ludźmi i życiem. A jednak były momenty, gdy niewytłumaczalny optymizm Anki porażał ją silniej niż kolejne zwłoki w kostnicy. Jak dzisiaj, kiedy zadała pytanie i nie czekając na wyjaśnienia, wysnuła swą własną konkluzję. Porzucając kwestię zdobycia przez Kempę numeru, przeszła płynnie do nieistotnych szczegółów wywiadu, który miał przeprowadzić z Zalewskim. Tak jakby w obliczu nieznanych jej wcześniej faktów stare straciły znaczenie. Nie rozumiała jej toku myślenia. Przemysław był dziennikarzem, więc cóż dziw-

nego mogło się kryć za wykonywanym przez niego zadaniem? Fakt, że do kolejnej audycji wybrał akurat Michała? Nie było w tym nic niezwykłego. W końcu ilu światowej klasy muzyków miał w Polsce do dyspozycji? Ilu z nich sprzedawało swoje płyty w Stanach i zdobyło uznanie tamtejszych krytyków? Nie znała się na muzyce, lecz na jej oko laika takich osób było naprawdę niewiele. Znacznie bardziej niepokojące od zawodowych wyborów Kempy było to, że Anka nie należała do osób ostrożnych. Że wpuściła go do siebie do domu, pozwoliła grzebać w szafach i osobistych papierach. Że nie przyznała jej się do tego, mimo że Przemek otwierał ranking kandydatów na włamywacza i poświęciły na roztrząsanie jego postaci długie nocne godziny. Tak jakby nie uważała, że jego pomoc przy przeprowadzce może mieć jakiś związek z zestawem powitalnych balonów i późniejszymi próbami kontrolowania jej życia. Całość ułożonego ze wszystkich puzzli obrazu przerażała beztroską i była tak daleka od zdrowego rozsądku, że Marta nie potrafiła się nawet rozgniewać. Ania sama ściągała na siebie nieszczęścia. Wpuszczała do domu nieznaną jej ludzi, nie stawiała barier ich ciekawości, pozwalała, by wkraczali w jej życie z butami i bez pytania. Ryzykowała bardziej, niż mogła to sama ocenić. Bezpieczeństwo swoje i innych. Nawet o tym nie myśląc.

Kiedy spotkała Kempę i zadała mu wprost pytanie, jak udało mu się zdobyć jej zastrzeżony, skrzętnie chroniony numer, zaczerwienił się i nie znajdując zapewne łatwego kłamstwa, wygadał całą historię. O rzuconym przez Ankę na łóżko iPhone oraz przejrzeniu jej listy kontaktów. O przeczytanych SMS-ach i odkrytym w komórce zaproszeniu na niedzielną imprezę. O swojej wściekłości uzasadnionej faktem, że spośród jej wszystkich znajomych tylko on nosił ciężkie kartony, lecz nie zasłużył na zaproszenie. I w końcu o idiotycznej, lecz czysto ludzkiej chęci rewanżu za przedmiotowość, z jaką go traktowała. Patrzyła na niego wnikliwie stuprocentowo pewna, że mówi prawdę. Z tą samą niezbitą pewnością, z jaką zawsze była w stanie ocenić wiarygodność zeznań na sali sądowej. Kempa nie kłamał. Spisał jej numer z komórki Anki, a później wcisnął jej wymyśloną naprędce historię o swojej przyjaźni z Marcinem. Historię, której nie próbowała zweryfikować, mimo iż zadanie prostego pytania Kryskiemu było najmniej skomplikowaną rzeczą na świecie.

Patrzyła na Kempę i zaczynała rozumieć jego motywy. Zadurzył się w Ance, jak wielu przed nim i po nim. Lecz w przeciwieństwie do innych nie miał szans na nic więcej niż przyjaźń. Nie z takim wyglądem i jej powierzchownym podejściem do mężczyzn. Nie kiedy gościła w łóżku ślicznego niczym Adonis Mejera. Nie po pierwszym rozwodzie, po którym postanowiła, że nigdy więcej się z nikim nie zwiąże. Szczerze mówiąc, facet miał przekichane. Jak każdy zakochany bez wzajemności frajer, który liczy, że coś się odmieni, i walczy z własną frustracją. Traci nadzieję, a potem – łapiąc się gestu kochanej osoby – wskrzesza ją w sobie na nowo. Balansując pomiędzy zwątpieniem, bezradnością i rozgoryczeniem. Znała ten rodzaj frajerstwa z autopsji i tym bardziej współczuła Przemkowi. Czy sama nie zachowywała się kiedyś podobnie, licząc, że dawny narzeczony powróci? Karmiąc nadzieję jego przyjaźnią, aż do momentu, gdy wręczył jej zaproszenie na swój ślub z inną kobietą? Czy sama nie próbowała zbliżyć się do niego na nowo, oferując pomoc we wszelkich problemach, na jakie w życiu natrafiał? Czy nie zdarzało jej się obdzwaniać wspólnych znajomych, kiedy zbyt długo nie odbierał jej telefonów? Owszem, robiła to wszystko – z taką samą determinacją,

z jaką czynił to Kempa. I pewnie gdyby Krzysiek zostawił przy niej odblokowaną komórkę, ona też uległaby wtedy pokusie. Mając nadzieję, że własne imię wciąż znajdzie na liście ulubionych kontaktów, a wspólne zdjęcie na wygaszaczu ekranu. Może uczucia Kempy były nadmiernie rozbuchane, a jego nachalność zbyt agresywna, ale czy miała prawo do ocen? Patrzyła na niego i rozpoznawała swoje własne niegdysiejsze emocje. Był rozgoryczony, smutny i kompletnie bezradny. Czasami zapewne wściekły i żądny zemsty. Życzący Ance, by też doznała miłostnego zawodu. Tak jak ona żyła tego niekiedy Krzyśkowi.

Zrobiło jej się przykro. Kempa zasługiwał na litość mimo wtargnięcia do domu Anki i opowieści, jakimi ją wówczas uraczył. Wbrew nocnym telefonom i nerwom, które im szargał. A może wręcz dzięki temu wszystkiemu. Współczuła mu źle pokładanych nadziei oraz kompletnej miłostnej porażki, która go nieuchronnie czekała. Żałowała go i trochę nawet solidaryzowała się z jego zawiedzionym uczuciem. Więc kiedy skończył rozmowę z Michałem, wzięła go na bok i udzieliła najlepszej rady, jaka jej wtedy przyszła do głowy – by przestał kłamać. Ania na pewno mu wszystko wybaczy i może z czasem dopuści go bliżej do siebie. Byle tylko nie kręcił, nie oszukiwał i nigdy więcej nikogo nie straszył. W zamian za to ona nie powie Ance, że przejrzał zawartość należącego do niej iPhone'a.

Zawiesiła głos niepewna, jak Kempa przyjmie jej ultimatum, ale on pokiwał tylko głową ze zrozumieniem i wyciągnął rękę na zgodę. Alians z Martą uważał za bezcenny. Dla tego sojuszu był gotowy na wszystko. Nie mógł jedynie obiecać, że przestanie nienawidzić Mejera. Marta skinęła głową, rozumiejąc jego warunek. Zanim się z nim pożegnała, rzuciła ostatnią, płynącą z serca poradę. Licówki nie mogły zaszkodzić. Podobnie jak dobry fryzjer.

Wpuściła Kempę i nie czekając, aż zdejmie kurtkę, wróciła do kuchni, gestem przepraszając za pośpiech. Uśmiechnął się, widząc, jak biegnie w głąb domu, i zdjął mokre od śniegu buty. Posadzka była tak czysta i biała, że nie miał odwagi wejść do środka w umorusanych błotem traperach. Zamierzał zresztą zgarnąć tego wieczoru przynajmniej kilka punktów za dobre maniere, a patrząc na nieskazitelne wnętrza, był pewien, że schludność nie może zaszkodzić. Wyjął z plecaka butelkę wina i sięgnął po wniesione pod kurtką kwiaty. Chciał zrobić dobre wrażenie, a dziewczyny zawsze lubiły róże. Dla bezpieczeństwa białe, wolne od jakichkolwiek podtekstów. Zanim zdjął chroniący je papier, Ania wróciła i patrząc z uśmiechem na trzymany przez niego zestaw prezentów, mruknęła:

– Włączę alarm w trybie domowym. Na wszelki wypadek.

Podeszła do wiszącej na ścianie skrzynki, zezując, czy nie śledzi ruchu jej palców. Pochylił głowę, dając do zrozumienia, że nie podgląda wystukiwanej na klawiaturze kombinacji klawiszy, a ona kiwnęła głową z uznaniem i wbiła szyfr. Prostota kodu wywołała uśmiešek na jego twarzy, lecz stał go pośpiesznie, szeleszcząc równocześnie papierem w udawanej próbie nieudolnego rozpakowania bukietu. Gdy odwróciła się w jego stronę, widok zadowolonej kobiecej twarzy oraz pełnego dziecięcej ufności spojrzenia ponownie sprowokował go do uśmiechu. Marta miała kompletną rację: Anka była naiwna jak dziecko.

Kiedy przeszli w stronę salonu, ze zdumieniem odkrył, że stół jest nakryty, w kominku pali się ogień, a w tle leci Sinatra. Tego się nie spodziewał. Wyobrażalny scenariusz zakładał, że zamówi dla niego pizzę lub poda jakieś zeschnięte kanapki. O romantycznej kolacji przy świecach nie marzył w najśmielszych rojeniach.

Uśmiechnęła się na widok jego zdumienia i wyjaśniła:

– To, że masz się ukorzyć, nie zmienia faktu, że zamierzam zjeść przyzwoitą kolację.

Zaśmiał się głośno, nie wiedząc do końca, czy z niego szydzi, czy przebaczenie faktycznie przychodzi jej z taką łatwością. Zresztą nie miało to teraz większego znaczenia. Salon wyglądał wspa- niale, a ona ze spiętymi w koński ogon włosami i smukłą, dziewczęcą sylwetką działała na niego jak nigdy dotychczas. Spojrzał na białe stopy, pomalowane na karmazynowo paznokcie oraz wystrzępione u dołu nogawki dżinsów i przypominały mu się zapamiętane z obozów studenckich dziewczyny. Siedzące na nadbałtyckich podestach, pachnące solą morską, igliwem i kremem Nivea. Śmiejące się i biegające z chłopakami po plaży. Obserwowane przez niego z bezpiecznego ukrycia porastających nadmorskie wydmy krzaków kosodrzewiny i zeschniętych, przezartych solą gałęzi. Na roku tylko on nie miał dziewczyny i kumple często się śmiali, że zamiast politologii powinien być wybrać religioznawstwo. Albo od razu zakon zamknięty.

– Co u Renaty? – Przerwała jego wspomnienia, uśmiechając się i przekładając steki na przygotowane uprzednio talerze. – Wciąż cię namawia na koleżankę?

W tonie jej głosu wyczuł szyderstwo, lecz przyjął przytyk z pokorą. Miała rację, dworując sobie z jego dosadnych zalotów, i nawet jeśli jej kpiny prowokowały go teraz do złośliwej riposty, to mu-

siał je znosić bez słowa.

– Nie chciałem od tego zaczynać, ale skoro już pytasz... – Odwrócił się do niej plecami i otworzył szufladę w poszukiwaniu otwieracza do wina.

Uniosła brew z dezaprobatą wobec faktu, że grzebał bez pytania po jej szafkach, ale po chwili uznała, że jeśli ma coś z niego wydobyć, musi się uzbroić w większą cierpliwość. Przeniosła talerze na stół i czekając, aż skończy otwierać butelkę, milczała.

– Mówiłem już, że chcę cię przeprosić. – Sięgnął po stojący na stole kieliszek, nalał trochę wina na próbę i sprawdził. – W porządku. Mogę ci nalać.

– Nie pijesz?

– Nie, jestem autem. Pożyczyłem od kumpla, bo jutro z samego rana jadę się spotkać z Renatką w Dębicy.

Przyjrzała mu się zdziwiona, więc nie czekając na nieuchronne pytanie, wyjaśnił:

– Naopowiadałem ci całą masę kretyńskich historii. Nie wychowuję Renaty, a jej matka nie mieszka w Omanie, Jemenie czy gdzie tam wtedy palnąłem. Rozwiodła się ze mną, wyszła drugi raz za mąż i mieszka w Dębicy. Chcę się spotkać z Renatą przed Gwiazdką, bo na święta mnie nie zaproszą.

– Rozumiem – przytaknęła i ruszyła do kuchni po masło czosnkowe. – To znaczy przyjmuję do wiadomości. Nie mogę tylko zgadnąć, dlaczego wtedy kłamałeś.

Wróciła do stołu, usiadła i sięgnęła po czekający już na nią kieliszek wina. Zanurzyła usta i patrząc na niego, czekała na wyjaśnienie. Jego twarz była równie odpychająca co zwykle, ale świeżo obcięte włosy nadawały mu widok zabiedzonego, budzącego litość rekruta.

– Nie wiem. Przepraszam. Czasem coś we mnie wstępuje i przestaję panować nad tym, co mówię. Na mój widok ludzie źle reagują. Zwłaszcza kobiety. Wtedy zwykle postanawiam się na nich odegrać i opowiadam coś potwornego. Potem z reguły żałuję, ale niestety jest już za późno.

– A ja? Czym zasłużyłam na tę bajeczną opowieść? – Sięgnęła po sztućce, nie spuszczając z niego spojrzenia. – Nie byłam dość miła?

– Wyskoczyłaś z budki strażniczej, jak tylko na mnie spojrzełaś. Ulewa była lepsza od mojej fa-cjaty.

Kempa zaśmiał się gorzko, a ona poczuła się podle. Miał rację, tak właśnie było. Na dodatek sądziła, że nie zauważył jej histerycznej reakcji.

– Przepraszam, nie chciałam, żebyś tak to odebrał. Po prostu nie spodziewałam się, że w środku ktoś stoi... – skłamała, rumieniąc się wyraźnie ze wstydu.

– Gdyby wewnątrz był Mejer... – zaczął i zdał sobie sprawę, że znowu ulega wściekłości. – Przepraszam. Ten przytyk był niepotrzebny. Wyglądam okropnie i powinienem to wreszcie zrozumieć. Podobnie jak fakt, że masz prawo nie zapraszać mnie na swoje imprezy.

Kiwnęła głową i zaczęła przeżuwać w milczeniu. Rozmowa z Kempą szła w inną stronę, niż zakładała. Sądziła, że przeprosi ją za wtargnięcie, lecz wciąż będzie brnął w swoje mity. Jego szczerść nie była w planach. Podobnie jak wyjaśnienia, o które nie zdążyła nawet poprosić.

– Muszę się przyznać jeszcze do czegoś... – Zawiesił głos i spojrzał jej prosto w oczy. – Nigdy nie spotkałem Romana ani nie znam Adriana Brody'ego.

Zaśmiała się głośno i odłożywszy sztucę, odchyliła lekko na krześle. Ewidentnie potrafił być czasem zabawny, a ona nie podejrzewała go wczesz-niej o jakiegokolwiek poczucie humoru. Osoby upośledzone społecznie nie grzeszyły autoironią ani dystansem do siebie, a ona – słysząc od Marty o planowanym wywiadzie z Zalewskim – zyskała pewność, że to Kempa jest psychopata, który włamał się do niej do domu. Wskazywało na to nie tylko gładkie kłamstwo o rzekomym wyjeździe z Warszawy, lecz również fakt, że jego macki zaczynały się rozciągać na najbliższych znajomych. Tak jakby pajęczyna, którą plótl wokół jej domu, przestawała wystarczać i chciał się upewnić, że pozostałe elementy jej życia również są pod kontrolą. Zwłaszcza te powiązane z Tomaszem. Gdyby odpowiednio podszedł Michała, z pewnością wydobyłby z niego wszystkie szczegóły ich związku. A jeśli jeszcze uderzyłby w czułe struny, Zalewski z rozkoszą pomógłby mu zakończyć ich romans i żaden mężczyzna w jej łóżku nie byłby już dla Kempy przeszkodą.

Pociągnęła łyk wina i poczuła, że ogarnia ją rozluźnienie. Po raz pierwszy od kilku tygodni jej mięśnie nie były napięte, a uwolnione od nerwowego grymasu policzki odpoczywały, uświadamiając jej w pełni, w jak wielkim stresie ostatnio żyła.

– Świetny stek. – Przemek uśmiechnął się z zamkniętymi ustami. – Nie sądziłem, że potrafisz gotować.

Znów się zaśmiała i znów pociągnęła z kieliszka. Kempa był u niej w domu, więc mogła się zrełaksować. Oswojony i jedzący jej z ręki przestawał być groźny. Wystarczyło udawać, że się go lubi. Grać w jego grę i pozwalać mu wierzyć, że zdobył kolejny przyczółek. Nawet jeśli było to kwintesencją syndromu sztokholmskiego, miała to w nosie, dopóki dawało chwilowy oddech. Zresztą była też inna złota zasada: by wrogów trzymać najbliżej.

– Lubisz Sinatrę? – spytała uprzejmie, nie bardzo wiedząc, o czym by mogli rozmawiać.

– Jak każdy. Choć szczerze mówiąc, wychowałem się w innych klimatach i jeśli już miałbym wybierać, to osobiście wolałbym wokal Briana Johnsona. Niestety, on nie pasuje za dobrze do kolacji ze śliczną kobietą i romantycznego ognia w kominku... – Podniósł wzrok znad talerza i z błędzącym po ustach uśmiechem spojrzał na jej białą jak kreda twarz. – Znów coś głupiego palnąłem? Chodzi o piękną kobietę czy nastrojowość dzisiejszego wieczoru?

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc, co do niej mówi, i myśląc wyłącznie o tym, że ze wszystkich możliwych zespołów i wokalistów wybrał akurat tego. Tak jakby chciał jej dać do zrozumienia, że doskonale wie, co robiła z Mejerem przy AC/DC, i sugerował, że też jest na to gotowy. Może wręcz, że doceni jej repertuar zdecydowanie bardziej niż Tomasz.

– Nic się nie stało. – Przetarła czoło i potrząsnęła głową w przeczeniu.

Kempa wciąż się uśmiechał, ale zamiast jego paskudnej twarzy widziała tylko spadające z sufitu confetti. Tak jak we wszystkie bezsenne noce, gdy godzinami wyglądała przez okno, licząc na to, że dostrzeże go w padającym z zewnętrznych lamp świetle. Tym razem siedział tuż obok, a błąkający

się na jego wąskich wargach uśmieszek wprawiał ją w stan, jakiego wcześniej nie знаła. Paraliżował, pozbawiał siły na podniesienie widelca, sprawiał, że traciła zdrowy rozsądek i siłę do walki.

– Napij się wina. Żartowałem z tym romantycznym wieczorem. Nie rzucę się na ciebie, bez obaw. – Głos Kempy znowu był cierpki. – A nawet gdybym poddał się swoim zwierzęcym instynktom, to potem nie zdołam stąd uciec, nie ściągając sobie na głowę ochrony.

Spojrzała na niego przez stada kręcących się przed oczami płatków i spróbowała wyrównać oddech. Nie wiedziała już teraz, czy to Przemek z nią igra, czy wyobraźnia. Ze wszystkich zespołów na całym świecie dziennikarz muzyczny wybrał ten najbardziej znaczący. Czy to przypadek czy wręcz odwrotnie? Czy rzeczywiście uwielbiał Johnsona, czy może raczej usiłował ją jeszcze bardziej zstraszyć? Żadna z tych opcji nie była pewna i za każdą – nawet w obecnym stanie umysłu – potrafiła przeprowadzić godną Marty indukcję. Czy Kempa byłby aż tak pewny siebie, żeby z rozmysłem nawiązać do przebiegu nocnego włamania? Przychodziłby tutaj pod pozorem przeprosin, by jeszcze bardziej ją zaszczuć? By dać jej dowód, że bawił się nią od tygodni? Czy widok jej spoconego czoła był wart takiego ryzyka? A może nie ryzykował? Bo ostatecznie cóż mogła mu zrobić? Nawet gdyby dał jej dowody do ręki?

Poszła za jego radą i pociągnęła głęboki łyk wina, lecz ono zamiast pomóc, zagęściło jedynie fruważące jej przed oczami confetti. Jego płatki były teraz większe, ciemniejsze i mniej ruchliwe. Przytknęła powieki i śnieżyca na moment ustała. Otworzyła je znowu i poczuła, że sekundy dzielą ją od utraty kontaktu. Było jej słabo, a trzymany przez nią kieliszek chwiał się niepewnie, jakby za chwilę miał wypaść z dłoni. Przemek wstał i wyjął z jej wiotczującej ręki lampkę z czerwonym winem. Jęknęła, nie mogąc wydobyć słowa, a on objął ją w pasie i z zaskakującą łatwością uniósł na rękach.

– Położę cię – szepnął i ruszył w stronę sypialni.

W ostatnim przeblysku zauważyła jeszcze, że wniósł ją do ciemnego pokoju i ułożył na łóżku. Chwilę później straciła przytomność.

Obudziło ją nerwowe szarpanie za rękę i przenikliwy, histeryczny szept Kempy:

– Ania! Ania! Musisz wstać! Anka! – Klepał ją lekko po twarzy, próbując ocucić. – Wstawaj! Ktoś jest w ogrodzie!

Ostatnie zdanie przebiło się przez skołatany, półprzytomny mózg i dotarło do świadomości.

– Co takiego? – jęknęła. – Co mówisz?

– Ktoś łązi na zewnątrz! – Szept był skandujący, wyraźny i pełen napięcia. – Musisz wyłączyć alarm i pozwolić mi wyjść do ogrodu!

Otrzeźwiała i usiadła na łóżku. Wciąż była ubrana i nic nie wskazywało na to, by zrobił jej krzywdę lub poddał jakimś erotycznym praktykom.

– Która godzina?

– Dwadzieścia po pierwszej. Chodź, wyłącz alarm! Masz jakąś broń?

Spojrzała na niego, próbując ocenić, czy nie serwuje jej kolejnego mitomańskiego numeru, ale na jego twarzy dostrzegła wyłącznie histeryczną panikę. Jak na psychopatę przystało, Kempa był

świetnym aktorem.

– Skąd wiesz, że ktoś łązi? – spytała podejrzliwie i niespiesznie zsunęła się z łóżka. – Może coś ci się przywidziało?

– Zobaczyłem faceta przez okno! Zaglądał do środka! Wstawaj i wyłącz alarm! Jak zaczniesz wyć, koleś pryśnie!

– Pewnie już uciekł. – Wzruszyła ramionami i poszła korytarzem w stronę holu, ignorując jego zszokowane spojrzenie, trzęsące ręce i syczący szept, którym próbował zmobilizować ją do szybszego marszu. – Uspokój się! Zachowujesz się jak baba! – fuknęła i zamiast do drzwi skręciła w stronę kominka. – Masz!

Spojrzał na nią z jeszcze większym popłochem i przyjął podany lekkim gestem pogrzebacz, po czym pobiegł ku drzwiom i nie czekając, aż wstuka kod, zaczął przekręcać klucz w zamku.

– Zostań w środku i zamknij za mną drzwi! – wydał polecenie i opanowawszy drżenie rąk, chwycił pogrzebacz w sposób pasujący raczej do samurajskiego miecza niż łomu.

Uchylił drzwi, wypadł na zewnątrz i sportowym sprintem, który widziała już kiedyś w Łazienkach, ruszył dokoła domu. Zamknęła drzwi i obróciła się w stronę salonu. Jego rozpędzona sylwetka mignęła w kolejnych oknach i zapadła w ciemnościach, a ona dopiero gdy zniknął jej z pola widzenia, otrzeźwiała i trzęsąc się nagle ze strachu, zrozumiała, że działo się to, na co przez wszystkie noce czekała. Paradoksalnie jednak Kempa był ścigającym, a nie ściganym. Zgasiła światła i pognęła w stronę wielkich okien w salonie. W zasięgu wzroku przez dłuższą chwilę nie było nikogo, aż do momentu gdy Przemek przemknął ponownie. Teraz biegł wolniej, rozglądając się wyraźnie na boki i mijając drzewa w jakimś szalonym, pozbawionym pozornie sensu slalomie. Tak jakby liczył, że podglądacz ukrył się gdzieś w zaroślach, by obserwować jego maraton. Przyglądała mu się, nie do końca pojmując, co się właściwie działo. Czy Kempa naprawdę próbował złapać podglądającego ich przez okno intruza? A może wymyślił jego obecność i zainscenizował to wszystko, aby odwrócić podejrzenia od siebie? Może mężczyzny w oknie wcale nie było, a on wykorzystał fakt, że źle się poczuła, by oczyścić się z wszelkich zarzutów? I jak to właściwie się stało, że na tak długo straciła przytomność?

Włączyła ponownie światło i rozejrzała się po salonie. Stół był sprzątnięty. Jej niedokończony stek zniknął, podobnie jak nieopróżniony do końca kieliszek. Zajrzała do kuchni – po brudnych naczyniach nie było śladu, a prawie pełna butelka wina stanowiła jedyną oznakę niedokończonej kolacji. Wzięła ją w dłonie; chianti pachniało normalnie. Skrzywiła się zniechęcona absurdalnością swojego toku myślenia. Czy naprawdę sądziła, że wrzucił jej coś do kieliszka? Może pigułkę gwałtu, z której działania postanowił nie zrobić właściwego użytku? Westchnęła i powlokła się do salonu. Być może Przemek wykorzystywał okazję, by udowodnić, że nie jest śledzącym ją psychopatą, ale skąd wzięłby tabletkę? I dlaczego zamiast wrzucić ją do koktajlu jakiejś klubowej panienki, marnowałby ją na uśpienie kobiety, która osobiście otworzyła mu drzwi swego domu? Pewnie zwyczajnie była zmęczona – po wszystkich bezsennych nocach i permanentnym stresie ostatnich tygodni. A wino zrobiło resztę.

Kiedy pięć minut później zastukał do drzwi, upewniła się dwukrotnie, że to jego głos słyszy i w końcu wpuściła go do środka.

– Uciekł. – Kempa złożył się wpół ze zmęczenia i popatrzył na nią z namysłem. – Zostawił ci niespodziankę.

Oparł się dłońmi o uda i trwał przez chwilę w tej pozie, dysząc ciężko i próbując wydusić kolejne zdania. W końcu siadł na podłodze i zarzuciwszy próby dalszych wyjaśnień, zaczął zdejmować przemoczone, brudne od błota skarpetki.

– Chcesz wody? – spytała, a on kiwnął głową.

Kiedy wróciła ze szklanką, stał boso i ciągle ciężko oddychał.

– Kurewsko duży ten teren. Przepraszam za kolokwializm.

– W porządku. – Uśmiechnęła się, dostrzegając w nim rys człowieczeństwa. – „Kurewski” to odpowiedni epitet.

– Co tu się dzieje?! – Przemek przestawał powoli sapać, a raz użyty wulgaryzm otworzył tamę i pozwalał skanalizować emocje w najmniej brutalny ze wszystkich przychodzących mu teraz do głowy sposobów. – Ty wiesz, co za kutas tu łąził?!

– Nie mam pojęcia.

– Był wcześniej?

Zawahała się. Udawał czy faktycznie nie był w to zamieszany? Powinna powiedzieć mu prawdę czy raczej skłamać?

– Jest tu codziennie. – Zdecydowała się w końcu na szczerłość, uznając, że jeśli to Kempa ją prześladowuje, to wie doskonale, jak często tu bywa. Kłamstwo nie mogło jej w niczym pomóc.

– O kurwa!

– Tak. Kurwa, chuj, dupa, sraka i odbyt – wyrecytowała zirytowana pełen zestaw przychodzących jej w pierwszej chwili do głowy bluzgów. – Pierdolę, cipa, kutas, ja jebię! Możemy już przestać?

Popatrzył na nią i kiwnął głową.

– Przepraszam.

– To nie pomaga.

– Przepraszam.

– W porządku.

– Naprawdę codziennie?

– Tak.

– Jak ty to znosisz?

– Ledwo.

– Mejer wie?

Pokręciła głową i czując na sobie ciężar całego wieczoru, rozplakała się na jego oczach.

– Wie tylko Marta.

– Policja?

– Nie.

Zamilkł na moment i widząc, że nie panuje nad sobą, podszedł powoli i położył dłoń na jej ramieniu. Nie strząsnęła jej z siebie, więc zbliżył się jeszcze bardziej i pomału przesunął rękę pomiędzy jej sterczące lekko łopatki. Załkała i pozwoliła się objąć.

– Jestem taka zmęczona...

Przyciągnął ją mocniej do siebie i zanurzył twarz w pachnących szamponem włosach.

– Wiem.

– Strasznie zmęczona.

– Rozumiem. Wszystko rozumiem.

Pogłaskał ją uspakajająco po włosach i uśmiechnął się w ekstazie nad jej ramieniem. Marta miała we wszystkim rację – wystarczyło zaoferować jej przyjaźń. Tą drogą zdecydowanie szybciej docierał do celu. Uniósł jej głowę i spojrzał w oczy, walcząc przez moment z pokusą przywarcia ustami do mokrej od płaczu twarzy.

– Muszę ci coś pokazać. To nic wielkiego i łatwo da się naprawić, ale powinnaś zobaczyć to teraz. Jeśli chciałabyś wezwać policję albo ochronę, zrób to od razu.

Czyli to nie był koniec. W ogrodzie czekało na nią coś więcej. Niespodzianka od podglądacza, o której wcześniej napomknął. Jęknęła, czując w sobie mieszanek paniki i ulgi. Jeśli faktycznie coś się stało na zewnątrz, to pomyliła się co do niego. Kempa nie był psychopatycznym intruzem, który podglądał ją w sypialni z Tomaszem. Nie osaczał jej, nie tworzył intryg, o które go oskarżała, ani nie czerpał radości z jej strachu. Podejrzewała go, bo był inny niż reszta znajomych. Brzydki i ekscentryczny. Mówiący rzeczy, których później żałował nie z tego powodu, że sam był okrutny, tylko dlatego, że było mu przykro. Chronił się za maską podłości, którą wzięła za psychopatię, bo bał się zranienia. W rzeczywistości jednak był porządnym, wrażliwym facetem, który zachował się jak dżentelmen, kiedy zasłała, i jak bohater, gdy zauważył kogoś w ogrodzie. Naraził się dla niej, wychodząc na zewnątrz i nie próbując udawać, że nic się nie dzieje. Nie proponował antynapadu ani telefonu na komisariat, tylko sam zajmował się sprawą. Jak prawdziwy mężczyzna, nie mięczak. A co najważniejsze, nie próbował wykorzystywać tej chwili, by ukoić jej nerwy w nazbyt zażyły, rodzący podteksty sposób. Nie przekraczał raz wytyczonych mu granic, choć teraz wcale nie była już pewna, czy przez ostatnie minuty bariera, którą wcześniej przed nim stawiała, nie przesunęła się znacznie na jego korzyść. Gdyby ją pocałował, kiedy płakała, zaprzepaściłby wszystko. Uznałaby to za nadużycie i odsunęłaby się od niego ponownie. Z jeszcze większą niż dotąd obawą oraz wstrętem. Lecz on to przewidział. A może po prostu miał klasę? Źle go wcześniej potraktowała, a fakt, że mogła teraz nadrobić wcześniejszą pomyłkę, był mimo wszystko krzepiący. Kempa okazał się lepszym wsparciem niż to, które dawał jej Tomek. Tamtego w zasadzie nie było, bo Mejer był zbyt pochłonięty nagraniem płyty, nieudanym małżeństwem i sobą. Potrzebował jej jako tła, nie pierwszoplanowej aktorki. Dla Przemka była ważniejsza. Wiedziała o tym od dawna, nawet jeśli przez długie miesiące próbowała ten fakt ignorować. W jego życiu jej miejsce było bardziej znaczące, a rola nie sprowadzała się wyłącznie do snobistycznego gadżetu, seksu czy ozdobnika.

Wzięła głęboki oddech i spojrzawszy na niego z rozmysłem, spytała:

– Co zrobił? Wykarczował mi ogród czy zniszczył lampy?

– Włóż kurtkę. Na zewnątrz jest zimno i nie wypuszczę cię tak ubranej.

Kiwnęła głową. Myśl, że troszczył się o nią w takim szczególe, była miła, bardziej niż była gotowa to przyznać. Wsunęła bose stopy w stojące w kotłowni kalosze i narzuciła na siebie bluzę. Kiedy wróciła, on czekał już w swoich myśliwskich traperach.

– Idziemy?

– Masz może latarkę?

Ponownie skinęła głową i przyniosła z garażu potężny halogenowy reflektor.

– Powinnam wziąć taser?

Kempa spojrział na nią zdziwiony.

– Kupiłam na wszelki wypadek...

– Raczej nie będzie potrzebny. – Uśmiechnął się tajemniczo i przesunął dłonią po lekkim siwym zarostku. – Chyba że bardzo się boisz. Choć nie podejrzewam, żeby włamywacz wciąż czaił się w krzakach.

Włamywacz? Użył słowa włamywacz? Wszystkie kontrolki zapaliły się nagle w jej głowie, a latające przed oczami płatki wróciły. Skąd mógł wiedzieć, że podglądacz wtargnął wcześniej do domu? Czyżby się znów pomyliła?

W jej oczach rosła teraz wściekła, bezwzględna, żądająca natychmiastowej zemsty nienawiść, która z początku go nieco zdziwiła, lecz już po chwili zaczęła wprawiać w stan euforyczny. Agresja była wyższym poziomem wtajemniczenia, na który wspięła się zaskakująco szybko, wychodząc z fazy wyparcia, przechodząc płynnie przez uzalanie nad sobą i wkraczając w gotowość do walki. Jej furia go podniecała. Czyniła z bezbronnej kobiety, którą wciąż była, obiekt znacznie bardziej pociągający. Pocałowanie jej, kiedy płakała, było kuszące, lecz równocześnie zbyt łatwe i łzawe. Nudne i rzewne niczym seks na pocieszenie. Gdyby teraz udało mu się ją uwieść, paznokcie na jego plecach i wściekłe ukąszenia przedramion byłyby znacznie cenniejsze niż wyszlochowane w mankiet próby ulżenia smutkowi. Był gotowy na wszystko, byle tylko utrzymać ją teraz w tym stanie. Aż do kulminacyjnego momentu, gdy w końcu – wciąż rozwścieczona – ulegnie i pozwoli mu, by rozerwał na niej ubranie. Chwycił ją mocno za rękę i nie zważając, że próbuje się wyrwać, pociągnął na zewnątrz.

– Idziemy! – krzyknął, gdy próbowała się oswobodzić. – Przecież sama chciałaś zobaczyć!

Jego nagła brutalność ją oszołomiła. Sekundy temu był przyjaznym, ciepłym mężczyzną gotowym ją bronić przed tajemniczym intruzem, teraz – pod wpływem chwilowego zwątpienia – zmienił się w samca alfa. Nieznoszącego sprzeciwu, agresywnego, dowodzącego każdym swym gestem, że ani przez chwilę nie była przy nim bezpieczna. Potknęła się o stopnie przed domem i przewróciła, lecz on nadal ciągnął jej rękę i podniesionym głosem żądał, by wstała.

– Co ty wyprawiasz?! Wstawaj! Idziemy!

Uniosła się z kolan niepewna, co czeka na nią w ogrodzie. Próbując choć trochę spowolnić impet, z jakim ją szarpał. Może powinna wykorzystać ten moment, wyrwać się i zawrócić do domu?

Zamknąć drzwi i wezwać policję? Zanim zdążyła podjąć decyzję, Kempa złapał ją mocno za łokieć i podniósł ze schodów.

– Chodź! Przestań popadać w histerię!

Szarpnął nią mocno, pociągnął za róg budynku i nim zdołała ogarnąć przelatujące przez głowę myśli, uniósł rękę.

– Widzisz?

Spojrzała w kierunku, w którym wskazywał. Kilkanaście pomalowanych na śnieżną biel desek stanowiących dotychczas poszycie dachowe zamiast na swoim miejscu tkwiło teraz w równym stosiku pod ścianą. Ułożone równo nie sprawiały wrażenia wyrwanych przemocą, lecz raczej przygotowanych przez robotników do planowanego montażu.

– Jezu! – jęknęła i ulegając nadmiernym emocjom, osunęła się powoli na mokry od śniegu trawnik.

Przemek pokiwał głową.

– No właśnie. Chyba planował się włamać.

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc jeszcze do końca, co do niej mówił. Tak jakby wszystko to, co się działo, było kompletnie pozbawione logiki. Jego zmienne nastroje, rozłożony przez kogoś na części pierwsze fragment podsufitki i widoczne w świetle latarki elementy więźby dachowej. Mokra ziemia, na której siedziała, i fakt, że po niepełnym kieliszku wina straciła kontakt z rzeczywistością. To, że nie pocałował jej, gdy miał do tego sposobność, a teraz patrzył z rosnącym głodem, który lepiej niż do jego ohydnej twarzy pasował do oczu Tomka. Myśli o dziurze w dachu przemieszane z erotycznym napięciem, które wisiało w powietrzu, nie dając się zignorować, strach przed tym, co potencjalnie mógł zrobić, i świadomość, że mimo wszystko był poza podejrzeniami. Że użycie słowa „włamywacz” miało inny kontekst, niż w pierwszej chwili sądziła.

– Chodź, wracamy do środka. – Kempa wyciągnął w jej stronę rękę i pomógł się podnieść na nogi. – Teraz już wiesz, więc nie ma powodu marznąć. Ten chuj już tu dzisiaj nie wróci, a ja niedługo muszę się zmywać. Zanim pojedę, musimy ustalić, co teraz robimy.

– My? Od kiedy to stało się naszą sprawą? – Z tonu jej głosu znowu zniknęła bezradność i powróciły twarde nuty wściekłości.

– Odkąd przyszedłem do tego domu, a ty upiłaś się pierwszym kieliszkiem? – rzucił kąśliwie przez ramię. – A może od chwili, gdy jak kretyń biegałem po ogrodzie w skarpetkach, trzymając w ręce pogrzebacz? Nie mogę się zdecydować...

Ruszyła za nim w kierunku wejścia do domu, przyznając mu w duchu rację. Teraz to była ich sprawa. Jej, Marty i Przemka. Każdej uczestniczącej w tej chorej przygodzie osoby.

– No dobrze. – Zamknęła za nimi drzwi i ponownie wstukowała kod na klawiaturze. – Więc co, twoim zdaniem, należy w tej sprawie zrobić?

Kempa zdjął z siebie kurtkę i pomógł jej się rozebrać.

– Chwilowo nie mam pojęcia. Chyba powinniśmy wezwać policję. Choć z drugiej strony, znając ich możliwości, nie jestem pewien, czy cokolwiek w tej sprawie zrobią.

Skinęła głową, przyjmując jego argument. Marta miała inne zdanie, lecz jej osąd był subiektywny. Sądziła, że koledzy z policji są mądrzejsi, niż byli naprawdę, i posiadają większą zdolność rozwiązywania zagadek niż prości zjadacze chleba. Że wsparci nowoczesną techniką, bazami danych i katalogiem notowanych przestępców są w stanie dotrzeć do prawdy. Złapać drania, skutecznie oskarżyć i skazać. Marta wierzyła we wszystko, w co ona osobiście szczerze wątpiła. Polska policja i prokuratura dalekie były od służb wywiadowczych pokazywanych w amerykańskich serialach. Wystarczyło przejść się po korytarzach warszawskiej komendy albo odwiedzić Martę w jej zapyziałym, współdzielonym z kolegą pokoju. Zapach kurzu, stary komputer i stosy teczek z wyświechtanymi rogami nie sprawiały wrażenia fachowych i przekonujących. Podobnie jak wciąż używana przez Martę elektroniczna maszyna do wypełniania protokołów przesłuchań i setki papierów na biurku. Polski wymiar sprawiedliwości był anachroniczny i grzązł w biurokracji. Na myślenie nie było przestrzeni, a jeśli już komuś zdarzało się tutaj cokolwiek rozważać, to raczej kwestię własnego awansu lub panujących w urzędzie układów. Większość spraw, które kończyły się w Polsce sukcesem, rozwiązywało dzieło przypadku, a nie umysł przenikliwego inspektora Kojaka. Z reguły winny przyznawał się do przestępstwa albo zwyczajnie był głupi. Przeważnie również należał do rodziny ofiary.

– Nie sądzę, żeby policja pomogła – powtórzyła za Kempą, wciąż jeszcze kiwając głową w namyśle. – Co zatem?

– Musimy sami go złapać. – Przemek uniósł ramiona, tak jakby wniosek był oczywisty, a plan łatwy do wykonania. – Innej metody nie widzę.

– Nie spałam przez dziesięć nocy, próbując gnojka wysledzić. Bez skutku. Jedyny efekt jest taki, że ślaniam się ze zmęczenia.

– Bo źle do tego podchodzisz. Nie możesz siedzieć przez całe noce, licząc, że go zobaczysz przez okno. Zresztą, co jeśli nawet?

– Nie wiem. Sądziłam, że jeżeli będę wiedziała, kim jest, to łatwiej mi będzie coś sensownego wymyślić.

Kempa zaśmiał się głośno swym rechoczącym, cynicznym śmiechem i spojrział na nią jak na kompletną kretynkę, a ona poczuła, że znowu robi się wściekła. Jak śmiał ją oceniać? Czy miał pojęcie, przez co ostatnio przeszła? Oraz że dziura w dachu była tylko jednym, mniej nawet drastycznym niż chodzenie po domu kawałkiem większej całości? Sądził, że ktoś spaceruje po jej ogrodzie jak on po Łazienkach? Spokojnym krokiem i bez morderczych zamiarów?

– Co cię tak bawi? – warknęła. – Uważasz to za zabawne?! Ania idiotka czeka na włamywacza, sącząc wino i piłując sobie paznokcie?! Bardzo to, kurwa, jest śmieszne! Możesz wciągnąć ten dowcip do kanonu zajebistych anegdot, którymi raczysz znajomych!

– To, kurwa, mnie bawi, że zakładasz, że znasz jegomościa. Gratuluję znajomych!

– A po chuj, twoim zdaniem, jakaś nieznana osoba miałaby mi to robić?

– Nie wiem, do kurwy nędzy! Zadowolona?!

Spojrzała na niego, rozbawiona konkursem nabluzgi i równocześnie wciąż wściekła. Poczucie kompletnego absurdu wróciło z podwójną mocą, a ich obecna rozmowa bardziej niż rozważania na temat mało przyjemnych wydarzeń przypominała Gombrowiczowski pojedynek na miny.

– Zakładając, że możesz mieć rację, co zrobisz, gdy go zobaczysz? Zaprosisz na kawę i poprosisz o wyjaśnienia?

– Być może. Przynajmniej będę miała możliwość przemyślenia jego motywów.

Kempa spoważniał i skinął głową.

– To jest jakiś argument. Ale uważam, że demaskacja intruza bynajmniej nie załatwi tematu. Powinniśmy zrobić jakąś zasadzkę, złapać go i połamać mu gnaty.

– Świetna koncepcja. Zbudujemy ambonę! Zagonimy go na nią, zamkniemy i podpalimy! W takich akcjach masz przecież wprawę!

Przemysław stęzał i przez chwilę spoglądał na nią w milczeniu.

– Przepraszam – wydukał w końcu. – Nie powinienem był opowiadać tych idiotycznych, zmyślonych historii. Nie sądzisz chyba, że mówiłem wtedy poważnie?

– Szczerze mówiąc, tak właśnie sądziłam. Podejrzywałam również, że to ty mnie podglądasz. Masz odpowiedni profil kompletnego pojeba!

– Przynajmniej o mnie myślałaś. – Skrzywił się cynicznie i parsknął. – Nie miałem aż tak rozbu-
chanych nadziei. Z dwojga złego lepiej być zajmującym czyjeś myśli pojebem niż nikim.

Zamknęła usta i przez dłuższą chwilę patrzyła na niego w całkowitym milczeniu. Znów zanurza-
li się w nonsens. Walczyli ze sobą, nie posuwając się ani odrobinę do przodu. A przecież byli tak blisko. We dwoje mieli szansę poskładać wszystko w jedną logiczną całość. Ona znała zapewne oso-
bę, która stała za całą historią, a on ją dzisiaj zobaczył. Praktycznie miał na widelcu. Gdyby nie fakt, że tyle zajęło jej wstanie z łóżka, mógł złapać prześladowcę za rękę.

– Ty go przecież widziałeś...

– Przez moment. Stał za tym oknem i zaglądał do środka. – Przemek oderwał od niej wzrok i wskazał na boczną ścianę salonu. – Ale nie widziałem go dobrze. Raczej zarys sylwetki i nieco le-
piej kształt twarzy.

– Nie rozpoznałeś osoby?

– Nie mam zbyt dobrej pamięci do twarzy.

– Gruby? Chudy? Wysoki? Niski? Łysy, w czapce, z włosami? – Zaczęła recytować, próbując wy-
dobyć z niego coś więcej.

– Średniego wzrostu, szczupły i niezbyt młody. Lekkie zakola, spory nos, przerzedzone sterczą-
ce włosy...

– A zatem nie Marek – westchnęła z ulgą. – Ani nie Kryski.

– Podejrzywałaś Marcina? Przecież to absurd! Kryski to gej i bon vivant!

– Podejrzywałam każdego. Skup się. Coś jeszcze? Broda? Zarost? Kształt głowy? Podbródek? Nic nie pamiętasz?

Kempa zamknął oczy w wystudiowanym namyśle i jęknął:

– Czy ja wiem? Nic specjalnego. Koleś po pięćdziesiątce, tak jak mówiłem. Niezbyt chudy, ale nie gruby. Miał szczupłe ręce i długie palce pianisty. Sterczące włosy – nie czarne, ale również nie siwe czy jasne. Pełne usta i bruzdy palacza. Dwie poprzeczne zmarszczki na czole. Duży nos. Nie wąski, tylko kartoflowaty. Inteligentne spojrzenie, czarne ubranie.

Opis zaczynał się składać w całość i choć nie miała jeszcze pewności, to zdecydowanie była teraz bliżej odkrycia prawdy. Brakowało jednego, przeważającego szalę szczegółu. Drobiazgu, który pozwoliłby rozwiązać wątpliwość. Ale czy mogła na taki liczyć? Fakt, że w krótkich ułamkach sekund Przemek zapamiętał tak wiele i tak bliski był cudu. Nie mogła spodziewać się więcej. I bez tego posunął ją znacznie do przodu. A jednak... Gdyby tylko podał jakiś element, który ostatecznie rozstrzygnąłby dylematy... Spojrzała na jego zaciśnięte powieki oraz zmarszczone wysiłkiem czoło i zadała ostatnie, sugerujące kierunek myślenia pytanie:

– Widziałeś jego dłonie. Czy coś cię w nich uderzyło poza smukłymi palcami?

Kempa uśmiechnął się bardzo szeroko i nie otwierając oczu, dopełnił opisu:

– Na prawej ręce miał kilka szerokich obrączek, a na nadgarstku rzemyki. Czarne lub ciemnobrązowe...

Nabrała głęboko powietrza, przeniosła wzrok na okno, które wcześniej jej wskazał, i ponad wszelką wątpliwość rozpoznała twarz oraz sylwetkę Michała.

Kempa wyszedł nad ranem wyposażony w napój energetyczny i termiczny kubek z gorącą kawą. Na pożegnanie pozwoliła mu pocałować swój policzek i przekazać całą serię przestróg, rad i zapewnień, że gdyby cokolwiek złego się działo, może do niego zadzwonić. Przez najbliższe dni była jednak jego zdaniem bezpieczna. Jej rodzice mieli przylecieć na święta, a intruz z pewnością będzie ten czas spędzał z własną rodziną. Nie było powodów do większych obaw. Powinna się wyspać, odpocząć, może nawet wziąć urlop. Do Wigilii zostało pięć dni i w pracy nic nie miało się prawa wydarzyć. W każdym razie nic, co wymagałoby ośmiogodzinnej bytności w biurze.

Zamknęła za nim drzwi i zaczęła podążać za jego tokiem myślenia. Chyba rzeczywiście miał rację, choć fakt, że będzie w domu w towarzystwie rodziców, krzepił ją mniej, niż była skłonna to przyznać. W zasadzie powinna zatrzeć przed ich przyjazdem wszystkie ślady ostatnich wydarzeń. Nie chciała ich martwić i nie była gotowa na setki pytań, które niewątpliwie zadałaby matka, oraz na karkołomne pomysły rozwiązania zagadki, jakie podsuwałby ojciec. Poza tym, jeśli Przemek się mylił i coś miało się jeszcze wydarzyć, obecność rodziców jedynie skomplikowałaby sytuację, a zrujnowane święta przez następne miesiące byłyby tematem przewodnim wszystkich rozmów na Skypie. Nie była na to gotowa. Ale czy była przygotowana na to, co działo się w domu? To miała być ich pierwsza wizyta w tym miejscu, a ona – zanim na oknach zaczęły się pojawiać kartki pełne złośliwych uśmieszków – żywiła nadzieję, że będzie się mogła pochwalić swoim sukcesem oraz urodą nowego mieszkania. Marzyła, że oszołomi ich wielką, stojącą w holu choinką, masą prezentów i tradycyjnym menu, które planowała na święta. Że w Dolby Surround odtworzy zapamiętane z dzieciństwa kolędy i klasyczne przeboje festiwalu w San Remo. Wszystko to teraz wydawało się miłą. Zdecydowanie bardziej wolałaby usiąść z nimi przy zaciągniętych roletach i zdradzić sekrety, podzielić się strachem, poprosić o radę. Poczuć się znowu jak mała dziewczynka, która biegnie do mamy z rozbitym kolanem, prosi tatę o pomoc, kiedy złośliwy kolega z klasy przypina pinokkę jej warkocz do ławki, i wypłakuje oczy w ich pełne troski kolana, gdy klasówka poszła gorzej, niż mogła. Problem polegał na tym, że więź z rodzicami rozluźniła się przez wszystkie lata, które dzieliły tę chwilę od ich decyzji związanej z wyjazdem. Z początku wciąż byli obecni w jej życiu. Znali przyjaciół, problemy i otoczenie. Lecz z czasem w jej świecie zaczęli się pojawiać nowi ludzie, nowe miejsca pracy i mieszkania. Pierwszy mąż zniknął, a jego rolę przejęli wymieniani zbyt często mężczyźni, o których istnieniu nawet nie wspominała. Rozmowy stały się powierzchowne i zamykały w banalnych pytaniach, czy wszystko dobrze, czy jest zdrowa i jak się czuje. Czy nie pracuje za ciężko i nie potrzebuje przypadkiem pieniędzy. W rewanżu dopytywała o zdrowie, pogodę w Vancouver i pracę ojca. Z czasem przestała nawet zadawać pytanie, czy wróćą do Polski. Wiedziała, że tego nie planowali. Kanada była ich nowym domem, a uzyskane w końcu obywatelstwo ostatecznie rozwiązało dylemat. Chcieli się tam zestarzeć. Nawet jeśli mieli być bez niej.

Rzuciła się na łóżko, budząc drzemiącego na kapie Stefana, i po raz pierwszy od jego kociego dzieciństwa pozwoliła, by wlaźł na nią i zwinął się w kłębek na obojczyku. Mruczał kojąco i dawał

poczucie spokoju. Strząsnęła ogon ze swojej twarzy i pogłaskała miękkie, puszyste futro. Kot uchylił powieki, spojrział na nią z bezwarunkową miłością i przekręcił się rozkosznie, wbijając głowę pod jej podbródek. Przez moment trwała w tym stanie całkowicie bezmyślnie. Zadowolona z chwili totalnego relaksu i nieobecności nękających ją permanentnie przemyśleń. Było dobrze, spokojnie i słodko. Zamknęła oczy, a twarze rodziców zaczęły się lekko rozmywać. Zalewski rozpląwał się powoli za oknem, rozwiewany przez wiatr ogarniającej ją powoli senności. W końcu zniknął zupełnie. Podobnie jak odciśnięte na skórze chłodne wargi Kempy, zaszyta w ciele pamięć orgazmów, które dawał jej Tomasz, oraz dzwoniący w uszach, pełen napięcia głos Marty. Przez kilka godzin świat znowu był pusty. Istniała tylko ona, ciepłe futro leżącego przy niej Stefana i cisza. Sen bez obrazów, lęków i wstrząsających jej ciałem nerwowych tików. Wolny od napięć niczym drzemka czekającego na pierwszą gwiazdkę dzieciaka.

Pięć godzin później zerwała się, płosząc kota i próbując odgadnąć, co mogło ją tak nagle obudzić. Dom był pogrążony w ciszy i szarym, zimowym świetle. Zegar wskazywał dziesiątą. Przez kilka sekund nasłuchiwała w napięciu płynących z ogrodu odgłosów. Nic. Aż do momentu, gdy dźwięk domofonu rozerwał ciszę ponownym, krótkim sygnałem. Przetarła oczy i pognąła do drzwi. Na monitorze widniała uśmiechnięta twarz Marka. Nacisnęła przycisk i w panice pobiegła do najbliższej łazienki. Jej włosy były w nieładzie, a wczorajszy makijaż rozcierał się w szare smugi. Trudno. Nie było czasu na nic więcej niż wytarcie drobinek pokruszonego tuszu, który osiadł jej na policzkach.

Marek wparował do domu pachnący igliwem i grudniową wilgocią. W jego rękach tkwiła gigantyczna, opakowana w siatkowy pokrowiec choinka. Spojrzała na niego ze zdumieniem i roześmiała się głośno. Pochylił się, pocałował ją na powitanie w policzek i zakrzyknął niskim, tubalnym głosem:

– Ho! Ho! Czy są tu jakieś grzeczne dziewczynki?!

Zachichotała jak pięciolatka i patrząc na niego z zachwytem, przytrzymała choinkę, by mógł zdjąć z siebie elegancką narciarską kurtkę.

– Dziadku Mrozie! Dziadku Mrozie! – zapięła wysokim dziecięcym głosem, dusząc się między słowami chichotem. – Masz dla mnie różgę czy prezent?!

– Ho, ho! – Woźniak z trudem zapanował nad śmiechem i przejmując z powrotem drzewko, spojrział na nią wyjątkowo dwuznacznie. – Będziesz musiała usiąść mi na kolanach i przyznać się do wszelkich występków, maleńka!

Parsknęli śmiechem, a ona złożyła się w pół i przez dłuższą chwilę nie mogła dojść do siebie. Wizyta Marka była niespodziewana, radosna oraz wspaniale beztroska, a jego przystojna twarz, piękne ciuchy oraz chochliki w oczach stanowiły cudowną odmianę po szkaradnej postaci Przemka i melancholijnych ponad wszelkie wyobrażenie minach, jakimi raczył ją Tomasz. Przez ostatnie tygodnie zdążyła zapomnieć, jak miło spędzało się czas w wolnym od napięć i pełnym uroku towarzystwie Woźniaka. Jego zadbane skóra, dentystyczna biel szerokiego uśmiechu i ostentacyjnie zamożne ubranie były krzepiące w swej normalności. Ich pretensjonalność zniknęła, a dostrzegany

uprzednio snobizm był niczym więcej niż docenieniem jakości, wygody i dobrobytu. Naturalnym – w przeciwieństwie do tego, czego doznawała ostatnio.

– Masz ochotę na kawę? – spytała z uśmiechem, gdy skończył ustawiać dwumetrową choinkę.

– Jasne. A tak w ogóle, to przepraszam, że przyjechałem tak wcześnie. Sobotni poranek jest kiepskim momentem na odwiedzin, ale co roku rozwożę drzewka wszystkim osobom, które kupiły ode mnie domy. Taka świecka świąteczna tradycja.

– To miłe. Ile już jest tych choinek? Jeśli to nie tajemnica, rzecz jasna.

– W tym roku czternaście.

– Sporo.

– Rok temu było trzydzieści.

Spojrzała na niego nad filiżanką, ale nie odważyła się zadać kolejnego pytania. Jego sprawy nie powinny jej interesować – zwłaszcza te dotyczące pieniędzy i mniej lub bardziej skomplikowanych biznesów.

Dostrzegł jej stłumione zaciekawienie i uśmiechnął się szeroko.

– To nie tajemnica, a ty nie jesteś przesadnie wścibska. Rozwiodłem się, a moja ekszona przejęła „większą połowę” majątku i naszych wspólnych przyjaciół. A że przez lata inwestowała wyłącznie w te znajomości, które były dla nas korzystne, to jestem obecnie zwolniony z obowiązku dopieszczenia swoich niegdysiejszych najbogatszych klientów. O nich dba teraz sama.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się z ponurym cynizmem. Jego historia nie była ani szczególnie dramatyczna, ani niezwykła. Przekroczył czterdziestkę i doszłusował do grupy swoich starszych kolegów, którzy przeszli tę drogę kilka lat wcześniej. Ich ośmielone dobrobytem małżonki, znudzone już nieco nużącą codziennością zakupów, salonów kosmetycznych i spotkań z przyjaciółkami, uznawały kolejno, że mężowie myślą wyłącznie o kasie, a one marnują się przy nich niczym śniedziejące w mrocznej szkatule klejnoty. Pewne siebie, dobrze opakowane i bawiące się w kręgach adekwatnych do ich wymagań dochodziły do wniosku, że wolność i połowa majątku zwyczajnie im się należą, a za małżeńskim progiem czeka już na nie pełna niezwykłych uniesień, szarmanckich mężczyzn i ekscytujących przygód nowa droga ich życia. Nie do końca wiedziały jaka, ale z pewnością wypełniona niegrzecznymi chłopcami na motocyklach, potężną miłością i tajemnicą. Oraz – koniecznie – wielką dawką perwersyjnego, dzikiego seksu.

Kiwnęła głową, wciąż nie mając odwagi skomentować jego wyznania. Rozwody nie były tematem, który chciała omawiać. Tym bardziej z mężczyzną mającym te przeżycia na świeżo. Jej własne rozstanie stanowiło wystarczający koszmar, by pragnąć jak najszybciej o nim zapomnieć. Rozgrzebywanie wspomnień nie było nikomu potrzebne.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy i próbując oderwać myśli od tematu, który wyraźnie go teraz zasępiał. – Choinka jest piękna, a ja raczej nie byłabym w stanie takiej tu przywieźć i samodzielnie ustawić.

– A co się stało z tym przystojnym facetem? – zadał pytanie i ugryzł się w język. – Przepraszam, nie odpowiadaj.

– Ten przystojny mężczyzna ma żonę, dziecko i własne kłopoty. Ja jestem tylko przyjemną odskocznią. Tym bardziej urocza, że nie wymagam zakupu choinek i mielenia maku na święta...

Rozgoryczenie we własnym głosie i brutalny cynizm, z jakim mówiła o Tomku, samą ją zaskoczyły. Czy naprawdę tak o nim myślała i uważała, że ma w nosie jej sprawy? Okazywał jej przecież uczucie i był de facto gotowy, by rozwieść się dla niej z Teresą. Przynajmniej tak sądził. To ona była hamulcem i przeciwnikiem ich wspólnej przyszłości.

– Jestem niesprawiedliwa – wyjaśniła na głos nurtujący ją wyrzut sumienia. – On jest żonaty, a ja go nie chcę na stałe. Taka jest prawda.

– Rozumiem. – Woźniak pochylił głowę i patrzył na nią spokojnie, wolny od ocen czy chęci udzielenia życiowej porady.

– Po pierwszym małżeństwie nie mam przesadnej ochoty na drugie – dodała. – Na pewno to dobrze rozumiesz.

Uśmiechnął się tylko i bez słowa sięgnął po filizankę.

– Trochę zepsułam nam nastrój tym idiotycznym pytaniem o liczbę choinek. Przepraszam. To było wścibskie i nie na miejscu.

– Mój nastrój ostatnio zawsze jest taki.

– Mój również. Z wyjątkiem dzisiejszego poranka. Więc tym bardziej powinnam była się zamknąć.

Woźniak odstawił kawę, spojrzał na nią z namysłem i w końcu zadał pytanie:

– Chcesz o tym pogadać? Choinki nie zwiędną.

– Sama nie wiem. To długa historia.

– Nie będę nalegał, ale...

Przyjrzała mu się i dostrzegła w spojrzeniu zainteresowanie jej problemami. Nie wścibstwo czy żądną sensacji ciekawość, tylko życzliwą troskę i chęć pomocy.

– Dobrze. – Kiwnęła głową. – Chodź, idziemy na zewnątrz.

Woźniak podniósł się z kuchennego hokera i nie zadając zbytecznych pytań, szedł za nią aż do ogrodu, gdzie skonfrontowany z leżącym pod ścianą poszyciem dachowym przyklęknął i przyjrzał się śladom na brzegach desek.

– Wystarczył gruby śrubokręt i stołek. – Przesunął wzrok w stronę jej twarzy. – Kiedy to się stało?

– W nocy. Ktoś był w ogrodzie. Gdy wyszłam, zniknął.

Wyjaśnianie mu całej historii i tłumaczenie, dlaczego Kempa był w domu, gdy ona spała, nie miało większego sensu. Inaczej nawet: nie była na to gotowa. Wstydziła się Przemka, własnej słabości i nie chciała, by Marek uznał ją za kompletną idiotkę.

– Wyszłaś na zewnątrz, wiedząc, że ktoś się tu kręci?! Nigdy więcej tak nie rób! Ten człowiek mógł na to liczyć! Chcieć dać ci w głowę i okraść. Lub zrobić coś znacznie gorszego!

– On nie chce mi zrobić krzywdy – mruknęła. – Nie w taki sposób, o jakim myślisz. Był w środku wcześniej. Wyważył okno w kotłowni i chodził po domu, gdy byłam zajęta w sypialni moim żo-

natym kochankiem. Zaspokajam teraz dwóch panów symultanicznie. Jeden korzysta fizycznie, a drugi wzrokowo. Efektywność mi wzrosła do dwustu procent...

Odwrócił głowę i spojrzał na nią uderzony brutalnym okrucieństwem, z jakim mówiła o sobie. Tak jakby wierzyła, że intruz ma prawo wchodzić do domu tylko dlatego, że nie była wystarczająco cnotliwa. Jak gdyby romans z żonatym mężczyzną czynił z niej dziwkę i uzasadniał karę, jaką ktoś jej za to wymierzał.

– Nie mów w ten sposób – warknął wściekły, że może o sobie tak myśleć. – Masz prawo robić w tym domu wszystko, na co ci przyjdzie ochota! Jesteś u siebie! Nikt cię nie może oceniać ani tym bardziej nachodzić. Rozumiesz?!

Tak, rozumiała. W jej dawnym świecie też tak to działało. Kiedyś, za siedmioma górami. Lecz teraz było inaczej.

– Masz aparat? Zrobimy zdjęcia. Jeśli nie masz, to użyj iPhone’a. Musisz to zgłosić! Nikt nie ma prawa cię nękać, niszczyć ci domu ani szpiegować. Pamiętasz datę włamania?

Kiwnęła głową i poddając się jego żelaznej woli, wyjęła z kieszeni komórkę. Tak jakby nagle polska policja zyskała walory, których nie posiadała, gdy była z Kempą. Wiara Woźniaka w sens zgłoszenia tej sprawy była wolna od dylematów. Trzeba było to zrobić i kropka.

– Szybciej by było zadzwonić na komisariat i wezwać gliny. Może są w stanie zebrać jeszcze od-ciski. Chcesz, żebym zadzwonił?

Na to nie była gotowa. Myśl, że będzie przy Marku opowiadać szczegóły poprzednich nocy, podawać dane Tomasza i Przemka oraz konfrontować spojrzenia oficerów dyżurnych, była ponad jej siły. Jak wytłumaczy fakt, że od kilku tygodni nic nie robiła? Zamiatała temat pod dywan, udawała, że nic się nie dzieje. Jak zezna, że Kempa dostrzegł przez okno kogoś, kto wyglądał dokładnie jak Michał? Czy ma im powiedzieć o swoim romansie i fakcie, że Marta sypiała z Zalewskim? Udawać, że nie zna sprawcy? Poprosić, by nie szukali Mejera pod jego adresem domowym i zapewnić, że kochanek nic nie wie? Czy ktoś w ogóle w taki scenariusz uwierzy? Wątpliwe. Co miała powiedzieć Tomkowi? Że przez wszystkie te noce ktoś zaglądał przez okna, chodził po domu i był teraz żywą kroniką ich pokątnego romansu?

Zaczęła wpadać w panikę, nie wiedząc, co zdecydować i jaką wersję wydarzeń przedstawić. Policji, Woźniakowi i innym.

– W porządku. – Dłoń Marka oparła się o jej ramię, a spokojne spojrzenie mówiło więcej, niż mógłby wyrazić słowami. – Nie zadzwonimy. Napiszesz, co zechcesz, ale musisz to zgłosić. Daj telefon, to zrobię zdjęcia.

Westchnęła z ulgą i spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Myślisz, że on przestanie? – Podała mu aparat i patrzyła z namysłem, jak robi kolejne ujęcia stosu desek i ziejącej czernią dziury nad ich głowami.

– Nie. Nie przestanie, jak długo nic z tym nie zrobisz. Czuje się coraz pewniej i bardziej bezkar-nie. Osacza cię, szczuje, a ty to znosisz. Nie rozumiem dlaczego. Chcesz chronić kochanka czy siebie?

– Oboje? – Spytała niepewnie, mając nadzieję, że Woźniak zrozumie.

– Na pewno nie siebie.

– Może...

– Więc jego?

– Jego, swoich przyjaciół i trochę też siebie. Zabrzmi to głupio, ale nie chcę skandalu. Rozszalałej żony Mejera, jego rozwodu i oczekiwań, że mogą dać mu coś więcej.

– Rozumiem.

– Nie chcę pytań o moje życie prywatne i łatwych osądów, że jestem puszczalską.

– Rozumiem.

– Nie chcę kolejnych wizyt policji i głupich sugestii, że z tobą sypiam albo że jesteś moim alfonsem...

Zagalopowała się, lecz na cofnięcie powiedzianego raz zdania było już teraz za późno. Marek przerwał robienie zdjęć i spoglądał na nią wnikliwie. Fakt, że nie pytał, nie oznaczał bynajmniej, że nie żąda dalszych wyjaśnień.

– Było tu dwóch policjantów – jęknęła niechętnie. – Pytali o ciebie, twierdząc, że wpłynęło do nich zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Musiałam pokazać im akt notarialny, żeby dali mi spokój...

– Suka!

Twarz Woźniaka wykrzywił wściekły grymas, a ona odsunęła się przerażona jego reakcją i epite-tem, jakiego użył.

– Nie ty! Moja ekszona!

Uniosła brwi i teraz ona czekała na wyjaśnienia.

– Uważa, że źle ją potraktowałem, a połowa majątku to za mało, by zrekompensować jej lata, kiedy się przy mnie „dusiła”. W związku z tym mam teraz sądową sprawę o alimenty i prawo do opieki nad dzieckiem. Oraz kontrolę skarbową, bo wpłynął donos, że skupuję na mieście faktury kosztowe. A teraz to! Znakomicie! Podejrzywałem, że zrobi wszystko, żeby uczynić mi z życia piekło, ale... – Woźniak wykrzywił usta w niesmaku, a potem wyprostował się, machnął ręką i z teatralnym ukłonem dorzucił: – Oto ja! Stręczyciel, rajfur, wróg skarbu państwa. Jeszcze trochę i pewnie pedofil.

– Nie żartuj! – Podniosła niepewnie kącik ust, nie wiedząc, czy zbyć wszystko śmiechem, czy próbować go jakoś pocieszać.

– Nie dowcipkuję z takich tematów. Od rozwodu jestem zakałą, łotrem, wyrzutkiem i na dodatek przestępcą. Jeśli była u ciebie policja, to równie dobrze możemy rozstawić tu wszystkie choinki, bo to oznacza, że u wszystkich swoich klientów jestem kompletnie spalony. Nie ma sensu ich straszyć wizytą w sobotni poranek.

Wysunęła rękę i nieporadnym gestem starała się go pocieszyć. Tak jakby uściśnięcie czyjegoś ramienia mogło cokolwiek zmienić.

– Nie przejmuj się. Na pewno nikt nie uwierzy w historię ze stręczycielstwem. To tak oczywisty absurd, że nie można brać go na serio.

– Jasne. Oboje wiemy, że ludzie są inteligentni, tolerancyjni oraz wybaczący. Dlatego tak bardzo się bronisz przed ujawnieniem swojego romansu i faktu, że ktoś cię nachodzi. Obawiasz się tej powodzi empatii, która natychmiast by cię zalała.

Zaśmiała się i przyznała mu rację. W pewnym sensie, choć wstyd jej było to przyznać, jego historia okazała się dla niej krzepiąca. Nie była jedyną wybranką świrów, wariatów i zawistników. Marek bił ją na głowę.

– Idziesz po resztę choinek? – spytała z uśmiechem i mrugnęła do niego okiem.

– Chcesz?

– Pewnie! Pod warunkiem że masz tyle stojaków. Zrobimy taki gąszcz wokół domu, że żaden podglądacz się nie przebiję.

Woźniak spojrział na nią niepewnie i kiedy dostrzegł, że nie żartuje, roześmiał się na głos.

– Masz rację. Oszczędzę sobie jeżdżenia. Pójdę do kina na jakiś thriller, celem zyskania dystansu.

– Jak dasz mi szansę wziąć prysznic i szybko się przebrać, to może się wybiorę z tobą. Ostatnio nie ruszam się z domu, a... – Zawahała się, czy dokończyć zdanie, lecz potem uznała, że nie ma najmniejszych powodów, by nie powiedzieć mu prawdy. – Twoje towarzystwo dobrze mi robi.

Wręczyła mu klucze do domu i pobiegła w stronę łazienki, a on uśmiechnął się do widoku jej pleców i ruszył w stronę stojącego przed bramą pikapa. Była świetną dziewczyną – tak jak ocenił to na pierwszym spotkaniu. Bezpośrednią, świeżą i wolną od pretensjonalnej manieri czy płynącego z nadmiaru pieniędzy zepsucia. Teraz podobała mu się jeszcze bardziej niż wtedy – mimo rozmazanego tuszu, wczorajszych ubrań i potarganej fryzury. Pomimo romansu z przystojnym muzykiem, nikłych szans, jakie on sam miał na cokolwiek więcej niż przyjaźń, i dziejących się w jej życiu dziwnych, niebezpiecznych, trochę psychodelicznych historii. A może właśnie dzięki temu wszystkiemu.

Kiedy godzinę później weszła do holu, stał w otwartych drzwiach z marlboro w ustach i przyglądał się ustawionemu równo wzdłuż ścieżki szpalerowi choinek. Podeszła w milczeniu i przyjęła podanego jej papierosa.

– Wyglądają bajecznie.

– Tak. Zdecydowanie lepiej niż w pojedynkę. – Woźniak uśmiechnął się do niej z namysłem. – Ale straciłem ochotę na kino. Jestem piekielnie głodny i chciałbym z tobą pogadać.

Kiwnęła głową i zaprosiła go gestem do środka.

– Jeśli mamy rozmawiać, to zostań na obiad. Nie jestem gotowa na wyjście do ludzi.

Ruszyła do środka i sprawdzwszy, czy idzie za nią, skręciła do kuchni.

– Krewetki z bazylią i chilli?

– Brzmi dobrze.

Zacząła się krzątać wokół blatu, a on zawisł na brzegu hokera i przyglądał się jej ruchom w milczeniu.

– Muzyka?

– Nie, zbieram myśli. Nosząc choinki, zastanawiałem się nad tą sprawą i mam kilka pomysłów, które chciałbym z tobą omówić.

Zatrzymała się na moment i popatrzyła na niego w skupieniu.

– Mów. Nie trzymaj mnie w niepewności.

– Będziesz wzywała policję?

– Nie. Wiesz dobrze, że tego nie zrobię.

– Tak zakładałem. – Pokiwał głową i sięgnął po papierosa. – Palisz w domu?

– Tak, popielniczka jest pewnie na stole. Powiesz wreszcie?

Odstawiła na kuchnię trzymany w rękach rondel i nie spuszczać wzroku z wędrującego do jałdani i z powrotem Woźniaka, sięgnęła machinalnie po butelkę z oliwą.

– Jeśli chcesz, to spróbuję ci tę dziurę załatać. To pierwsza sprawa. Nie będzie idealnie, bo deski są wyszczerbione, ale powinno wyjść całkiem godziwie. Pewnie planujesz mieć gości na święta. Lepiej uniknąć pytań i niepotrzebnych wyjaśnień.

– Mógłbyś to zrobić?

– Nie ma problemu. – Uśmiechnął się do ulgi, jaką usłyszał w jej głosie. – Zanim się ściemni, będzie zrobione.

– Nie wiem, jak ci dziękować. Myśl, że będę musiała tłumaczyć to wszystko rodzicom, była kolejnym koszmarem. Przyjeżdżają do Polski raz w roku, więc wałkowałiby temat do kolejnej Wigilii.

– Kiedy przylecą?

– W Wigilię koło południa. Dlaczego pytasz?

– Chcę wiedzieć, ile masz czasu, bo mam jeszcze jedną sugestię...

– Mów.

Włączyła okap i zaczęła wrzucać krewetki na falującą od gorąca oliwę. Podszedł do niej i stanawszy obok, przyglądał się przez moment, jak zmieniają kolor z popielatego na jasnoróżowy. Unoszący się wkoło zapach czosnku i skorupiaków wykręcił mu żołądek kolejną konwulsją głodu.

– Jeśli chcesz... – zaczął niepewnie i rzucił okiem na kręcącego się przy jej nogach Stefana.

– Tak?

– Jeśli chcesz, to pożyczę ci psy do przyjazdu rodziców.

Odwróciła wzrok od kuchni i spojrzała na niego, nie wiedząc, jak zareagować na propozycję. Nie chodziło wyłącznie o kota, ale również o grozę, jaką budziły w niej jego amstaffy. O niepokój, jaki odczuwała, patrząc na ich skupione spojrzenia, nerwowe ruchy uszu i marszczące się wargi. O dreszcz, który biegł jej po plecach za każdym razem, kiedy kręciły się wokół, strzegąc Marka przed jej nazbyt gwałtownymi gestami.

– Wiem, wiem, masz kota. – Spiał policzki i przymknął powieki. – Ale przecież nie oczekuję, że psy będą chodziły po domu. Wystarczy, że na kilka dni przestaniesz wypuszczać go do ogrodu.

– A sama jak wyjdę? Rozszarpią mnie jak każdego innego intruza.

– Posłuchaj... – zaczął powoli, przyglądając się wprawnym ruchom, jakimi przerzucała zawartość parującego garnka. – Zimą w firmie niewiele się dzieje. Mam dużo czasu i jeśli chcesz, mogę ci pomóc. Przemyślałem to wszystko. To nie jest płytka uprzejmość, za którą nie stoi realna oferta pomocy. To po pierwsze. Więc nie traktuj tego, co mówię, jak propozycji, którą wypada odrzucić. Po drugie, amstaffy muszą mieć towarzystwo. Nie mógłbym ich u ciebie zostawić na dłużej niż kilka godzin. Zwłaszcza zimą na dworze. Jeśli w ogóle mielibyśmy to robić, musiałbym je przywozić późnym wieczorem i odbierać nad ranem. Są przyzwyczajone do spędzania po kilka godzin w ogrodzie. Ten teren dobrze znają, jeszcze z czasów budowy...

Wyłączyła gaz i spojrzała na niego z uwagą. Może miał rację? W końcu chłopak ze sklepu z pluskami mówił dokładnie to samo. A jednak wciąż się wahała. Marek musiałby jeździć, przewozić psy, zmienić swój grafik. I tak dużo mu zawdzięczała, a to byłaby kolejna bezinteresowna uprzejmość. Wymagająca znacznie większego wysiłku niż zakup szampana czy przywiezienie choinki. Nie znali się dobrze. Nie na tyle, by mogła tego wymagać. Nie miała również pomysłu na jakikolwiek stosowny rewanż. Nie mogła zaoferować mu w zamian żadnej przysługi, która choć w części zrównoważyłaby jego pomoc. Naprawa dachu była wystarczającym wysiłkiem.

– Musiałbym przywieźć ich budy i przybić do ogrodzenia tabliczki ostrzegające przed psami. – Woźniak zignorował napięcie, które miała na twarzy, i mówił dalej: – Nie mogłabyś również wychodzić nocami ani przyjmować gości. Rozumiem, że to może być kłopot.

Potrząsnęła głową i zaśmiała się z jego toku myślenia. Jeśli sądził, że wzbrania się przed sforą amstaffów tylko dlatego, że Mejer nie będzie mógł wpadać na noc, to bardzo się mylił. Towarzystwo Tomasza było ostatnią rzeczą, o jakiej obecnie myślała. Szczerze mówiąc, Mejer coraz mniej ją obchodził. Punkt ciężkości w jej życiu już dawno przesunął się w inną stronę. Była tylko jedna rzecz, na którą miała ostatnio mniejszą ochotę niż ekscesy łóżkowe: tłumaczenie się z braku libido.

– Nie o to chodzi. Naprawdę.

– Więc o co? – Woźniak patrzył na nią wnikliwie, nie potrafiąc odgadnąć, jakie inne powody mogły ją powstrzymać od przyjęcia jego oferty. – Aż tak się ich boisz?

– Nie chcę ci robić kłopotu. Poza tym w poniedziałek dostarczą mi w końcu kamery, a we wtorek przychodzi spec do alarmu i zamontuje czujki zewnętrzne. Będę bezpieczna.

– Nie bądź niemądra! Kamery nic tu nie zmienią! W nocy nagra się co najwyżej zarys sylwetki. A co do detektorów zewnętrznych, to powiedzieli ci pewnie, że każdy system musi mieć martwe punkty. Choćby przy wejściu i od strony garażu. Inaczej sama nie byłabyś w stanie wrócić do domu. Alarm pomaga, i owszem, ale nie daje żadnej pewności. To zapewne też już od nich słyszałaś.

Schyliła głowę i zaczęła przekładać jedzenie. Marek miał rację. Front domu nie będzie strzeżony, a Zalewski już wcześniej pokazał, że potrafi wyważać okna i rozbierać dach na kawałki. Nawet jeśli za pierwszym razem jego obecność wzbudzi alarm, to zanim przyjedzie ochrona, on zdąży odejść. A kolejnym razem nie popełni już tego błędu.

Wzięła talerze i ruszyła w stronę jadalni, czując, że Woźniak idzie tuż za nią i wciąż czeka na jakąś decyzję.

– W porządku. – Odwróciła się w jego stronę raptownie, a on zatrzymał się w ostatnim momencie przed kolizją z niesionym przez nią obiadem. – Tak zrobimy. Inni radzą mi dokładnie to samo.

Uśmiechnął się lekko i wyjąwszy z jej rąk talerze, ruszył do stołu.

– To była łatwiejsza część planu. – Odsunął jej krzesło i poczekał, aż na nim usiadła. – Dalszy ciąg jest trudniejszy.

– Co masz na myśli?

– Jeśli włamywacz znów się pojawi, to suki go dorwą, a ty nie będziesz go mogła ratować. Niezależnie od tego, kim jest ten mężczyzna.

– Sądzisz, że to mój żonaty kochanek? – Zaśmiała się znowu. – To niemożliwe. Widziałam intruza przez okno. To nie jest Tomasz.

– Jesteś pewna?

– Tak, absolutnie.

– Dasz mi gwarancję, że nie ulegniesz czysto ludzkim odruchom? Że nie wybiegniesz, by go ratować, nie będziesz próbowała wołać psów ani szarpać się z nimi? Jeśli jest takie ryzyko, to od razu powinniśmy zapomnieć o tym pomysle. Nie chcę cię mieć na sumieniu. Nie mogę również zaproponować, że się do ciebie wprowadzę. W twoim stanie i sytuacji to byłby najgorszy możliwy scenariusz.

– Przecież ten człowiek nęka mnie od tygodni. Uważasz, że odczuję współczucie i popędzę z odsiecią?

– Tak sądzę.

– Naprawdę?

– Tak. Nie jesteś sadystką, która z zimną krwią będzie patrzeć, jak psy gryzą człowieka. Uwierz mi, to nie jest widok, który nie zrobiłby na tobie wrażenia. Podobnie jak ich szczenie, odgłosy walki i krzyk delikwenta. Sama nie wiesz, jaka będzie twoja reakcja, a to nie potrwa ułamek sekundy. Jeśli psy go dopadną, to zanim ucieknie, minie minuta. Może dłużej, bo jedna z suk ma cechy gameness.

– Gameness?

– Będzie walczyć, nawet jeśli ten człowiek ją zrani.

– Jest szansa, że go zagryzie?

– Raczej poszarpie mu nogi. Może ręce, jeśli będzie się bronił. Opowieści o morderczych amstaffach są trochę wyssane z palca.

– Zatem przeżyje?

– Jeśli nie jest trzylatkiem, to nic wielkiego mu się nie stanie. Ale ugryzienia będą bolesne, więc zastanowi się kilka razy, zanim ponownie tu przyjdzie.

Spojrzała na niego i sięgnęła po sztucce. Na jej ustach pląsał przekorny uśmiech, a w oczach pojawił się błysk nienawiści.

– Od dawna nie spałam. Napiję się wina, łyknę tabletkę i włożę zatyczki do uszu. Pewnie nawet zaciągnę rolety.

– W porządku. – Woźniak sięgnął po swój widelec i zaczął jeść. – Skoro tak, to nie ma problemu.

Popatrzyła z uśmiechem na jego apetyt i wyciągnęła się wygodnie na krześle. Skoro miała pozwolić, aby Marek jej pomógł, wyrzuty sumienia nie były potrzebne. Dlaczego zresztą miałyby je odczuwać? Przecież Zalewski dręczył ją od ponad miesiąca. Nachodził, podglądał, niszczył jej dom i psychikę. Osaczał ją, Tomka i Martę. Bawił się nimi i manipulował. Wykorzystywał jej przyjaciółkę i kłamał sprawniej od Kempy. Był zwyrodnialcem, dla którego nie miała litości. Nie życzyła mu śmierci. Za to, co zrobił z jej życiem, zasługiwał na coś gorszego. Jątrzące się rany i święta z poszarpanymi łydkami nie były zbyt surowym wyrokiem.

Czuła się lepiej, patrząc na stojącego na drabinie Woźniaka i znikającą stopniowo dziurę w podbitce. Marek miał rację: naprawa nie była skomplikowana i posuwała się wartko do przodu. Podawała mu deski, a on montował je sprawnie, wspomagając się gdzieś tam gwoździami, których błyszczące główki były jedynym śladem odróżniającym naprawione podbicie dachowe od reszty. Zauważalnym wyłącznie dla osób, które wiedziały, że jeszcze godzinę temu zionęła w tym miejscu potworna dziura. Ani rodzice, ani nikt inny nie zauważył różnicy.

Kiedy skończyli, Marek pożegnał się szybko, obiecując, że wróci z psami późnym wieczorem. Kiwnęła głową; wiedziała, że w czasie jego nieobecności czeka ją jeszcze jedno trudne zadanie – telefon do Marty. Była sobota, więc Zalewski spędzał zapewne czas ze swoją rodziną, a one były bezpieczne. A jednak nie mogła z tym dłużej czekać. Marta powinna się jak najszybciej dowiedzieć i zakończyć znajomość z Michałem. Podobnie zresztą jak ona sama z Mejerem. Obaj panowie wnosili do ich życia więcej chwiejności, nerwów i zagrożenia niż zadowolenia z seksu.

Zapaliła papierosa i przez chwilę próbowała ułożyć w głowie jakieś okrągłe zdania, ale takich nie było. Żadna, nawet najbardziej subtelna wersja wydarzeń nie pozwalała na wyjście z twarzą. Obie były naiwne i tak wygłodniałe miłości, że dały się zmanipulować. Deklarowały szumnie, że nie chcą nikogo na stałe i traktowały mężczyzn z teatralną wręcz powierzchownością, ale wystarczył niewielki gest ze strony Michała, obietnica powrotu, jedzonego wspólnie śniadania i minimalnej stabilizacji, by Marta straciła czujność, a ona została jej sekundantką. Żadnej z nich nie zdziwiło przesadnie, że Zalewski był miły. Śmiały się z tego z początku, lecz szybko przyjęły za dobrą monetę. Nie rozważając jego pobudek ani powodów – mimo deklarowanych wcześniej jednoznacznych poglądów na sprawę – zaangażowania się w romans z Martą. Nie skok w bok, jednorazową przygodę ani numerek w hotelowym pokoju, lecz związek. Wypełniony kolacjami przy świecach i śniadaniem przynoszonymi jej przez niego do łóżka. Wyjściami do klubów, zaproszeniami do Izabelina, sączeniem wina na sofie i wspólnym gotowaniem spaghetti. Zabawą w dom i rodzinę.

Marta weszła w ten romans zbyt łatwo i bezkrytycznie. Podobnie zresztą jak ona w relację z Tomaszem. Odpowiadał im urok jazzowych koncertów i aura wyjątkowości, jaka otaczała je obie jako towarzyszkę znanych muzyków. Pasowały im seks i świeżość oferowana przez panów. Tym atrakcyjniejszych, że spoza ustalonego grona znajomych. Imponujących talentem i trybem życia.

Były głupie. Bo to już nawet nie była naiwność, lecz zwykła tępota. Przyznanie się przed sobą do tego nie było łatwe ani przyjemne, a powiedzenie Marcie, że dzieliła z nią zaślepienie, nie stanowiło sympatycznej perspektywy na wieczór. Sięgnęła po telefon i wybrała numer przyjaciółki z ulubionych kontaktów. Długie sygnały w słuchawce przez chwilę dawały odroczenie przykrego momentu, w końcu jednak na drugim końcu głos przyjaciółki zadźwięczał beztroskim śmiechem. Tak jakby śmiała się właśnie z opowiedzianego jej przed sekundą dowcipu.

– Marta, jesteś w Warszawie? – wypaliła, nie czekając, aż przyjaciółka przestanie chichotać. – Musimy się spotkać!

- Będę w niedzielę wieczorem. Co się dzieje?
- Musimy parę rzeczy przegadać. Najlepiej nie przez telefon.
- Coś się stało?

– Tak. Gdzie jesteś? Może dasz radę przyjechać wcześniej? Muszę się z tobą zobaczyć, zanim się spotkasz z Zalewskim.

Po drugiej stronie zapadła cisza, aż w końcu Marta powoli wyjaśniła zniżonym do szeptu głosem:

– Właśnie z nim jestem. Od czwartku siedzimy w SPA na Mazurach. Co się dzieje?! – Jej szept robił się coraz bardziej nerwowy. – Znowu włamanie?

– Jesteś z Michałem?! Od kiedy?!

– Poczekaj chwileczkę. Wyjdę z pokoju i porozmawiam z tobą spokojnie. Rozłącz się teraz. Za moment oddzwonię.

Przerwała połączenie, a Anka patrzyła na wciąż świecący ekran komórki, nie mogąc uwierzyć, że Marta się rozłączyła. Ani w to, że od czwartku była na Mazurach z Michałem. Jeśli to była prawda, to jaką wersję wydarzeń powinna teraz przyjąć za pewnik? Kolejne kłamstwo Kempy czy może ponowne użycie Marty przez Zalewskiego w charakterze niepodważalnego alibi? Jak tej nocy, gdy wyszedł z nią z klubu, zyskując pewność, że nikt nie powiąże go z włamaniem do domu? Z Mazur nie było aż tak daleko... Jęknęła, uświadamiając sobie naiwność swojego toku myślenia. Kempa obudził ją chwilę po pierwszej, dojazd z Mazur zajmował co najmniej godzinę. Plus czas na zniszczenie dachu. Półtorej godziny, co najmniej. Jeśli Marta była z Zalewskim, to wątpliwe, by był w stanie położyć ją do łóżka i uśpić tak wcześnie. Przed północą? Bez szans. Nie w trakcie romantycznego wyjazdu. Nie, znając Martę.

Telefon zadzwieczał.

– Jestem! – krzyknęła do mikrofonu, czekając niecierpliwie na moment, gdy przyjaciółka rozwieje ostatecznie jej wątpliwości. – Mów!

– Musiałam wyjść, bo Michał siedział w pokoju, a nie chciałam przy nim rozmawiać. To ty mów, co się dzieje.

– Macie jeden pokój?

– A jak sądzisz? Uważasz, że dla pozorów wzięliśmy dwa, koniecznie na różnych piętrach? Aż tak ostrożna nie jestem.

– Gdzie dokładnie jesteście?

– W Hotelu Krasicki.

– To Lidzbark Warmiński, a nie Mazury. Ile kilometrów z Warszawy? Dwieście pięćdziesiąt?

– A jakie to ma znaczenie?

– Żadnego. Od kiedy tam jesteś? Od czwartku?

– Tak.

– Cały czas byłaś z Michałem?

– Nie, czasem chodzę bez niego na siku! O co ci chodzi?!

– Znów miałam próbę włamania. Darujmy sobie szczegóły, opowiem ci wszystko w niedzielę.

Rzecz w tym, że opis intruza pasował do Zalewskiego.

– Opis czy wygląd? Widziałaś go w końcu?!

– Nie, Kempa go widział. I opisał tak, że w najdrobniejszych szczegółach przypominał właśnie Michała.

– Co Kempa u ciebie robił?!

– Był na kolacji. Chciałam sprawdzić swoją teorię. Po tym, jak się umówił z Michałem na wywiad, byłam pewna, że mnie osacza.

– Dziś rano odwołał audycję. Stwierdził, że temat jest zbyt niszowy.

– Przekonał mnie, że widział za oknem Michała. Byłam przekonana, że mówi prawdę, bo sam się nie mógł wydostać. Włączyłam alarm, gdy przyszedł, a potem zasnęłam...

– Poszłaś z Kempą do łóżka?!

– Nie, po prostu zasnęłam. Zrobiło mi się słabo i chyba straciłam przytomność. Przemek czekał w salonie, aż się obudzę. Przynajmniej tak do tej pory myślałam. Bo teraz sędzę, że jednak dosypał mi czegoś do wina i jakimś cudem poznał kod do alarmu...

– Nadal masz cztery siódemki?

– Tak. Chciałam to zmienić, gdy ochrona przyjedzie montować czujki zewnętrzne. Za jednym razem załatwić obie te sprawy.

– Jeśli ciągle wciskasz jeden przycisk na klawiaturze, to poznanie kodu nie jest szczególnie trudne. Choć znając Kempę, sędzę, że bez żenady patrzył ci spod powieki na rękę.

– Jestem głupia.

– Obie jesteśmy durne. Powinłam ci była od razu powiedzieć, że przetrząsnął ci cały telefon i że w ten sposób zdobył wszystkie numery. Nie od Kryskiego. Przyznał mi się do tego i obiecał, że nigdy więcej niczego takiego nie zrobi, a ja się zgodziłam. Sprawiał wrażenie zakochanego po uszy barana i myślałam, że jak podejść do niego jak do człowieka, to w końcu przestanie... Kurwa mać!

Anka złapała się blatu i opadła na stołek barowy. Marta, jedyna osoba, o której sądziła, że może jej ufać, dogadała się z Kempą. Uznała, że jest mądrzejsza, sprytniejsza i lepiej zna się na ludziach. Postanowiła wystawić ją psychopacie, podsuwając mu sposób na rozwianie jej wszystkich podejrzeń niespodziewaną szczerością i kindersztubą. Pewnie również wysłała go do fryzjera i zabroniła się szeroko uśmiechać.

– Jesteś? – W głosie Marty zabrzmiała obawa.

– Jestem.

– Strasznie mi przykro...

– Naprawdę? – Poczula, jak ogarnia ją wściekłość. – Siedzisz sobie w SPA z lowelasem i jest ci przykro, bo przed wyjazdem podałaś mnie Kempie na tacy?! Może powinłam przeprosić, że psuję ci wyjazd swoimi głupimi sprawami?! W końcu zrobiłaś, co mogłaś, żeby mi pomóc, nieprawdaż?!

W jej głosie były nuty, których Marta nie знаła. Rozjuszenie, agresja i niczym nieskrępowana nienawiść, którą teraz – zamiast przeciwko Kempie – kierowała wprost na nią.

– Przepraszam... Naprawdę cię strasznie przepraszam.

– Dziękuję! Od razu czuję się lepiej! – Twarz Anki wykręcił paroksyzm wściekłości, a wypadające z ust słowa ociekały jadowitym sarkazmem. – Drobiazg. Nic się nie stało. Mam nadzieję, że dobrze odpoczywałaś w jacuzzi w czasie, gdy ja leżałam nieprzytomna, a ten świr był u mnie w domu, rozwałił dach łomem i chuj wie, co jeszcze robił! Seks z Zalewskim na pewno był świetny. Nie wiem, jak mój, bo wino od twojego kolegi zerwało mi film. Może zresztą wcale nie ściągnął mi spodni, gdy spałam.

– Jezu! Przepraszam! – Marta dochodziła powoli do siebie. – Nie powiedziałam ci o komórce, ale do kurwy nędzy, nie ja ci go zaprosiłam do domu! Sama chciałaś sprawdzać swoje teorie. No to sprawdziłaś!

– Wal się!

– Nie muszę! Mam od tego Michała! Gdybyś była mądrzejsza, to zamiast Kempy miałabyś w domu Mejera.

– Pieprzę Mejera!

– Ostatnio chyba dość rzadko?

Nie odezwała się. Marta miała rację i obie o tym wiedziały. Straciła ochotę na seks, spotkania z ludźmi i wyjścia z domu. Zmuszała się do chodzenia do pracy i rozmów ze znajomymi. Coraz gorzej znosiła wizyty Tomasza i z każdym dniem częściej myślała o tym, by go wreszcie poprosić, żeby więcej nie wracał. Strach i bezradność były głównymi uczuciami w jej życiu, ale nie jedynymi. Niepewność, ataki paniki, wstyd i poczucie winy mieszały się z drażliwością oraz nagłymi przypływami agresji. Jak teraz, w rozmowie z Martą. Zmieniła się. Przestała rozmawiać z nieznajomymi, oddawać uśmiechy przechodniom i wierzyć ludziom. Zamknęła się w sobie. Rozdarta pomiędzy oskarżeniami innych i obarczaniem się winą za własną naiwność. Na niczym nie mogła się skupić. Ustawicznie rozkojarzona, zmęczona, wyzuta z jakiegokolwiek energii. Wyczerpywały ją najprostsze czynności, powodując zawroty głowy, kłopoty w sercu oraz pot, który ściekał jej po plecach i przesiąkał z porów na dłoniach. Psychopatyczny podglądacz odebrał jej znacznie więcej niż sen, równowagę i bezpieczeństwo. Powoli niszczył jej życie.

– Zamierzam się rozstać z Mejerem – rzuciła w końcu, nie bardzo wiedząc, co innego może w tej chwili powiedzieć. – Nie mam obecnie miejsca w życiu dla żonatego kochanka z doskoku. Ani siły na romans.

– Z Tomkiem i tak by już teraz nie wyszło. – Marta zgodziła się cicho, mając nadzieję, że Anka nie przyjmie tego stwierdzenia jako kolejnego ataku na siebie. – Za dużo tajemnic, obciążeń i złych emocji.

– Powiem mu w przyszłym tygodniu. Chcę zamknąć ten temat.

– Może powinnam zrobić to samo z Michałem...? Ten związek i tak nie ma przyszłości, a jeśli ty się rozstaniesz z Tomkiem, mój romans z Zalewskim skomplikuje wszystko jeszcze bardziej niż teraz.

– Nie musisz, jeśli nie chcesz. Jestem dorosła. Mejer też to jakoś przeżyje.

– Sama nie wiem. Pomyślę. Chcesz, żebym wróciła? Kempa znów się u ciebie pojawi. Zakłada, że wciąż podejrzewasz Michała, więc będzie odgrywał rycerza na białym koniu. Zaproponuje ci pewnie, że będzie u ciebie nocował. Albo żebyś ty się do niego przeniosła. Teraz już nie odpuści.

– Twierdził, że przez weekend będzie u córki w Dębicy. Oczywiście mógł kłamać.

– Nie wiem. Może faktycznie wyjechał. Gdy dzisiaj dzwonił, był w samochodzie.

– Myślę, że pojawi się jutro wieczorem.

– Co zrobisz?

– Nic. Nie wpuszczę go przecież do domu.

– To go nie wyhamuje. Będzie łaził ci po ogrodzie i może znowu się włamie. Nie powinnaś być sama. Przyjadę na noc, w porządku?

– Nie trzeba. Muszę się wyspać. Wezmę tabletki nasenne i położę się wcześniej. Uaktywnię alarm i zaciągnę rolety. Wyłączę telefon. Dam sobie radę.

– Jesteś pewna?

– Tak, baw się dobrze. I przepraszam, że na ciebie krzyczałam.

– Miałas rację. Nie rozumiem, jak mogłam uwierzyć, że Kempa robi to wszystko z miłości. I sądzić, że jeśli potraktujesz go nieco życzliwiej, to w końcu przestanie. Jak mogłam dać się zwieść jego bolesnym spojrzeniom? Jestem prawdziwą kretynką!

– Cieszę się, że to jednak nie Michał. Szkoda tylko, że uwierzył w ten wywiad.

– Nic mu nie będzie. Dał się złapać na tanie pochlebstwa i przez chwilę uwierzył, że jazz jest na fali, a on to gwiazda na miarę Micka Jaggera. Otrzeźwienie dobrze mu zrobi. Lepiej martw się o siebie. I uważaj.

– Wracaj do Zalewskiego. Nic mi nie będzie.

Rozłączyła się, odłożyła komórkę i zastanowiła przez chwilę. Może powinna była powiedzieć Marcie o Marku, psach i wyjaśnić, dlaczego planowała zażyć tabletki nasenne. A jednak z jakiegoś powodu nie chciała, by przyjaciółka o tym wiedziała. Ani nawet żeby przyjechała do niej do domu. Wszystko się między nimi zmieniło, a ona nie wiedziała jeszcze, czy nie ufa Marcie dlatego, że dogadała się z Kempą, przez jej romans z Zalewskim, czy może z tego powodu, że przyjaciółka przestała ostatnio być szczerą. Nie zwierzała się, nie opowiadała o swoim życiu i planach, nie wspominała nawet o czterodniowym wyjeździe z Michałem. Odsuwała się. Tak jakby ich przyjaźń przestała być jej potrzebna i stała się zbędnym balastem.

W pewnym sensie to rozumiała. Jej towarzystwo nie było już miłe, a niegdysiejszy optymizm przepadł. Zamiast niego pojawiły się teraz: defetyzm, niewiara, że cokolwiek może się zmienić, i przekonanie, że świat im zagraża. Stała się kalką Marty sprzed jej romansu z Michałem. Neurotyczną, popadającą w paranoję, przerażoną kobietą bez złudzeń. Osobą, której obecność wносиła do pomieszczenia duszną mroczność i przygnębienie. Dziewczyną, którą omijało się szerokim łukiem, by nie zarazić się pesymizmem i nie musieć słuchać cynicznych uwag na temat podłości świata.

Wiedziała, że się zmieniła i nie jest już dla Marty wsparciem czy lekiem na jej własny fatalizm. A jednak dystans, który między nimi narastał, bolał ją bardziej niż fakt, że przyjaciółka sprzymie-

rzyła się z Kempą. Miała w sobie żal i skrywaną głęboko pretensję, że w chwili słabości Marta ją porzuciła. Że nie potrafiła zrozumieć, że teraz to ona potrzebowała pomocy i pompowanej w krwiobiegu nadziei. Że nie potrafiła się zrewanżować za całe lata, przez które karmiła się jej energią i pozytywnym nastawieniem do ludzi. Zawiodła się na Marcie i bała, że przyjaciółka znowu ją zdradzi. Podzieli jej planem z innymi, opowie o kłopotach chłopakom z zespołu i spróbuje namówić Tomasza, by jednak się do niej wprowadził. Że zrobi wszystko, by przerzucić ciężar na innych i nie musieć się dłużej borykać z jej frustracją i strachem.

Sięgnęła po papierosa i znów zapaliła, patrząc, jak chmura siwego dymu unosi się w stronę sufitu i osiada na lampach. Nikotyna nie koła jej nerwów, ale dawała poczucie, że choć trochę panuje nad życiem. Pozwalała na zyskanie przynajmniej minimalnego dystansu. Zaciągnęła się raz jeszcze i ponownie spojrzała na wijące się wokół jej głowy opary. Może była niesprawiedliwa w ocenach. Możliwe, że obecność prześladowcy w jej życiu – poza innymi skutkami – wywoływała też efekt zaburzonej oceny najbliższych. Może wcale nie chodziło w tym wszystkim o Martę. Bo przecież nie ufała już teraz nikomu.

Marek przywiózł psy, rozstawił im na tarasie budy i zniknął, życząc jej przed wyjściem pogodnych snów i obiecując, że pojawi się wczesnym rankiem. Jeśli wszystko będzie w porządku, nie będzie nawet wchodził do domu. Zabierze suki i znowu wróci z nimi wieczorem – wtedy porozmawiają. Rano lepiej, żeby wróciła do łóżka i odpoczęła. On zrobi to samo.

Uśmiechnęła się lekko, patrząc przez okno, jak idzie w stronę bramy otoczony grupką rozbieganych, skaczących radośnie amstaffów. Wytargał je pieczołowicie za karki i przecisnął się przez uchyloną furtkę, odpychając je od siebie i pilnując, by żaden nie wybiegł za nim na drogę. Przez moment widziała jeszcze zarys jego sylwetki pomiędzy deskami parkanu. Potem zniknął. Suki warowały krótką chwilę w miejscu, gdzie je zostawił, a później zafascynowane poruszającymi się w ogrodzie cieniami rozbiegły się ze ścieżki i zniknęły w ciemnościach. Wypatrywała ich przez moment poza plamami światła rzucanymi przez oświetlające podjazd latarnie, ale zapuściły się już zapewne w zarośla, bo nie była w stanie dostrzec niczego. Przez szyby nie docierał też żaden odgłos ich kroków. Tak jakby rozplynęły się w nocy na dobre.

Wyszła z gabinetu i przeszła do salonu, gasząc za sobą światła. Szanse na to, że Kempa pojawi się tutaj tej nocy, były niewielkie. Zapewne powiedział prawdę o wyjeździe do córki i siedział teraz z Renatą, opowiadając jej swoje dziwaczne historie i odgrywając przed byłą żoną rolę troskliwego ojca oraz godnego zaufania mężczyzny. A jednak, mimo iż zakładała, że noc będzie spokojna, sen wydawał się niemożliwy. Teraz, kiedy psy rozbiegły się po ogrodzie, a Marek zniknął, zaczynała rozumieć, co miał na myśli, pytając, czy zniesie wiążące się z tą sytuacją napięcie. Stres był większy, niż mogła się tego spodziewać, a każdy dochodzący z ogrodu szmer elektryzował ją i podrywał z fotela. Nerwowość rosła. Jakby z każdą kolejną minutą konfrontacja psów z Kempą stawała się bardziej nieunikniona.

Bardziej niż odgłosów szczekania bała się teraz jego reakcji. Tego, że zacznie bić psy wniesionym pod kurtką łomem. Wściekłości, jaką wywoła w nim obecność amstaffów, oraz kary, jaką niechybnie jej za to wymierzy. Eskalacji przemocy. Momentu, kiedy wylize rany i wróci tu znowu w najmniej spodziewanym przez nią momencie. Bała się. O siebie, Stefana, rodziców i Martę. Tomka i Zalewskiego. O każdą osobę, która przychodziła do niej do domu i mogła zostać uznana przez Kempę za jej sojusznika. Strach narastał, pulsował i sprawiał, że beczynność była nie do zniesienia. Podobnie jak atakujące ją myśli o zemście, jaką Kempa niewątpliwie będzie planował. Rzuciła mu rękawicę, przerywając dotychczasowy stan zimnej wojny. Zdecydowała się na odwet, na który nie była gotowa. Przez krótki moment chciała się z nim rozprawić i była przekonana, że podoła zadaniu, lecz chwila pewności minęła. Wątpliwości opadły ją i mąciły trzeźwość oceny. Podobnie jak strach, który wzniósł się teraz do nieznanych jej wcześniej rejestrów. Nie był już lękiem przed podglądaczem, lecz przerażeniem i troską o własne życie. Atawistyczną histerią zaszczutego przez myśliwych zwierzęcia, które w ostatnim odruchu szczyrzy zęby i kąsa powietrze. Nie w nadziei na jakikolwiek ratunek, lecz w biologicznie warunkowanym instynkcie walki do końca.

Wstała z fotela i podeszła do ściany. Światła w salonie rozbłysły, a ona zmrużyła oczy zaskoczona nagłą jaskrawą poświatą, wygrzebała ze stosu płyt Eminema, wrzuciła krążek do odtwarzacza i podkręciła głośność do najwyższych rejestrów. Przeszła do kuchni i zaczęła wygrzebywać z szafki pod zlewem gumowe rękawice i żrący ciało wybielacz. Do tego szczotka, miska i szmaty. Zestaw obowiązkowy.

Trzy godziny później jej czoło było pokryte potem, bielizna lepiała się do ciała, a rękawiczki zaczęły przepuszczać wilgoć, przetarte na wylot przez zdarte teraz całkowicie paznokcie. Podniosła się z kolan i rozejrzała wokoło. Brodzik prysznic błyszczał, podobnie jak wanna, umywalki i toaleta. Uszczelniający jego brzegi silikon był śnieżnobiały, a wszystkie fugi pomiędzy płytkami odzyskały świeżość, jaką zapamiętała z pierwszej wizyty w tym domu. Trzy łazienki, trzy godziny czyszczenia, trzecia w nocy.

Wytarła wierzchem ręki pot z czoła i wróciła do salonu, gasząc po drodze światła. Na tarasie wciąż świeciły się lampy, a w ustawionych przy bocznej ścianie budach drzemały amstaffy. Z głowami wysuniętymi lekko na zewnątrz, strzygąc przez sen uszami i marszcząc nosy, gdy w nozdrza wpadał im powiew chłodnego wiatru. Wyglądały w tej chwili spokojnie, a nawet bezbronne. Stanęła przy szybie, a one usłyszawszy przez barierę okna jej kroki, uniosły powieki, a potem głowy. Suka w najbliższej budzie spojrzała jej w oczy i nie podnosząc się z posłania, warknęła. Anka uśmiechnęła się do niej i odeszła na palcach w głąb domu.

Woźniak przyjechał o siódmej i zdziwiony jej widokiem w uchylonych drzwiach zadał tylko jedno, retoryczne pytanie:

– Nie spałaś?

Potrząsnęła głową przecząco, chociaż odpowiedź nie była konieczna. Miała na sobie wczorajsze ubranie, ścięty potem makijaż i zaczerwienione od bezsenności oczy.

– Miałaś rację. Druga część planu jest znacznie trudniejsza. Muszę się przyzwyczaić.

Skinął głową i zawoławszy suki, przyjrzał się dokładnie ich pyskom.

– Było spokojnie. Mogłaś się przespać.

– Położę się teraz. Nie martw się. Dziś w nocy już nie będę stróżować.

Woźniak przytaknął i zaczął przypinać smycze do obroży obskakującego go entuzjastycznie stadka.

– Zostawiam budy. Dzisiaj przywiozę je później. Jedenasta?

– Świetnie. Do zobaczenia. – Uśmiechnęła się do niego i podała rękę na pożegnanie. – I... Marek... Bardzo dziękuję, że mi pomagasz...

Woźniak oddał jej uśmiech, ścisnął jej dłoń mocniej niż zwykle i patrząc w oczy, powiedział:

– Nie ma za co dziękować. Normalna sprawa. Prześpij się. Wieczorem chcę cię zobaczyć w lepszym stanie niż teraz.

Zamknęła drzwi, powlokła się powoli do łóżka i nie mając siły na prysznic, rzuciła się na kapę. Była krańcowo zmęczona, ale musiała wykrzesać z siebie resztki energii. Zmobilizować się na tyle, by przetrwać następne noce bez strachu, że Kempa zemści się na niej, Marku i Marcie. Agresja była

wysiłkiem, ale mogła też dawać siłę. Musiała go znienawidzić, by przetrwać. Obudzić w sobie pozbawioną skrupułów wrogość i zacząć życzyć mu śmierci. Nie przez krótkie momenty, jak dotąd. W sposób trwały, niezmienny, nieulegający nastrojom i niepoddający się zmęczeniu. Dotychczas nie myślała o tym, że może zrobić mu krzywdę. To ona była ofiarą. Musiała odwrócić role. Pragnąc, żeby cierpiał, oraz cieszyć się, że rany po psich ugryzieniach będą się jątrzyć, pozbawiając go snu i zdolności chodzenia. Stać się kobietą, jaką do tej pory nie była. Bezwzględna, zimną sadystką. Degeneratką nie równą Kempie, lecz od niego lepszą. Zwyródniałą, zdeprawowaną, mściwą i żądną zemsty. Nieznającą litości.

Przymknęła oczy i przywołała wspomnienie jego twarzy w momencie, gdy opowiadał jej anegdotę o podpalonej myśliwskiej ambonie. Uśmiechał się perwersyjnie, a jego kaprawe, maleńkie oczka pełne były bezwzględnej rozkoszy. Zapamiętała ten odświeżony widok i przeszukała mózg w poszukiwaniu kolejnych reminiscencji. Kempa, który szarpał nią mocno, przewracając na schodach własnego domu. Uśmiechający się złośliwie do Marty z ciemnego kąta jej kuchni. Patrzący z nienawiścią na Tomka i wykrzywiony cynicznie, kiedy mówiła mu, że jest w tym domu bezpieczna. Wysiliła wyobraźnię, zobaczyła, jak stoi w drzwiach sypialni, przyglądając się jej seksowi z Mejerem, i nałożyła na to uśmiech, z jakim mówił, że uwielbia Briana Johnsona. Skupiła się bardziej i dostrzegła wyraźnie, jak zezuje na jej rękę w momencie, gdy wstukowała kod w skrzynkę alarmu. Zobaczyła go, gdy wrzuca jej tabletkę do wina, wychodzi na zewnątrz i stojąc na jednym z jej krzesel, podważa śrubokrętem białe deski podbitki dachowej. A potem przytula ją do siebie w udawanym geście pocieszyciela. Nie wystarczało. Brzydziła się go, ale gardziła też sobą. Każde wspomnienie, jakie się z nim wiązało, przypominało o jej własnej słabości. O wszystkich niedostatkach inteligencji, odwagi i siły, które sprowadziły Kempę w jej życie. Idiotycznym lęku przed deszczem, jaki zapędził ją do parkowej budki strażnika. Przyjętej kurtce, którą potem zamiast odesłać, odwiozła Kempie do domu, i zgodzie na pomoc przy przeprowadzce. O urojeniach, że potrafi go onieśmielić, które pchnęły ją do wspólnej kolacji. Nawet o krótkiej, lecz jakże teraz wstydlivej chwili, gdy leżąc w tym łóżku, zastanawiała się, jakie walory kryje w swoich lewisach. Wszystko to było wstrętne. A ona sama okazała się znacznie bardziej odstręczająca niż Kempa. Żenująca, dwuznaczna moralnie, płytka i głupia. Karykatura kobiety. Sypiająca z Mejerem i mająca w nosie uczucie, jakim ją darzył, oraz rodzinę, którą był gotów porzucić. Nosząca w sercu urazę, że Michał wygarnął jej prawdę, i winiąca Martę, że nie dość się przejmuje jej życiem. Nienawidziła, owszem, ale siebie, nie Kempy. Zasługiwała na wszystko, co uczynił z jej życiem. Była winna. Ona i tylko ona. Jeśli ktoś miałby zdychać w boleściach, liżąc rany na rozszarpanych psimi zębami nogach, to właśnie ona. Zapracowała sobie na to i wszystkim byłoby lepiej, gdyby zniknęła. Marcie, Tomkowi, rodzicom. Odczuliby ulgę, nie musząc się o nią troszczyć i znosić jej chwiejnych nastrojów.

Kiedyś jej obecność była dla innych przyjemna. Marta się śmiała, Tomasz zachwycał, Marek wodził za nią oczami, Zalewski doceniał jej urok i inteligencję. Rodzice bywali dumni. Straciła to wszystko. Stała się nieznośną dla otoczenia, skupioną na sobie wariatką. Śmierdzącą potem i prezentującą światu niezmywany od doby makijaż. Teraz budziła w nich litość. Może nawet odrazę.

Podniosła się z łóżka i idąc w stronę łazienki, zaczęła zdejmować z siebie pachnące chlorem ubranie. Stała przed lustrem i w siwym świetle poranka dojrzała w nim odbicie wychudzonej, zszarzałej twarzy. Zaczerwienione powieki i sklezione potem kosmyki włosów. Jej ciało straciło ostatnio resztki kobiecych krągłości. Było sine i niezdrowo kościste. Oczy zapadły się lekko, a do połowy policzków sięgały głębokie kręgi szarej jak popiół cery pokrytej siatką cieniutkich zmarszczek. Kącki ust opadały żałośnie, a skóra przypominała pergamin. Sucha, pozbawiona połysku i życia.

Odwróciła się do lustra plecami, nie mogąc znieść własnego widoku. Jej sylwetka kojarzyła się teraz z Kempą. Podobnie jak ptasie rysy i puste oczy zapadnięte głęboko od bezsenności. Wstrząsnął nią deszcz, więc powoli weszła pod prysznic i odkręciła gorącą wodę. To się musiało skończyć! Nie mogła tak żyć! Jak cień człowieka wyzuty z pozytywnych emocji i żyjący wyłącznie strachem.

Woda uspokajała, oczyszczała z brudu i myśli, była niczym katharsis. Leczyła lęki, ogrzewała i przywracała krążenie w skórze. Jej ramiona znowu były lekko różowe, a głowa odpoczywała pod rześnistym strumieniem gorących kropeł. Nie może myśleć o swojej słabości ani oskarżać się o to, że Kempa ją wybrał. W upalny wieczór deszcz mógł złapać w Łazienkach inną przypadkową kobietę. Czy ona też byłaby winna, gdyby Kempa postanowił obdarzyć ją później swoją psychopatyczną miłością? Czy uznałaby ją za wstrętą tylko dlatego, że bałaby się położyć do łóżka? Obarczała winą za strach i spustoszenia, jakie poczyniłyby w niej bezsenność i ustawiczna panika? Nie. Innej kobiecie współczuwałyby takich przeżyć. Chciałaby pomóc. Nie z litości, lecz zwykłej troski, jaką normalny człowiek odczuwa, patrząc na cierpienie innych, nawet nieznanym mu osób. Dlaczego zatem dla siebie nie była wyrozumiała? Dlaczego przyznanie się samej przed sobą, że jest zwyczajną, słabą kobietą, przyprawiało ją o nienawiść do siebie. Aż tak źle o sobie myślała? A może był to tylko skutek uboczny traumy, którą fundował jej Kempa? Odprysk, rykoszet, nieprzewidziany przez nią odłamek wystrzelonego w jej stronę pocisku? Efekt zaszczucia?

Wytarła się szybko i zawinięta w ręcznik wróciła do łóżka. Stefan przypełzł, a ona pozwoliła, by wdrapał się jej na ramię i rozpoczął poranny koncert mruczenia. Tak dawno nie miała dla niego czasu – biegająca od okna do okna, oszalała, odpychająca go od siebie w obawie, że może rozproszyć jej skupioną na ogrodzie uwagę. Odtrącała go, bo cała koncentracja była teraz przeznaczona dla podglądacza. Przez ostatnie tygodnie to intruz wypełniał jej myśli. Stał się treścią jej życia, eliminując wszystkie inne osoby. Stefan nie był jedyny. Ten sam los spotkał Tomka, przyjaciół, a nawet rodziców, których telefony zbywała komunikatem, że jest niezwykle zajęta. Przez ostatnie tygodnie stała się wyznawczynią i najwyższą kapłanką kłusownika, który na nią polował. Wierną, posłuszną i bezwzględnie oddaną. Powolną w najmniej istotnych decyzjach. Nie wychodziła wieczorami, bo on sobie tego nie życzył. Podobnie jak gości w jej domu. Przestała gotować, biegać, uprawiać jogę, a nawet siedzieć w ogrodzie. Chciał, by była wziętym w niewolę jeńcem. Osadzonym w ekskluzywnej klatce drogiego domu i czekającym na jego powroty. Niczym biblijna oblubienica oczekująca na powrót męża. Zawsze gotowa, by przywitać go w progu.

Westchnęła i pogłaskała kota. Chciała, by coś się zmieniło, ale czy potrafiła to zrobić? Zmienić swój sposób myślenia, wyjść z domu i przestać rozważać każdy element życia przez pryzmat akceptacji ze strony intruza? Skończyć z myśleniem, że jest mu coś winna i ponosi odpowiedzialność za jego chorobę?

Myśli płynęły przez jej głowę spokojniej, a sinusoidy ocen wyplaszczały się powoli. Nie była święta, ale nie zasłużyła na wszystko, co ją spotkało. Być może była słaba, naiwna i nie potrafiła walczyć o swoje, ale czy inne kobiety umiały to robić? Wstydziła się swoich wyborów, lecz czy ludzie nie miewali wyrzutów sumienia? Czy niebo gwiazdziste nie było dla niej? I czy każda z jej dotychczasowych decyzji nie była najlepszą, jaką umiała podjąć? Dlaczego jej życie miałoby być wolne od błędów? Czy to czyniłoby z niej lepszą osobę, czy raczej skupioną wyłącznie na sobie, wolną od dylematów, rozterek oraz poczucia wstydu rozpuszczoną pannicę? Nie chciała być taka. Nawet jeśli ceną, jaką płaciła, było prześladowanie, które zgotował jej Kempa.

Ile razy, po tym jak go poznała, dręczył ją robak wyrzutów sumienia? Że ocenia go zbyt powierzchownie, a on jest przecież całkiem nieszkodliwą osobą? Ile razy czuła się winna, że nie chce, by zbliżył się do niej i jej przyjaciół? Jak często oskarżała się o to, że jest płytką, snobistyczną osobą niegotową na ekstremum, jakie stanowił? Zbyt często. Poczucie winy i dobre maniere tłumili jej instynkt. Podpowiadały, że nie wypada nie oddać mu kurtki, odrzucać połączeń telefonicznych i zaproszeń na ziemniaki z kefirem. Chciała być grzeczna, to wszystko. Jej błędem były dziecięca naiwność i przekonanie, że ludzie zasługują na szansę. Nawet ci, których obecność budzi fizyczny opór, odbiera spokój i rani przyjaciół. Czy to czyniło z niej złego człowieka? Głupiego – być może, ale nie złego. Czasem miała ochotę pierdolić grzeczności. Powiedzieć Kempie, co sądzi o jego brzydocie, słowotoku i marnych szansach na uwiedzenie jakiegokolwiek kobiety. Milczała. Nie dlatego, że jej opinia na jego temat zmieniała się z czasem, lecz żeby nie robić mu zbędnej przykrości. Czy odpłacał tym samym? Nie. Wparowywał do jej domu bez zaproszenia, znęcał się nad nią psychicznie, wyżywał na Marcie. Nadużywał jej uprzejmości, testując granice. A ona nie stawiała przed nim żadnej bariery. Ulegała z grzeczności, bo tak ją nauczyli rodzice. Może w końcu nadszedł moment na wulgarne przekleństwo? Miała prawo mieć w ogrodzie nawet setkę amstaffów, a one miały prawo pilnować należącego do niej terenu. Szczekać, gryźć i rzucać się na osoby, które próbowały się włamać. Po to tu były. A jemu nikt nie kazał skakać przez ogrodzenie. Skoro przychodził w pokojowych zamiarach, to mógł dzwonić do drzwi jak wszyscy inni znajomi. Powinna mu współczuć poszarpanych nogawek? Litować się nad ranami, które potencjalnie mógł odnieść? Ulegać myśleniu, że ugryzienie w łydkę obudzi w nim jeszcze większego potwora? Czy to w ogóle było możliwe? Był zdeprawowanym, podłym człowiekiem. Możliwe, że psychopatą. Nie odczuwał empatii, litości czy miłosierdzia. Rozumiał wyłącznie władzę, siłę i przemoc. I chyba nadeszła pora, by przemówiła do niego jedynym zrozumiałym dla sadystów językiem.

Zasnęła spokojniejsza, pogodzona z koniecznością użycia dosadnych wyrazów i środków, uśmiechnięta lekko na myśl o perspektywie pozbycia się Kempy z życia. Wizja świata bez niego

była błoga. Gdyby diabli go wzięli, a amstaffy zagryzły, Warszawa stałaby się lepszym miejscem. Była pewna, że nie tylko ona tak myśli.

Obudził ją dzwonek telefonu i twarz Marty na wyświetlaczu. Sięgnęła po komórkę niechętnie i zaspianym głosem wymruczała coś do słuchawki.

– Będę u ciebie za kwadrans. Nie chciałam cię przestraszyć, więc dzwonię. Wpuść mnie na podjazd i do garażu. Zostaję na noc.

Marta rozłączyła się, zanim zdołała zareagować na wypowiedziany z żołnierską precyzją rozkaz. Zwlekła się z łóżka, wciąż owinięta w ręcznik, i ruszyła w stronę komody w poszukiwaniu bielizny. Naciągnęła ją na siebie i zaczęła wkładać dzinsy, gdy kątem oka uchwyciła odbicie swojej sylwetki w stojącym w sypialni lustrze. Włosy, które wyschły na poduszce, wciąż były potargane, ale błyszczały czystością, a twarz wyprasowała się lekko i nabrała normalnego koloru. Kiwnęła sobie głową z zadowoleniem, włożyła T-shirt i sięgnęła po gumkę do włosów. Zostało dwanaście minut, więc uznała, że zdąży zrobić makijaż. Gdy Marta dotarła na miejsce, jej twarz miała już zdrowy odcień dojrzewającej brzoskwini, usta były czerwone, a oczy z pomalowanymi rzęsami sprawiały wrażenie mniej zmęczonych.

– Dobrze wyglądasz. – Marta skwitowała jej wysiłki i nie czekając na zaproszenie, przeszła z garażu prosto do jej sypialni. – Postawię tutaj swój bagaż.

Pokaźna waliza Marty sugerowała, że wyjazd z Zalewskim wymagał odpowiedniej oprawy. Dawniej omawiałyby to przez kolejne wieczory, a ona musiałaby konsultować każdą pakowaną przez przyjaciółkę część garderoby. Wszystko się jednak zmieniło, a Marta postanowiła się najwidoczniej uporać z dylematami, zabierając na wyjazd całą zawartość swojej trzydrzwiowej szafy.

– Niezły neser. – Uśmiechnęła się, wskazując na imponujące gabaryty walizy.

– Odczep się! Nie wiedziałam, co zabrać! – Marta zaśmiała się głośno i z udawanym naburmuszeniem pociągnęła walizkę do garderoby. – Wszystko jest czyste, bo całe dni spędzaliśmy w saunie i w łóżku. – Westchnęła z teatralną rozpaczą, po czym znowu zaczęła się śmiać.

– Było miło?

– Dość. – Kiwnęła głową. – Zalewski jest niezły w łóżku i co najważniejsze, nie wymaga ode mnie przesadnego wysiłku.

Zachichotały i przez moment obie czuły się jak w dawnych, beztroskich czasach, gdy plotki na temat mężczyzn stanowiły główny temat ich rozmów.

– Widujesz się jeszcze z Mejerem?

– Tak, ale bez entuzjazmu. – Wzruszyła ramionami i wykrzywiła twarz w wiele mówiącem grymasie. – Ostatnio nie miałam szczególnej ochoty na seks i randki. A on się zaczął nad sobą uzalać. Nie mogę już słuchać o beznadziei jego małżeństwa.

– Michał raczy mnie czasem opowieściami na temat remontu w kuchni, którego zażądała Zalewska. – Marta zrobiła podobną minę i machnęła ręką. – Czasem myślę, że wszyscy faceci to jednak idioci. Co mnie obchodzą fronty szafek Marioli?

Przez chwilę milczały znacząco, tak jakby dalsze strzępienie języków mogło jedynie pograć

mężczyzn i skazać ich na dożywotnią samotność.

– Naprawdę zostajesz na noc? – Anka przerwała ciszę.

– Nie zostawię cię samej! Kempa na sto procent się dzisiaj pojawi.

– Zapewne. Przysłał mi właśnie wiadomość z pytaniem, czy wszystko w porządku. Nie chciałam go uprzedzać, że coś się szykuje, więc odpisałam, że daję radę.

– I mówisz to tak spokojnie?!

– Przynajmniej teraz wiem, że to on. I już nie jestem bezbronna.

Spojrzenie Marty żądało wyjaśnień, więc streściła jej pokrótce rozmowę z Markiem oraz ustalone zasady współpracy. Przyjaciółka milczała. Tak jakby nie potrafiła do końca ocenić jakości pomysłu ani potencjalnych konsekwencji posiadania sfory amstaffów w ogrodzie. Dopiero po kilku minutach intensywnego milczenia potarła czoło i zapytała:

– Zamontowałaś tabliczki na ogrodzeniu?

– Tak, ostrzeżenia wiszą przy furtce oraz na bramie wjazdowej. Marek o tym pamiętał.

– Dobrze. – Marta kiwnęła głową i nie wdając się w dalszą dyskusję, skierowała kroki do kuchni.

– Chodźmy coś zjeść. Czterodniowa randka to jednak przesada. – Zmieniła temat. – Ty też tak masz, że przy facetach praktycznie nie jadasz?

Ania zaśmiała się i ruszyła za nią.

– Nie pamiętam za dobrze, ale chyba faktycznie tylko dziobię w talerzu. Jak wracam do domu, zawsze szukam czegoś w lodówce.

– Dlaczego kobiety to robią? – Marta wstrząsnęła głową, jakby nie mogła się pogodzić z kobiecą głupotą. – Przecież faceci wiedzą, że jemy i wydalamy. A jednak nie potrafimy na randkach zrezygnować z udawania, że fizjologia nas nie dotyczy. Nawet jak idę do toalety, to bredzę coś o pudrowaniu nosa albo rozartej szmince.

Fuknęła pod nosem i nie pytając o pozwolenie, zaczęła energicznie grzebać we wnętrzu lodówki. Anka przyjęła to z ulgą. Nie miała ochoty znowu rozmawiać o Kempie i była wdzięczna, że Marta omija ten temat. Fakt, że nie skomentowała pomysłu z psami, oznaczał zgodę na taki scenariusz. Nie musiały go w szczegółach rozważać, bo każda doskonale wiedziała, jaki miał być rezultat i czego się mogły tej nocy spodziewać. Przyspieszanie emocji nie było potrzebne.

Po godzinie krzątania się w kuchni usiadły w końcu przy stole i patrząc z powątpiewaniem na monstrualną misę spaghetti, zaśmiały się znowu.

– Przesadziłam? – Marta spoglądała z rozterką na nałożoną sobie na talerz porcję godną dorodnego atlety.

– Tylko trochę. Nie jadłaś od czterech dni. – Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Ty pewnie dłużej.

– Nie było tak źle. Woźniak zmobilizował mnie do zrobienia krewetek. Poza tym ja nie spaliłam ostatnio aż tylu kalorii.

Zmrużyła oko i wsunęła w usta potężną porcję spaghetti. Znów było normalnie. Babski wieczór z włoskim jedzeniem, winem i plotkami o seksualnym podtekście.

– A Woźniak? – Marta mówiła z pełnymi ustami, nie próbując się silić na elegancję.

– Co Woźniak?

– Nie udawaj. Wiesz, o co pytam.

– Tak?

– Tak. Nawet koledzy z policji podejrzewali, że macie romans.

– Podejrzewali coś zgoła innego. Przypominam ci, że dawałaś mi nawet spore szanse w zawodzie.

Marta uniosła głowę i spojrzała na nią niepewnie. Już raz przez to przeszły. Naprawdę musiała przeproszać ponownie?

– Wyluzuj. Żartuję. – W oczach Anki był błysk rozbawienia. – Jestem ostatnio trochę drażliwa, ale patrząc na sprawę ze zdrowego dystansu, uznałam, że potraktuję to jako opcję na przyszłość. Eskortą chyba nieźle zarabia?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. – Marta rozluźniła się trochę i zaczęła wsysać kolejną porcję zbyt długiego makaronu. – Jeśli chcesz, to podpytam operacyjnych w komendzie. Dobrze mieć *know-how* i plan na biznes, zanim zrezygnujesz z obecnej roboty.

– Dzięki. Najważniejsze to mieć troskliwych przyjaciół.

Uśmiechnęły się obie nad widelcami. Rozmowa była lekka, a pierwszy kieliszek wina przesunął ją jeszcze bardziej w stronę mało finezyjnych dowcipów i sugestii z erotycznym podtekstem. Marta rozważała przez chwilę fizyczne walory Michała, oczekując wzajemności w zwierzeniach i szczegółów anatomicznych Mejera. Anka bronila się dzielnie aż do momentu, gdy temat znów zбочzył w stronę Woźniaka. Nie chciała rozmawiać w ten sposób o Marku, sama do końca nie wiedząc dlaczego. Był przyjacielem, pomagał jej, chciała pozostać lojalna. Fantazjowanie o nim w kategoriach łóżkowych nie było na miejscu. Nie dlatego, że Woźniak nie był dość atrakcyjny, ale z całej masy innych powodów, których nie potrafiła sprecyzować ani wyjaśnić Marcie. Z dwojga złego wolała już dyskusje o rozmiarze i miłosnych kwalifikacjach Tomasza.

W miarę jak za oknem robiło się coraz bardziej szaro, ich pogodny nastrój zaczął tężeć, a w powietrzu znów pojawiło się napięcie. Śmiech Marty zyskał lekko histeryczne nuty, a ona w ogóle przestała się uśmiechać. Tak jakby mięśnie odmawiały posłuszeństwa po zmroku, a dom znów przemieniał się w złowrogie, nieprzyjazne więzienie. Chciała, żeby Marek przyjechał i wyrwał je choć na chwilę z tego stanu swoją pełną energią obecnością oraz absolutną pewnością siebie. Było jednak za wcześnie, a Woźniak zawsze odznaczał się punktualnością. Żałowała teraz, że nie poprosiła go, aby był trochę wcześniej, ale rozumiała, że chciał dać jej w ten sposób więcej przestrzeni. Może również oszczędzić zwierzęta.

Dolała wina i przerywając napięcie, wyrzuciła z siebie nabrzmiewającą od dłuższej chwili udętkę:

– Chyba faktycznie musimy się upić, zażyć tabletki nasenne i pójść spać. Inaczej tego nie zniósę!

Przyjaciółka przestała się śmiać i spojrzała na nią z namysłem.

– To nie jest zły pomysł. Wczoraj pewnie chodziłaś od okna do okna?

– Nie. Szorowałam wybielaczem łazienki. Nie mogłam siedzieć beczynnie, bo bałam się, że zwariuję.

Marta kiwnęła głową.

– Idziesz jutro do pracy?

– Sama nie wiem. Może spróbuję pracować z domu. I tak większość osób wzięła już wolne. Przed świętami nigdy nic się nie dzieje. A ty?

– Mam zaległości w papierach. Chcę kilka spraw wypchnąć przed nowym rokiem. Wiesz, statystyki.

– Wyjeżdżasz na święta?

– Tak, babcia jest już za stara, żeby przyjechać do mnie na Gwiazdkę. Co roku się martwię, że nie dotrwa do następnej Wigilii...

Głos Marty się załamał, a w oczach pojawiły się łzy. Nie roztrząsały tego wątku, lecz każda z nich doskonale wiedziała, że poza babcią Marta nie miała nikogo.

– Nie płacz, twoja babcia jest nie do zdarcia.

– Wiem, ale i tak się boję. Cały czas, bezustannie. Nie potrafię przestać. – Głos Marty zadrżał i rozsypał się całkowicie. – Odkąd zginęli rodzice, boję się nieustająco. O babcię, o siebie, teraz jeszcze o ciebie. Czuję się, jakbym cały czas siedziała w kaplicy i gapiała na trumny w oczekiwaniu na nieuchronny moment, aż wrzucą je w końcu do równych dziur w ziemi.

Spojrzała na Martę i po raz pierwszy w życiu wiedziała, co czuje. Wcześniej jej lęki były dla niej abstrakcją. Paranoicznym sposobem na życie, który przyjaciółka sama sobie wybrała. Aberracją normalnego myślenia. Czymś, co brała za nerwicę, fobię albo obsesję. Uleczalną, gdyby tylko Marta poddała się w końcu terapii. Patrząc na nią dzisiaj, rozumiała już, czym różni się lęk od strachu. Wyczuwała tę subtelną odmienność pomiędzy racjonalnym i biologicznie uzasadnionym mechanizmem przetrwania a irracjonalnym stanem oczekiwania na coś mglistego i potwornego, co niechybnie się wkrótce wydarzy. Granica pomiędzy oboma stanami była niekiedy płynna. Tak jak w przypadku Kempy, który budził zarówno fizyczny strach ofiary przed agresorem, jak i nieracjonalny lęk przed tym, co jeszcze się może wydarzyć. Przed nieznaną, karmioną jej wyobraźnią wizją, która nie miała kształtu czy scenariusza.

– Wiesz co? – Wstała raptownie od stołu i zaczęła zbierać dawno już obeschnięte talerze. – Pierdolić to wszystko!

Marta podniosła głowę i spojrzała na nią z zaskoczeniem na twarzy. Anka nigdy wcześniej nie klęła.

– Pierdolić! Niech chuja zagryzą! W dupie to mam! Jestem zmęczona jego pieprzonym nękaniem! – wykrzyczała. – I wiesz, co jeszcze ci powiem? Rozumiem, że się boisz! Ale do kurwy nędzy! Musisz przestać! Obie musimy! Ja zmarnowałam sobie dwa miesiące, które miały szansę być świetne! Ty zadręczasz się od ilu lat? Dwudziestu?! Ja pierdole! Marta! Dwadzieścia lat, które zniszczyłaś, żyjąc w lęku, że coś straszego może się jeszcze wydarzyć?! To jest, kurwa, tragiczne!

Zamilkła na chwilę i spojrzała na Martę, a widząc, że zamierza jej odpowiedzieć, przerwała jej gestem i krzyknęła:

– Ani się waż!

– Ale...

– Zamknij się! Zanim zaczniesz racjonalizować swe lęki i tłumaczyć, że są realne. Po prostu odpuść! Czekamy na Marka, a potem osobiście wcisnę nam obu tabletki nasenne do gardła! Pierdole! Nie będę czekać, aż Kempa tu przyjdzie, i słuchać odgłosów w ogrodzie! Pierdole, rozumiesz?

– Powtórzyłaś to wielokrotnie. Pierdolisz. Rozumiem. – Na ustach Marty znów błąkał się cień uśmiechu. – Szczerze mówiąc, dość mi ten stan odpowiada. Ja też będę pierdolić!

Wymówiła ostatnie zdanie i wybuchnęła śmiechem. Anka patrzyła na nią przez moment, wciąż jeszcze opanowana bojowym nastrojem i żądzą walki o swoje, w końcu jednak uległa. Marta miała rację; cała ta scena była śmieszna, a jej własne reakcje pasowały do tragifarsy. Wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się lekko i unosząc palec do góry, rzuciła z udawaną powagą:

– Przestań! Nie wytrącaj mnie z tego stanu! To najlepsze pierdolenie, jakie mnie dotąd spotkało!

– Skoro tak mówisz, siostró, to faktycznie musisz pogonić Mejera.

Marta zadławiła się śmiechem i złożyła w pół, nie mogąc zapanować nad rozbawieniem. Miała nadzieję, że Anka zawtóruje jej drugą salwą i będą się zanosić chichotem aż do momentu, gdy w ich oczach pojawią się łzy rozbawienia. Że bon mot o pierdoleniu wejdzie do kanonu ich powiedzonek i będą się z niego śmiać przez kolejne miesiące, wspominając z dystansem ten wieczór. Twarz Ani znów jednak pobladła, a usta zamiast uśmiechu zaczęły wykrzywiać grymas paniki.

– Telefon! Gdzie jest telefon?!

Marta spojrzała na nią, wciąż jeszcze nie rozumiejąc i dopiero gdy przestała się śmiać, usłyszała niski szmer wibrującego gdzieś w pobliżu iPhone'a.

– Tutaj, na stole.

– Kto dzwoni? – Anka tkwiła w kuchni, wciąż trzymając w rękach stos brudnych naczyń i nie potrafiąc się ruszyć z miejsca. – Zobacz, kto dzwoni!

Odwróciła powoli skierowany wyświetlaczem w stronę blatu aparat i spojrzała na ekran.

– Kempa. Odrzucić?

– Nie, odbiorę! – Odwróciła się gwałtownie w stronę blatu, postawiła na nim talerze i podbiegła do stołu. – Nie odzywaj się! Ciebie tu nie ma!

– Poczekaj! – Marta odsunęła dłoń z trzymanym telefonem i spojrzała wnikliwie na przyjaciółkę. – Po co chcesz z nim rozmawiać? Wyłącz telefon i tyle.

– Daj mi!

– Nie rozumiem, po co to robisz... – Marta wzruszyła ramionami, odebrała połączenie i podała komórkę.

– Cześć... – Usta Anki rozciągnęły się w szerokim, sztucznym uśmiechu, a jej głos zabrzmiał podejrzanie beztrosko. – Tak, wszystko w porządku. Zalewski na pewno spędza weekend z żoną...

Tak... Rozumiem... – Złapała Martę za nadgarstek i rzuciła okiem na cyferblat zegarka. – Jedź ostrożnie. Tu się nic złego nie dzieje... W porządku... Tak... Do zobaczenia!

Rozłączyła telefon i opadła na krzesło. Uśmiech z jej twarzy zniknął.

– Co ty wyprawiasz? Po co z nim jeszcze rozmawiasz?! Przecież wiesz, że to on!

Podniosła wzrok na Martę i dochodząc powoli do siebie, mruknęła:

– Nie może się domyślić, że wiem. Poza tym chciałam wiedzieć, gdzie jest i o której mniej więcej może tu dotrzeć.

– Mógł skłamać.

– Na pewno to zrobił. – Kiwnęła głową. – Twierdzi, że dopiero wyjechał, co oznacza, że minął już na pewno Tarnobrzeg. Może nawet Ostrowiec. Będzie chciał mnie zaskoczyć przynajmniej godzinę przed czasem. Zajrzeć przez okna, zanim pojawi się oficjalnie. W dobrych układach mamy dwie godziny do jego przyjazdu. Zapowiedział się na jedenastą, będzie pewnie około dziesiątej... Muszę zadzwonić do Marka i poprosić, by jednak był trochę wcześniej. Nie chcę, żeby Kempa go widział.

– Zdziwiasz mnie...

– Faktem, że myślę?

– Zimną krwią. I tym, że potrafisz z nim jeszcze rozmawiać.

– Posłuchaj! – Złapała Martę za rękę i pociągnęła ją lekko na krzesło. – Nie mam wyboru. To jest jedyna szansa, żeby się w końcu go pozbyć. Jeśli spalę dzisiejszy wieczór, to drugiej okazji nie będzie. Rozumiesz to? Tylko raz go mogę zaskoczyć.

Marta kiwnęła głową w milczeniu.

– Jak się dowie o psach, będę musiała z nich zrezygnować. Nie mogę narażać Marka i zwierząt. Ryzykować, że Kempa rzuci im jakieś zatrute mięso albo zrobi coś równie podłego.

– Masz rację.

– Więc gramy teraz miłe dla Kempy. Kiedy do ciebie zadzwoni, to powiesz mu grzecznie, że jesteś u babci, nie rozmawiałaś ze mną od środy i spytasz, czy zrobił już jakieś postępy. Będiesz dla niego miła. Jasne?

– Sądziś, że do mnie zadzwoni? – W głosie Marty była niepewność. – Po co miałby to robić? Przecież rozmawiał już z tobą...

– Zadzwoń. Musi mnie sprawdzić. Jest kuty na cztery nogi i sprytniejszy niż my razem wzięte. Dziwne, że jeszcze tego nie zrobił, ale pewnie był cały czas z córką.

– Cholera jasna!

– Przestań! Napij się wina! Włączę ci Wodeckiego, a ty się połóż na sofie i czekaj, aż do ciebie zadzwoni. Musisz to dobrze rozegrać!

Wstała z krzesła i przeszła w stronę półki z płytami.

– Wszystkie babcie lubią chyba taką muzykę? – Wyjęła krążek z opakowania i wsunęła do odtworzacza.

– Zwariowałaś!

– Nie. Teraz to ja piszę scenariusz. Masz wino? To kładź się i spróbuj odprężyć. Poradzisz sobie. Ja idę do sypialni.

– Zostawiasz mnie z tym?! – Marta uniosła się na kanapie i spojrzała na nią z jeszcze większym popłochem.

– Zaraz wrócę. Nie mogę rozmawiać tu z Markiem, bo Kempa może w każdej chwili zadzwonić. Uspokój się. Na pewno zdążę wrócić, zanim się do ciebie odezwie.

Podając Marcie poduszkę, wetknęła w jej dłoń kieliszek i upewniwszy się, że komórka leży w zasięgu ręki, ruszyła w głąb domu. Zanim skręciła w prowadzący w stronę sypialni korytarz, telefon Marty zadzwonił. Zamykając za sobą drzwi, usłyszała jeszcze charakterystyczne, rozciągnięte „hej” Marty i uśmiechnęła się lekko do siebie. Przyjaciółka zrobiła dokładnie to samo, co ona pięć minut wcześniej: rozciągnęła usta w fałszywym, zakłamującym tembr głosu uśmiechu.

Hala przylotów była pełna i z trudem udało jej się przepchnąć w pobliże barierek oddzielających tłum czekających od wychodzących powoli podróżnych. Samolot z Vancouver wylądował kilkanaście minut temu i kwestią sekund był moment, gdy rodzice przejdą w końcu przez linię granicy celnej, ciągnąc za sobą gigantyczne walizki, bez których jej matka od lat nie potrafiła przyjechać do Polski. Wypełnione po brzegi dziwnymi, kolorowymi ubraniami oraz dziesiątkami par butów, pomiędzy które ojcu z trudem udawało się wepchnąć swoje koszule i książki. Za każdym razem dworowali sobie z mamy, że czuje się w obowiązku przywożenia ze sobą całej szafy i przebierania się do każdego posiłku, ale ona pozostawała głucha na ich szyderstwa. Mimo przebrniętych kilka lat wcześniej i okupionych kilkumiesięczną depresją pięćdziesiątych urodzin, wciąż zachowywała się jak młoda kobieta, niepotrafiąca zdecydować, jakie ubrania mogą się okazać potrzebne, ani przewidzieć nastroju, w jakim znajdzie się kilka dni później i do którego nieodzownie będzie musiała dobrać właściwą kreację. Nie różniła się w tym zachowaniu ani trochę od Marty, co czyniło z niej nieco rozczulającą, ale również dosyć męczącą towarzyszkę dalekich podróży.

Wychyliła się przez barierkę i zaczęła machać energicznie w stronę ojca, który pokazał się właśnie w otwierających się powoli rozsuwanych drzwiach. Spojrzał na nią i uśmiechnął się szeroko niezdolny do odmachania z powodu ciągniętych za sobą dwóch gigantycznych walizek. Trzy kroki za nim szła matka, kolebiąc się delikatnie na wysokich obcasach nowych zamszowych kozaków. Przez rękę miała przerzucony płaszcz w identycznym co buty kolorze, a jej włosy były upięte w idealny kok, którego kształt zdradzał wyraźnie, że jest świeżym dziełem zrealizowanym w ciasnej przestrzeni toalety samolotowej.

Powitanie było równie dziwne, co zawsze. Pełne napięcia, niepewnych uśmiechów i nieśmiałości. Dokładnego oglądania się i obwąchiwania. Sprawdzania, na ile rodzice się postarzeni, a ona zmieniła. Zdawkowych grzeczności, pytań o przebieg podróży oraz miejsce, gdzie zostawiła samochód. Dopiero w aucie, gdy matka usadowiła się już na przednim fotelu, a ojciec wcisnął z trudem na tylne siedzenie, matka zalała ich oboje szczegółowym streszczeniem pokładowego menu, informacjami o podróżujących na sąsiednich fotelach Polakach oraz pytaniami o godzinę wigilijnej kolacji i stan przygotowań świątecznych. Jej słowa płynęły zgrabnie, a pytania nie wymagały niczego więcej ponad aprobujące pomruki, Anna uśmiechnęła się zatem pod nosem i wyjeżdżając powoli z lotniskowego parkingu, spojrzała w lusterko. Ojciec był równie jak ona rozbawiony, a przechwyciwszy jej wzrok, poruszył niemo ustami, parodiując ze śmiechem słowotok matki. Puściła mu oko i skierowała samochód w stronę Puławskiej. Ruch był spory, ale nie musiała się spieszyć. Dom był gotowy na gości, wszystkie przywiezione przez Marka choinki świeciły kolorowymi lampkami, a ostatnią blachę świątecznych pierników wyjęła z pieca tuż przed wyjazdem na Okęcie. Nie było powodów do obaw czy tremy. Święta będą spokojne, wesołe i beztrudne. Tak jak planowała to kilka miesięcy temu. Jedyne, co jeszcze musiała przetrwać, to zalew pytań, którymi niewątpliwie zasypie ją matka, gdy wspomni, że zaprosiła na kolację nieznanego rodzicom mężczyznę.

Uśmiechnęła się ponownie i włączyła wycieraczki. Śnieg znowu zaczynał padać. To dobrze. Większość krwawych śladów na trawie zmyła szlauchem już w poniedziałek, coś jednak mogła przegapić. Matka nie wychyli nosa w taką pogodę, ale ojciec z pewnością postanowi obejść każdy zakamarek ogrodu. Tłumaczenie mu, że Stefan zaczął polować na myszy i wróble nie wydawało się najlepszą strategią.

* * *

Zatrzymał samochód na parkingu przed centrum handlowym, opuścił szybę i zapalił papierosa. Myśl o powrocie do domu była nieznośna, a fakt, że miało to nastąpić akurat w Wigilię, czynił sprawę jeszcze trudniejszą. Kupił prezent gwiazdkowy dla syna i komplet koronkowej bielizny dla Ani, ale dla żony nie miał niczego. Jak mógł o niej zapomnieć?

Wysiadł powoli i zatrzasnął za sobą drzwi audi, po czym powłókł się wolno w stronę wejścia. Kłębiące się wokół tłumu robiących ostatnie przedświąteczne zakupy rodzin nie nastrajały go optymistycznie, a próby wymyślenia odpowiedniego prezentu dla czekającej na niego w domu kobiety pełzły na niczym.

Minął apatycznie Sephorę i zatrzymał się bezwiednie przed wystawą iStore'a. Źle. Zabawki elektroniczne nie były właściwym prezentem dla kobiet. Przeszedł dalej, rozglądając się po mijającym go tłumie przechodniów, jakby liczył, że jakiś element przykuje jego uwagę i zaoferuje jakąś odpowiedź. Bez skutku. Kolejne dziewczyny mijały go roześmiane i okutane w zimowe kurtki oraz grube wełniane szaliki, ale każda z nich miała teraz pełne czerwone usta, błękitne oczy i wypadające spod czapki jasne kosmyki. U żadnej nie zauważył zgorzkniałych zmarszczek, cieni pod oczami ani wąskich warg, jakie miała Teresa. Wszystkie wyglądały jak Ania. Przetarł oczy i spojrzał raz jeszcze. Kobiety zmieniły się i znów były różnorodnym tłumem młodych i starych twarzy. Ładnych, przeciętnych i całkiem szkaradnych. Anki wśród nich nie było.

Zachwiał się lekko i drżącym krokiem przeszedł w stronę najbliższej witryny. Na szklanych półkach leżały w jasnym świetle halogenów kasetki z pierścionkami, łańcuszkami i bransoletkami. Oderwał od nich wzrok i skupił się na własnym odbiciu w szybie, które powoli zaczęło się rozmywać z powodu łez. Wytarł je w rękaw i wszedł do środka. Jediną biżuterią, jaką dotychczas kupował, były obrączki ślubne. Teresa nie dostała od niego nawet cyrkonii z okazji zaręczyn. Była w ciąży, co – jak uważał – zwalniało go z romantycznych gestów i jakichkolwiek dodatkowych wydatków. Jego plemniki oznaczyły ją wyraźniej niż diament na palcu.

Zatrzymał się przed ladą i pochylił nad szklaną taflą. To była wyjątkowa miłość i rozstanie wymagało odpowiedniej oprawy. Wskazał na oprawiony w białe złoto brylant, sięgnął po portfel i podał adres dostawy. Sprzedawczyni uśmiechnęła się szeroko, kiwnęła głową i zapewniła, że prezent dotrze do adresatki przed siedemnastą.

* * *

Uśmiechnęła się szeroko i bez słowa protestu zaczęła mieć mak po raz czwarty. Maszynka była stara, przytwierdzana do kuchennego blatu potężną, przypominającą imadło śrubą i wydawała

z siebie dziwne, mlaszczące odgłosy. Od lat próbowała przekonać babcię, że masa makowa w puszkach jest równie dobra do ciasta, ale bez skutku. Starsza pani wiedziała swoje i nie ulegała chwilowym modom ani pokusie chodzenia na skróty. Święta wymagały poświęceń, a prosząc wnuczkę o pomoc w kuchni, nie oczekiwała chyba zbyt wiele?

Marta oderwała się od blatu, objęła ją w pasie i przytuliła do siebie jak dziecko. Włosy babci pachniały goździkami i cynamonem, a zmarszczki na dłoniach wypełniała mąka z klejonych właśnie pierogów. Staruszka fuknęła z niecierpliwością i zagdakała pod nosem jakiś wyrzut o niewdzięczności młodych oraz ich niechęci do prac kuchennych, lecz uścisk Marty nie tracił na sile. Nie potrafiła powiedzieć babci, jak bardzo ją kocha, a impulsy takie jak ten nie zdarzały jej się zbyt często. Użała się niekiedy nad sobą i przyznawała do lęków o ostatnią osobę, jaka jej pozostała z rodziny, ale nigdy nie robiła tego przy babce. Jej czujne oczy nie pozwalały na mazgajenie się, a poklepywanie po ręce było jedynym przejawem czułości, na jaki się zdobywała. Nie musiała zresztą robić nic więcej. Zasuszone, wykręcone artretyzmem palce, przeorane ciężką pracą poduszki dłoni i plamy wątrobowe na skórze mówiły wszystko. Przez ostatnie dwadzieścia lat każdy jej gest był tylko dla Marty. Gdyby nie wnuczka, nie dałaby rady przeżyć śmierci jedynej córki. Nie miałyby siły wstawać co rano z łóżka, wychodzić do pracy, gotować obiadów i sprzątać. Dzięki Marcie i tylko dla Marty musiała i chciała to robić. Każdego dnia, po raz kolejny. Z niewyobrażalnej, przytłaczającej, duszącej jej stare płuca nadmiernym ciężarem miłości, której nie potrafiła wyrazić inaczej, jak lepiąc kolejne partie pierogów.

Marta była zbyt delikatna dla świata. Jak każde dziecko pozbawione zbyt wcześnie rodziców budziła się w nocy z kolejnych potwornych koszmarów. Przerazona, rozedrgana, pełna lęku. Poklepywanie po ręce pomagało, ale tylko na chwilę. Do kolejnego złego snu albo ataku paniki. Nie mogła pozwolić, żeby wnuczka poddała się takim nastrojom i dała im sobą zawładnąć. Marta musiała być silna.

Wyrwała się w końcu z żelaznego uścisku i pogroziła wnuczce palcem bez słowa. Mak wymagał zmielenia. Czwarty raz był zapewne przesadą, ale dzieci trzeba było trzymać krótko i uczyć porządku. Zwłaszcza te nadwrażliwe i najbardziej na świecie kochane. Te, dla których zamierzało się żyć do setki lub przynajmniej do dnia, kiedy same będą mieć dzieci.

Podreptała do kąta i przekręciła gałkę starego radia. W programie pierwszym mieli lecieć *Matysiakowie*.

* * *

Zaparkował przed bramą wjazdową do domu, sięgnął po leżące na fotelu obok skrzypce i wysiadł z auta. W bagażniku czekała jeszcze na niego walizka, zestaw prezentów oraz jakieś szpargały, których nie zdołał upakować do torby, uznał jednak, że przyśle po resztę dzieciaki. Mimo czterech dni w SPA czuł się zmęczony i wydrenowany. Ostatnie dni w studiu dały mu się mocno we znaki, co bardziej niż z własnym wiekiem wiązał z pośpiechem, z jakim nagrywali ostatnie kawałki. Romans z Martą też nie pomagał. Kiedy ją poznał, liczył, że seks z młodą dziewczyną doda mu nieco energii i sprawi, że kompozycje zabrzmiały świeżo i bardziej młodzieńczo. Efekt był jednak odwrot-

ny, a on po każdej kolejnej nocy czuł się starszy i bardziej zużyty. Być może dlatego, że napięta, oliwkowa skóra Marty zestawiona z jego starzejącymi się pośladkami i brzuchem starszego pana stanowiła przykry dla oczu dysonans. A może z tego powodu, że z ambicjonalnych, samczych pobudek czuł się w obowiązku robić w łóżku rzeczy, które dekadę temu odstawił na półkę, uznając za wyczyny godne młodszych od niego kochanków. Niezależnie od przyczyn każda noc z Martą kosztowała go więcej, niż byłby skłonny się przyznać.

Sięgnął do kieszeni, wygrzebał pęk kluczy i otworzył powoli furtkę, mając nadzieję, że żona bardziej niż romantycznym powitaniem powracającego z podróży małżonka będzie dziś zainteresowana gotowaniem kolacji, pieczeniem ciasta oraz ubieraniem choinki. A on będzie się mógł położyć w wannie, by dojść do siebie, zanim zwałą im się na głowę rodzice, teściowie i dzieci. Uniósł wzrok, by sprawdzić, czy w oknie kuchennym widać sylwetkę Marioli i poczuł, że robi mu się słabo. Ogród zawirował mu przed oczami, a bujające się na gałęziach znajome skądinąd balony zaburzyły mu błędnik i sprawiły, że runął na ścieżkę, resztkami przytomności próbując uchronić skrzypce przed drastycznym uderzeniem o ziemię.

Leżał bez ruchu przez dłuższą chwilę, mając nadzieję, że nie zauważy go żona ani żaden z sąsiadów, a potem podniósł się wolno i podszedł do rosnącej najbliżej choinki. O pomyłce nie mogło być mowy. Perłowe balony powiewały na wietrze, witając go w domu serią czułych ukłonów i tekstem, który doskonale pamiętał. Przytrzymał się gałęzi, spojrział na drzwi do domu, które teraz zdawały się bardzo odległe, i zamknął oczy. To nie mogła być prawda! Marta nie mogła mu tego zrobić! Przecież od początku jej mówił, że ich romans jest tylko przygodą, a ona powtarzała, że nie chce od niego nic więcej! A jednak ktoś powiedział o wszystkim Marioli i podsunął jej zestaw wiele mówiących balonów. Marta, Anka, a może Mejer? Tylko ich trójka mogła to zrobić.

Otworzył oczy i dostrzegł stojącą w progu sylwetkę żony. Uśmiechała się do niego łagodnie, machając ręką na powitanie.

* * *

Krzętała się po kuchni i wyglądała niespokojnie przez okno w oczekiwaniu na męża. Tomek już dawno powinien tu dotrzeć, a jednak wciąż go nie było. Zaczynała się martwić, ale nie chciała dzwonić i sprawdzać, czy wszystko w porządku, bo jej telefony zawsze go rozdrażniały. Wytarła ręce w ścierkę kuchenną, przeszła do pokoju, gdzie syn oglądał coś w telewizji, i skręciła w stronę łazienki. Denerwowała się. Nie tylko jego spóźnieniem, ale również reakcją, jaką wywołają w nim jej nowa fryzura, szminka i wszystkie zmiany, jakie zaprowadziła ostatnio w swoim wyglądzie. Spojrzała w lustro niepewnie, próbując ocenić efekt, jaki udało jej się osiągnąć. Jej włosy z jasnego brązu zmieniły kolor na platynowy, a wąskie usta pokrywała droga czerwona pomadka. Wcisnęła się w przylegającą do ciała czarną sukienkę i żałowała teraz, że dała się w sklepie przekonać do zbyt małego rozmiaru. Sprzedawczyni zapewniała, co prawda, że ten fason musi mocno opinać, ale zamiast jej słuchać, powinna się była kierować własnym, niezależnym od prowizji osądem. Szwy piły ją teraz nie do zniesienia, a wciągnięta ustawicznie przepona domagała się prawa do głębszego oddechu. Obróciła się przed lustrem, sprawdzając, czy brzuch nie sterczy jej kuriozalnie, i zauwa-

żyła, że ściśnięte kiecką ciało wylewa się z sukienki przy pachach. Westchnęła z rozpaczą i poprawiła ramiączka. Musi się bardziej postarać i przejść na dietę. Bez tego zawsze będzie wyglądać w sukienkach niczym świąteczny baleron.

Zgasiła światło, wróciła do kuchni i znów wyjrzała przez okno. Balony powiewały na wietrze pomiędzy pierwszymi płatkami spadającego powoli śniegu. Ogród wyglądał przepięknie, więc uśmiechnęła się lekko i sięgnęła po stojący na blacie kieliszek z winem. Nawet jeśli Tomek nie zauważy jej nowej fryzury lub uzna sukienkę za nazbyt tandetną, to z pewnością doceni magię, która czeka na niego przed domem. Był w końcu artystą.

Odgarnęła grzywkę z czoła zniecierpliwiona obecnością niesfornych kosmyków, do których nie mogła się przyzwyczaić jeszcze bardziej niż do skandynawskiego odcienia. Może w końcu przywyknie. Najważniejsze, żeby Tomasz docenił wysiłek, jaki w to wszystko włożyła. Koleżanki z pracy twierdziły, że w tym kolorze wygląda szalowo, ale czy mogła im wierzyć? To samo mówiły przecież o jej poprzedniej fryzurze. I żadna się nigdy nie zająknęła, że mogłaby rozważyć jakąś odmianę.

Pociągnęła kolejny łyk wina i znowu wyjrzała z niepokojem na podjazd. Tomek powinien już dawno dotrzeć do domu. Sięgnęła po telefon z zamiarem wybrania jego numeru, ale zmieniła zdanie i odłożyła go na bok. Przecież pan Przemek mówił wyraźnie, że artyści nie znoszą, jak się ich ogranicza. Musiała przestać to robić.

Westchnęła i ponownie ruszyła do toalety, by sprawdzić swój wygląd. Jego też zawdzięczała Przemkowi. Wszystko mu zawdzięczała. Był taki miły, gdy trafił tu po raz pierwszy. Miał robić reportaż o żonach muzyków, a spędził w Elku trzy dni tylko po to, żeby spokojnie z nią porozmawiać. Od pierwszej chwili dostrzegł, że w jej małżeństwie coś nie gra. Wysłuchał jej, dał się wypłakać i wytłumaczył wszystko spokojnie. Była mu wdzięczna. Odwiedzał inne kobiety, których mężowie też ciągle jeździli w trasę i wiedział dokładnie, co to oznacza. Były jak Penelopa. Czekająca w porcie na powrót męża i niepewna jego miłości. A muzycy? Oni mieli fanki, adrenalinę, imprezy. Setki kobiet znacznie atrakcyjniejszych niż zabiegane, zręczące żony. Pan Przemek wiedział, co mówi. Odwiedził je wszystkie. Mariolę Zalewską również. Obu im powiedział dokładnie to samo. Musiały o siebie zadbać. Uśmiechać się, inwestować w ponętą bieliznę, fetować powrót swoich mężczyzn do domu. Być niczym gejsze.

Zerknęła na swoje odbicie, wciągnęła brzuch i zawróciła do kuchni. Tym razem na podjeździe stało potężne audi Tomasza, a on wysiadał zza kierownicy, trzymając pod pachą dwa spore pudełka w kolorowym papierze. Wyjrzała dyskretnie, chcąc ocenić wrażenie, jakie wywołały na nim balony, i widząc jego minę, zadrżała z niecierpliwości. Pan Przemek miał rację! Tomek był oszołomiony! Nie mogła się doczekać momentu, kiedy otworzy mu drzwi i zaskoczy go swoim nowym wyglądem.

* * *

Uścisnął syna na pożegnanie i wyszedł przed dom, który jeszcze rok temu należał do niego. Od tamtej pory nie zaszły tu żadne zmiany, ale w jego życiu zmieniło się wszystko. Stracił swoje miejsce na ziemi, żonę, połowę majątku i codzienne zabawy z synem. Przyjaciół, którzy zamiast niego

wybrali Agnieszkę, teściów, szwagra i reputację. Możliwość chodzenia do restauracji, w których dawniej bywali razem, i zestaw anegdot, których dowcip sytuacyjny tylko ona mogła zrozumieć. Czy zyskał cokolwiek? Pewność przyjaciół, którzy przy nim zostali, i wieczory wolne od kłótni. Szafy, w których stopy jej ubrań nie wisiały latami z metkami, doprowadzając go tym do szału. Możliwość palenia w domu i urlop, którego nie musiał już teraz spędzać, leżąc plackiem na plaży. Głębszy oddech, seks bez łaski i reglamentacji, prawo do bycia sobą oraz szansę na przyszłość.

Aż do dzisiaj nie dostrzegał żadnych plusów rozwodu, zbyt zajęty walką w sądzie i handryczeniem się o każdą złotówkę dzielonego majątku. Skupiony na konieczności uzyskania praw do regularnego widzenia syna, przybity zdradą przyjaciół, rozdrażniony rozsiewanymi na jego temat plotkami. Dziś rano wszystko się jednak zmieniło. Tak jakby polecony ze zwrotnym potwierdzeniem odbioru, wysłany do niego przez młodszego inspektora Wojnowicza, odwrócił kartę i zmienił jego życie na lepsze.

Była pierwszą osobą, której chciał o tym powiedzieć, a równocześnie ostatnią, do której odważyłby się w Wigilię zadzwonić. Zbyt dużo ostatnio przeszła, by zawracać jej głowę. Tym bardziej dzisiaj, gdy odbierała rodziców z lotniska i miała z nimi nadrobić ostatnich dwanaście miesięcy. A jednak gdy tylko o niej pomyślał, telefon zadzwonił.

Żegnając się z synem, spojrzął na byłą żonę i poczuł ulgę. To miały być pierwsze od kilkunastu lat święta, które spędzą osobno, a on zamiast czuć się nieswojo, cieszył się z tego jak sztubak. Nie tylko dlatego, że nagle miał plany na wieczór, których wcześniej nie brał w rachubę. Był szczęśliwy, bo po raz pierwszy od lat nie musiał czekać w napięciu na moment, gdy Agnieszka rozwiąże kokardę prezentu i wyda wyrok, od którego zależeć będzie atmosfera przy stole. Nie musiał znosić jej fochów, złośliwych uwag i wstrętnej kutii, którą wmuszała w nich co roku w Wigilię. Terroru białego obrusu, na którym plamy były niewybacalne, fałszowanych przez teściów kolęd i dyskusji, który bał sylwestrowy warto w tym roku zaszczyścić. Nic nie musiał i nagle pragnął wszystkiego.

* * *

Usiadł ostrożnie na łóżku i zaklął. Udo rwało go niemiłosiernie, a fakt, że rany były też z tyłu, czynił siedzenie i leżenie na plecach niemożliwymi do wytrzymania. Poza staniem nie było w zasadzie pozycji, która nie wykręcałaby mu twarzy paroksyzmem wściekłego bólu. Przez pierwsze dwie doby nie zmrużył oka, wczoraj wieczorem skapitulował i znieczulił się butelką taniego brandy oraz garścią tabletek. Pomogło na trzy godziny, ale zgniecione pod jego ciężarem rany jątrzyły się teraz jeszcze gorzej niż wcześniej.

Przez moment rozważał, czy nie pojechać na izbę przyjęć i nie pozwolić, by opatrzył go lekarz, po chwili jednak zarzucił ten pomysł. Wizyta w szpitalu otworzyłaby worek pytań o czas i miejsce zdarzenia oraz powody niewzwania policji. Dostałby zestaw zastrzyków przeciwko wścieklicznie i protokół do wypełnienia, a ona i tak by się wywinęła. Suki były szczepione, teren zamknięty, a napisy ostrzegające przed psami wisiały na każdym rogu parkanu. Zakładała zapewne, że nie zwróci na nie uwagi, lecz on zwyczajnie je zignorował. Sądził, że mają odstraszać intruzów niczym szyldy z numerem ochrony lub oznaczenia, że na terenie jest monitoring. Ludzie mieli przeróżne

pomysły. Zwłaszcza kobiety. Każda z nich wieszła w końcu zestaw tabliczek, a niektóre nawet montowały kamery. Jakby sądziły, że kominiarka jest poza jego zasięgiem.

Zaśmiał się sardonicznie i przekręcił ostrożnie na bok. Nie zakładał, że może się dogadać z Woźniakiem. Facet zresztą od dawna powinien był siedzieć. Głupi chuj! Ostatnie, pierdolone ogniwo! Wszystkich innych zdołał się pozbyć. W białych rękawiczkach i przy radosnej pomocy durnych gospodyń domowych, które sądziły, że znany dziennikarz radiowy może chcieć z nimi rozmawiać. Wystarczyło okazać biedaczkom odrobinę zainteresowania, by sprzedały swoje małżeńskie sekrety. Za garstkę obietnic i kilka fałszywych uśmiechów. Żalodne, niespełnione idiotki hodujące celulit na udach i włosy na zwiędłych łonach. Skłonne uwierzyć, że wciąż mogą uratować swoje małżeństwa podrasowaną minimalnie urodą i jakimś banalnym gestem. Sięgnął po leżącą na łóżku kołpertę, zgniótł ją w dłoni i rzucił z wściekłością w kąt. Na nikogo nie można już było liczyć. Nawet na indolencję policji. Pierdolone, leniwe fiuty! Odmawia się wszczęcia z powodu braku znamion przestępstwa! Chuj im w dupę!

Syknął z bólu i pociągnął długi łyk prosto z butelki. Przez kilka tygodni nie wyjdzie z domu, a zanim mięśnie na nogach całkiem się wygoją, może minąć nawet pół roku. Sześć jebanych, straconych bezpowrotnie miesięcy bez zapachu jej pościeli, dotykania ubrań i patrzenia, jak wieczorem idzie nago pod prysznic. Wyczekiwania na dźwięk jej opon na drodze i moment, gdy podniesie rano rolety. Spoglądania na nią, gdy śpi, przytykania ust do kieliszka w miejscu, gdzie została jej szminka, i wykradania z jej domu kolejnych, zbliżających ją do niego coraz bardziej drobiazgów. Sześć miesięcy bez kontroli nad tym, co robi, z kim się spotyka i kogo zaprasza do łóżka. Bez szans na cokolwiek.

Uniósł się lekko na łokciu, sięgnął po leżącą na szafce wypchaną teczkę i rzucił ją obok siebie na łóżko. Plik dużych błyszczących zdjęć wysypał się ze środka, a Kempa sięgnął po najbliższe, spojrzał na nie z tkliwością i delikatnie pogładził lśniący alabastrowy policzek, spadające na czoło platynowe kosmyki oraz czerwone usta. Czas nie miał najmniejszego znaczenia. Od chwili, gdy ją zobaczył w Łazienkach, należała wyłącznie do niego.

STALKING A POLSKIE PRAWO KARNE

Jestem już po lekturze książki Ani Zacharzewskiej *Witaj w domu, kochanie*. Odłożyłem ją z uczuciem niedosytu, pełen wątpliwości, jak potoczą się dalsze losy głównej bohaterki oraz czy czarny charakter zostanie przykładowo ukarany. Jak rozumiemy, nie powiedział on jeszcze ostatniego słowa.

Przy tej okazji zadałem sobie pytanie, czy czynności podejmowane przez książkowego prześladowcę zostały w ogóle opisane przez polskie prawo karne? Czy naruszanie prywatności innej osoby wszelkimi dostępnymi środkami i wpływanie przez to na powzięte przez nią decyzje, jak również wzbudzanie poczucia zagrożenia u niej i osób dla niej najbliższych, powinny być karane?

Obecnie uporczywe nękanie, zwane też stalkingiem, jest przestępstwem, którego ofiarami mogą się stać nie tylko osoby znane z pierwszych stron gazet, ale także każdy z nas. Przestępstwo uporczywego nękania, szczególnie powszechne w dobie zdobyczy cywilizacyjnych, pojawiło się w polskim Kodeksie karnym w 2011 roku; wprowadzenie go poprzedziła szeroka dyskusja przedstawicieli doktryny oraz kilka spektakularnych przykładów nękania, o których było głośno w całym kraju. Ofiary stalkingu zasypywały policję zawiadomieniami o przestępstwie, a policja, mimo gotowości niesienia im pomocy, nie dysponowała odpowiednim narzędziem prawnym umożliwiającym ściganie sprawcy. Tylko w pierwszym roku, od kiedy stalking trafił do Kodeksu karnego, policja odnotowała ponad 400 zgłoszeń dotyczących tego przestępstwa. Pierwsze trzy miesiące roku 2012 to już prawie 700 zgłoszeń. W roku 2011 za stalking skazano 43 osoby, a w 2014 już 949.

Zachowanie sprawcy tego przestępstwa polega na uporczywym nękaniu, które w efekcie wzbudza u danej osoby i jej najbliższych poczucie zagrożenia bądź też istotnie narusza ich prywatność. W związku z tym, że nomenklatura prawnicza jak zwykle w takim wypadku powoduje szereg wątpliwości interpretacyjnych, szczególnie na gruncie językowym, najłatwiej będzie nam zrozumieć, na czym polega stalking, przywołując przykładowe zarzuty, które zostały postawione podejrzanym o takie przestępstwo przez organy ścigania:

W okresie... uporczywie nękał... w ten sposób, że przy użyciu telefonu komórkowego uporczywie wydzwaniał do niej, wykonując połączenia głosowe i próby tych połączeń, połączenia SMS oraz wysyłał jej maile, używając wobec niej słów wulgarnych i obraźliwych. Zastraszał ją, poniżał, a także obserwował w miejscu zamieszkania oraz śledził, czym wzbudził u niej uzasadnione okolicznościami poczucie zagrożenia i istotnie naruszył jej prywatność...

W okresie od... w... uporczywie nękał... w ten sposób, że wysyłał do niej dużą liczbę esemesów, dzwonił, nachodził i niepokoił oraz zbliżał się do niej wbrew jej woli w miejscu pracy i zamieszkania, usiłował nawiązać z nią kontakt za pomocą osób trzecich, podejmował obserwację jej osoby, czym wzbudził u niej uzasadnione okolicznościami poczucie zagrożenia i istotnie naruszył jej prywatność...

W okresie od lipca 2011 roku do 5 lipca 2012 roku uporczywie nękała... w ten sposób, że wielokrotnie dzwoniła na jej telefon komórkowy i przysyłała wiadomości SMS o różnych porach dnia i nocy, podając się za mężczyznę o imieniu S., czym wzbudziła w wymienionej uzasadnione poczucie zagrożenia...

W okresie od... działając w krótkich odstępach czasu w celu wykonania z góry powziętego zamiaru, uporczywie nękał... wzbudzając w niej uzasadnione okolicznościami poczucie zagrożenia oraz istotnie naruszając jej prywatność w ten sposób, że wysyłał na jej numer telefonu SMS-y, w których znieważał ją słowami powszechnie uznanymi za obelżywe, śledził ją w okolicy miejsca jej zamieszkania oraz miejsca pracy, rozpowszechniał opinie o pokrzywdzonej naruszające jej godność osobistą.

W zarzutach pojawiają się opisy działania polegającego na wydzwanianiu, nachodzeniu, zastraszaniu, poniżaniu, śledzeniu, rozpowszechnianiu krzywdzących opinii. Dodatkowo nękanie może przybrać postać wysyłania listów, obdarowywania niechcianymi prezentami czy kwiatami, proponowania spotkań, wspólnych wyjazdów czy wspólnego spędzania czasu, składania propozycji seksualnych, zakładania podsłuchów i podglądów, zamawiania w imieniu ofiary drogich towarów, filmowania, szantażu emocjonalnego i finansowego oraz innych działań (przypomnijmy sobie przeczytaną przed chwilą książkę).

Jak widać, częstym narzędziem używanym przez stalkerów jest telefon komórkowy, ale nierzadko działania sprawców są dużo bardziej złożone – wykorzystują oni w swoich aktywnościach wszelkie urządzenia elektroniczne i informatyczne umożliwiające śledzenie ofiary, wyszukiwanie informacji o niej, kradzież tożsamości, wikłanie w fikcyjne znajomości i transakcje. Nierzadko nieświadomymi narzędziami działalności stalkerów stają się urzędnicy, detektywi, pracownicy wywiadowni gospodarczych.

Z perspektywy czterech lat obowiązywania przepisu, który wprowadza karanie stalkingu, jako adwokat częściej miałem do czynienia z ofiarami stalkerów niż ze sprawcami takich przestępstw. Spotkanie z ofiarą stalkera to zawsze duże wyzwanie dla adwokata, który musi w tym wypadku być nie tylko prawnikiem, ale także psychologiem. Trzeba również wziąć na siebie wyjaśnienie opieszałości organów ścigania bądź też niemożliwość ich działania w zakresie oczekiwanym przez prześladowanego. Ludzie, którzy padli ofiarą uporczywego nękania, często przewartościliwali całe swoje życie, zmieniali miejsce pracy i zamieszkania, rezygnowali z ulubionych rozrywek czy miejsca wypoczynku, przenosili dzieci ze szkół, wycofywali się z kręgu znajomych, przestawali uczestniczyć w życiu kulturalnym. Wyglądali jak osoby pozbawione złudzeń, perspektyw i radości życia, zmęczone i bezbronne. Przed rozmową na temat możliwości prawnych, zawiadomienia o przestępstwie czy sposobie zbierania materiału dowodowego trzeba było takie osoby wysłuchać i starać się odkryć, jak wszechobecne poczucie zagrożenia wpłynęło na ich życie, a potem zastanowić się, w jaki sposób zaprezentować te informacje organom ścigania. Statystycznie częściej ofiarami stalkerów padają kobiety, najczęściej samotne, w wieku między 25. a 40. rokiem życia. Jednak stalkujące kobiety są bardziej konsekwentne i wyrachowane.

W każdym przypadku sąd, wyrokując w sprawach dotyczących uporczywego nękania, musi nie tylko zmierzyć się z dowodami materialnymi, ale także ocenić poczucie zagrożenia, mające charak-

ter subiektywny, oraz pochylić się nad pobudkami sprawcy i zastanowić, co spowodowało eskalację jego negatywnych zachowań. Na pewno nie są to proste postępowania. Każdy człowiek inaczej ocenia poczucie zagrożenia, w związku z czym przesłanką odpowiedzialności jest wzbudzenie takiego poczucia zagrożenia, jakie powstałoby w danych okolicznościach u przeciętnej, racjonalnie myślącej osoby. Przepięstwo uporczywego nękania jest zagrożone karą trzech lat pozbawienia wolności; jeżeli następstwem stalkingu będzie próba samobójcza osoby prześladowanej, stalker może trafić do więzienia na 10 lat. Oczywiście prześladowca nie zawsze jest skazywany na karę bezwzględnego pozbawienia wolności.

Temat stalkingu jest niezwykle ciekawy i wymagałby dużo obszerniejszego opracowania, jednak w tym miejscu – kiedy już wiemy, że mamy narzędzia prawne, aby czarny charakter został ukarany – pozostaje jedynie zadać pytanie: czy Kempę dosięgnie sprawiedliwość?

Jaki los czeka powieściowego stalkera – czy dosięgnie go ręka sprawiedliwości, czy też pozostanie bezkarny? Jak poradzi sobie z poczuciem zagrożenia główna bohaterka – popadnie w obłąd czy weźmie sprawy w swoje ręce?

Tomasz Rudyk – adwokat

SPIS TREŚCI:

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Od Autora

Cytat

Witaj w domu kochanie

Stalking a polskie prawo karne